

**MARGIT SANDEMO**

# **OSET WŚRÓD RÓŻ**

Tajemnica czarnych rycerzy tom 06

Tytuł oryginału: „Tistel blant roser“

## *Streszczenie*

*Unni*, 21, *Morten*, 24, *Vesla*, 22, i *Antonio Vargas*, 27, stwierdzają, że wplątali się w przerażającą historię, której korzenie sięgają głęboko w przeszłość. W ich rodzinach pierwotne dzieci umierają w wieku dwudziestu pięciu lat, trzeba więc zbadać całą sprawę bliżej. Młodzi zostają wciągnięci w upiorny wir wydarzeń, pojawiają się koszmarnie sny, czarni rycerze i zięjący nienawiścią mnisi z czasów inkwizycji.

Młodzi są narażeni na ataki i próby morderstwa ze strony jak najbardziej żywych ludzi. Wielu zostaje rannych.

Starszy brat Antonia, *Jordi*, 29 lat, powinien był umrzeć cztery lata temu. On jednak zawarł pakt z pięcioma hiszpańskimi rycerzami z odległej przeszłości i uzyskał coś w rodzaju pięcioletniego odroczenia śmierci w zamian za to, że podejmie próbę rozwiązania zagadki rycerzy, a tym samym przerwania przekleństwa obciążającego ich i ich potomstwo. W tym celu musiał jednak wejść do ich nierzeczywistego świata, a zakochana w nim *Unni* nie może się do niego zbliżyć z uwagi na bijący od niego chłód śmierci. *Jordi* nie ma czasu zająć się rozwiązaniem zagadki, ponieważ jego brat i przyjaciele są nieustannie atakowani, musi więc ich ochraniać. Ale czas dany *Jordiemu* i *Mortenowi* wkrótce dobiegnie końca. *Unni* zostały jeszcze cztery lata.

*Vesla* spodziewa się dziecka z Antoniem, co jeszcze bardziej komplikuje całą sprawę, oznacza bowiem, że *Jordi* i jego przyjaciele muszą szybko rozwiązać zagadkę, ponieważ w wypadku bezpotomnej śmierci *Jordiego* złe dziedzictwo przejdzie na pierwotne dziecko drugiego z braci, Antonia.

Wśród wrogów rycerzy znajduje się grupa fanatycznych mnichów z czasów świętej inkwizycji oraz współcześnie żyjący ojczym obu braci, *Leon*, wraz ze swoją bandą, a także współpracująca z nimi piękna *Emma*. Poszukują oni skarbu, który, jak się wydaje, ma jakiś związek z tajemnicą rycerzy.

Młodzi zgromadzili już następujące informacje: W roku 1481 pięciu rycerzy zawarło pakt, którego skutki zaważyły na losach ich potomków. Postanowili uwolnić pięć prowincji, położonych wzdłuż północnych wybrzeży Hiszpanii, i na przyszłych władców nowej krainy wybrali parę nastolatków królewskiego rodu. Kaci inkwizycji pojmali jednak młodych i pozbawili ich życia. Również rycerze ponieśli śmierć na skutek tortur. Do walki włączyli się czarownicy: zły *Wamba* rzucił przekleństwo na potomków rycerzy, lecz czarownica *Urraca* zdołała je nieco złagodzić.

Pięciu rycerzy to:

*Don Galindo de Asturias*, ród wymarły.

*Don Garcia de Cantabria*, ród wymarły.

*Don Sebastian de Vasconia*, przodek Unni.

*Don Ramiro de Navarra*, przodek Mortena, Jordiego i Antonia.

*Don Federico de Galicia*, przodek Pedra.

Pedro ma 60 lat i współpracuje z młodymi, podobnie jak babcia Mortena, Gudrun, 66 lat.

Sprzymierzeńcy zabierają się do czytania odnalezionego niedawno, a pochodzącego z XVII wieku pamiętnika grzesznej Estelli.

Na następnej stronie prezentujemy potomków don Ramira. Znak wskazuje tych, którzy zmarli w wieku 25 lat wskutek przekleństwa.

Dawno zapomniana świętość tkwiła nieruchomo w oczekiwaniu.

Las zdołał skryć ją już przed wieloma stuleciami, zioła i trawy porosły zielonym kobiercem.

Żadna prowadząca do niej droga już nie istniała. Nigdzie nie widać też było śladów, świadczących o tym, że kiedyś wokół świętej budowli znajdowały się ludzkie siedziby. Wszystko zostało zrównane z ziemią, ukryte. Któż chciałby się tu przedzierać przez nieprzebyte pustkowia?

Mimo wszystko jednak miejsce to kryło w sobie rozwiązanie tajemnicy, mimo wszystko mogło zapewnić spokój ducha i zamożność wielu ludziom, innym zaś przynieść ocalenie.

Cóż z tego jednak, skoro w zapomnienie odeszła nawet sama tajemnica? Jak taki diabeł może być aż do tego stopnia pociągający?

Mam ochotę go uderzyć, kopnąć, wyzwać wszystkimi wstrętnymi słowami, które znam... Chcę, żeby mocno mnie objął, tak mocno, że aż będzie boleć, chcę być miękka jak fale na morzu, spowite w słoneczną mgiełkę o letnim poranku. Pragnę widzieć, jak wyraz jego oczu przechodzi z dzikości w łagodność.

Nie! On ma pozostać taki, jaki jest. Nieznośny! Chcę go zabić właśnie za to, kim jest.

Nie wiem, czego chcę. Po raz pierwszy w moim grzesznym, samowolnym życiu jestem zupełnie bezradna. Przestałam już być panią siebie.

On mnie nie dostrzega...”

## Lierbakkene, na północ od Drammen

Pięciu czarnych rycerzy, niewidzialnych dla wszystkich innych z wyłączeniem siebie, z wysokości końskich grzbietów obserwowało swych żyjących we współczesnych czasach przyjaciół, zgromadzonych w ogrodzie willi wokół pamiętnika grzesznej Estelli.

Rycerze wyglądali na bardziej udręczonych niż kiedykolwiek. Ich oczy, zapadnięte głęboko w oczodołach, wydawały się mętne, ramiona obwisłe. Kilkusetletnie zmęczenie i brak nadziei surowo naznaczyły tak potężnych niegdyś mężczyzn. Ale też i w ostatnich starciach z wrogiem musieli uczestniczyć w sposób bardzo konkretny, a to wymagało wielkiej koncentracji. Wraz z młodymi żywymi wyszli z tej walki zwycięsko, lecz rycerzy wiele ona kosztowała. Właściwie nie powinni brać tak bezpośredniego udziału w wydarzeniach. Ponury los skazał ich na wieczną tułaczkę, bez spoczynku.

„Czytajcie, młodzi przyjaciele - zachęcał don Garcia, wyglądający już jak cień tego cienia, którym był. - Czytajcie i starajcie się zrozumieć!”

„Sądzicie, że potrafią dostrzec to, co jest ukryte pomiędzy okładkami książki?” - spytał don Ramiro, młodzieniec, któremu nie pozwolono przeżyć życia w pełni, lecz nie dana mu również była prawdziwa śmierć.

Stary don Federico, który cały zapadł się w siebie z wycieńczenia po ostatniej długotrwałej walce ze sprzymierzeńcami mnichów.

Emmy, uśmiechnął się cierpko.

„Niekórym z nich pomimo wszystko nie można odmówić rozumu”.

„To prawda - zgodził się don Sebastian, który ze zmęczenia ledwie utrzymywał się w siodle i musiał mocno chwycić się konia. - Doskonale sobie poradzili ze złą Emmą”.

„Przy naszej pomocy - dodał dobroduszny don Galindo. Twarz miał poszarzałą i jakby kruchą niczym zleżały papier. - Ale piękna Emma nie została jeszcze wyeliminowana. Tu, w tym kraju, nie może się już wprawdzie więcej pokazać, lecz jest teraz w Hiszpanii, naszej ukochanej ojczyźnie”.

Don Sebastian rzucił czarny kaptur i widać teraz było przyprószone siwizną włosy i cienkie jak pergamin wargi.

„To znaczy, że znajduje się niebezpiecznie blisko naszej tajemnicy”.

Don Federico stwierdził zamyślony:

„Emma nie jest groźna. Istnieje jednak inne niebezpieczeństwo, z którego ci młodzi pod drzewami najwyraźniej nie zdają sobie sprawy”.

„Masz na myśli tego chudzielca i jego asystenta? Bez wątpienia to zagrożenie jest większe, ci bowiem mają w rękach papiery naszego nieszczęsnego przyjaciela Santiago. Nasi sprzymierzeńcy powinni się spieszyć”.

Don Garcię rezygnacja wprost przytłaczała.

„Nie dadzą rady. A oni przecież są naszą ostatnią nadzieją, inaczej skazani będziemy na przemierzanie świata na koniach już przez całą wieczność”.

Czterej pozostali również mieli tego świadomość. Cisza, która zaległa między nimi, była ciężka jak ołów.

W końcu don Federico podniósł głowę.

„To nonsens! Przecież jeszcze mają czas. Poza tym sami są zainteresowani uwieńczeniem swoich wysiłków powodzeniem. A gdyby się nie udało... Cóż, pozostaje nadzieja, jaką można łączyć z dzieckiem, które przyjdzie na świat”.

Don Ramiro był bardziej sceptyczny.

„Chciałbym wierzyć, że nie zabiorą ze sobą tej pięknej Vesli, królowej amazonek, do Hiszpanii. Ani jej, ani jej dziecka nie wolno narażać na niebezpieczeństwo”.

W oczach don Galinda pojawiła się czujność.

„Pokładać nadzieję tylko w jednym dziecku? Czy nie powinniśmy zapewnić sobie więcej dziedziców?”

Na takie stwierdzenie natychmiast zareagował don Sebastian, przodek Unni:

„Młoda Unni jest zbyt cenna dla naszych poszukiwań, aby powstrzymywały ją tego rodzaju kobiece troski, jakie wiążą się z oczekiwaniem dziecka”.

„Nie zgadzam się - zaprotestował czym prędzej don Ramiro. - Don Galindo ma rację. Powinniśmy dać jej i najsilniejszemu jeszcze jedno pół godziny. Za pierwszym razem musieli poświęcić ten czas na ratowanie jego życia”.

„No tak, bo on przecież nie może odzyskać pełni swego ziemskiego istnienia - zgodził się don Federico. - Musi pozostać w naszym świecie, by móc ujarzmić złe istoty, które po nim krążą, tak samo jak te we współczesnym świecie. Dobrze! Dajmy mu jeszcze raz pół godziny!”

„Kiedy?” - spytał don Ramiro.

„Gdy nadejdzie na to czas”.

Posłali gromadce skupionej przy ogrodowym stole ostatnie spojrzenie, po czym zawrócili i odjechali w swoją stronę.

- Przyznajcie to wreszcie - westchnął zniecierpliwiony Morten. - Utknęliśmy!

- Wcale nie! - zaprotestowała urażona Unni. - Przecież odkryliśmy tak wiele!

- Ale to nie wystarczy - stwierdził Antonio. - Nie wystarczy, żeby jechać do Hiszpanii. Nie możemy szukać po omacku i liczyć na łut szczęścia, musimy dowiedzieć się czegoś bardziej konkretnego. A poza tym wydaje mi się, że moje kolano nie wydobrzeje w ciągu tygodnia, tak jak mówiliście.

- Ja też tak sądzę - zgodził się z nim Jordi. - Ale obejrzyjmy sobie teraz księgę tej Estelli!

Zgromadzili się w cieniu dużego liściastego drzewa, skupieni wokół Antonia, który siedział z nogą opartą na stołku, i Unni, trzymającej w ręku papiery.

Jordi obserwował dziewczynę, a jego wzrok stawał się coraz bardziej zamglony. Tak strasznie jej pragnął, że aż mąciło mu się od tego w głowie. Przez tyle lat mógł widywać ją jedynie z daleka, potem spotkali się naprawdę i okazało się, że ona również marzyła o tym, by go jeszcze kiedyś zobaczyć. Byli sobie tak bardzo bliscy, a nie mogli do siebie dotrzeć.

Jordi nic nie wiedział, że rycerze postanowili podarować im kolejną szansę, kolejne pół godziny spędzone w tym samym wymiarze. Jordi miał na chwilę stać się człowiekiem, nie zdawał sobie jednak sprawy, że to nastąpi, i serce mu krwawiło. Czas, jaki dzielił go od dnia trzydziestych urodzin, stale się skracał. Jordi pragnął działać, chciał już w końcu rozwiązać tę przeklętą zagadkę, pozostali jednak mieli rację: wciąż wiedzieli zbyt mało, a wałęsanie się po północnych rejonach Hiszpanii i szukanie igły w stogu siana nie miało sensu.

Ach, Unni, Unni, kiedyż wreszcie będę mógł okazać ci swoją miłość? Obserwował profil dziewczyny, podczas gdy Unni układała swoje przepisane na maszynie kartki. Sprawiała wrażenie dość wzburzonej, co Jordi zresztą świetnie rozumiał. Sam przecież czytał te osławione już memuary.

- Muszę przyznać, że naprawdę świetnie sobie poradziłaś z odczytaniem tych starych hiszpańskich zapisków, Unni - powiedział Pedro.

- Och, nie, prawdę mówiąc, to dzieło Jordiego - roześmiała się zakłopotana dziewczyna. - On tłumaczył, a ja tylko notowałam przetłumaczone już zapiski Estelli.

- Czy po hiszpańsku to imię nie brzmi „Estrella”? - spytała Gudrun.

- Owszem - wyjaśniła Unni. - Lecz z tych zapisków wynika, że ona jako dziecko mówiła o sobie „Estella” i później również tak ją nazywano.

- Moją uwagę zwróciło inne imię - powiedziała Vesla. - Emile.

Czy nie jest to imię francuskie?

- No tak, po hiszpańsku powinno raczej brzmieć „Emilio”, ale Nawarra graniczy przecież z Francją, Emile mógł więc mieć jakichś przodków pochodzących właśnie stamtąd.

- Tak, był chłopakiem z sąsiedztwa - pokiwała głową Unni. - Z najbliższego dworu. Ale skoro rozmawiamy już o imionach... Myślę teraz o tej parze nastolatków, księciu Rodriguezie de Cantabria i księżniczce Elvirze de Asturias. Cantabria nigdy przecież nie była chyba królestwem i... Czy rycerze mogą mnie teraz słyszeć, Jordi? - spytała szeptem.

- Nie sądzę - uśmiechnął się. - Możesz mówić dalej. Unni na wszelki wypadek zniżyła głos.

- Don Federico de Galicia nosi tytuł principe heredero, czyli dziedzic korony albo następcę tronu. Ale chyba również Galicia nigdy nie była królestwem?

- Pytałem o to rycerzy, bo mnie także to zdziwiło. Królestwami były jedynie Asturia i Nawarra. W tamtych czasach jednak w rodach szlacheckich zawsze zawierano związki małżeńskie pomiędzy ludźmi odpowiedniego stanu. A przecież de Cantabria, de Galicia i de Vasconia to były bardzo znamienite tytuły, nawet jeśli nie królewskie.

Zawierano też bardzo wiele małżeństw kazirodznych. Tak więc matka don Federica była księżniczką Asturii, ojciec natomiast wywodził się z najpierwszego z rodów Galicji. Podobnie książę Rodriguez miał w żyłach królewską krew zarówno Asturii, jak i Nawarry, choć jego ojciec był jedynie wysoko urodzonym panem z Kantabrii, księciem lub markizem... Nie za bardzo się wyznaję na ich tytułach. Ale pamiętajcie, że chociaż to rycerze wybrali młodych na przyszłą parę królewską pięciu połączonych północnych prowincji, to z całą pewnością ich decyzję popierało wielu potężnie urodzonych mężczyzn i wiele kobiet. Ale to się działo już tak dawno temu, że nie ma o czym teraz mówić.

- Czy wobec tego możemy wrócić do sedna sprawy? - burknął Morten.

- Wcale się od niego nie oddalamy - pouczył go Antonio. - Ale zaczynaj, Unni. Posłuchajmy w końcu o grzesznej Estelli!

- Ta jej grzeszność okaże się zapewne bardzo względna - wtrąciła jeszcze Gudrun. - W siedemnastym wieku pojęcie grzechu było chyba znacznie szersze, tak mi się przynajmniej wydaje.

Właściwie chyba wszystko, co mogło sprawić jakąkolwiek przyjemność, uważano za grzech.

- Sądzisz więc, że jej grzechów nie powinniśmy traktować poważnie? - uśmiechnęła się Vesla.

- No właśnie.

Zarówno Unni, jak i Jordi dyskretnie chrząknęli. Oni oboje czytali już tę księgę i wiedzieli, jak sprawa naprawdę wygląda.

Unni czuła się trochę zakłopotana.

- Doszłam do wniosku, że księga nie nadaje się do czytania na głos. Przygotowałam więc kopie dla każdego z was, tak abyście mogli sami ją przeczytać.

- Naprawdę jest aż tak źle? - zaśmiała się Vesla, biorąc od Unni przeznaczony dla niej plik kartek.

- O, tak! Według mnie tak.

- Ale coś ty zrobiła, Unni? - wykrzyknęła Gudrun wstrząśnięta. - Jako wstęp do każdego rozdziału dopisałaś motto? Jakiś cytat z Mae West?

- Do tekstu z siedemnastego wieku? Co za anachronizm! - jęknął Morten.

- No cóż, uznałam, że to tak świetnie pasuje - broniła się zapłoniona Unni. - Ten sam frywolny styl życia, jeśli, rzecz jasna, zapomni się o takich rzeczach, jak środowisko i epoka.

- Chyba naprawdę pomieszało ci się w głowie - mruknął Morten.

Rozproszyli się. Poznajdowali dla siebie miejsca zarówno w ogrodzie, jak i wewnątrz domu, umówiwszy się wcześniej, że będą się zbierać po przeczytaniu każdego rozdziału, jeśli znajdzie się coś do omówienia. Takiej kolejności działań zażądała Unni. Boję się!

Jestem taka samotna, nikt nie chce chronić mnie przed tym złem.

Jestem sama, zupełnie sama.

Oni są tu, w korytarzach, słyszałam ich. Słyszałam, jak ich długie kościste palce suną, obmacując ściany. Paznokcie długie niczym szpony skrobią o kamień.

Szukają mnie. Nikt, nikt nie przybędzie mi na ratunek!"



## PAMIĘTNIK

spisany przez

**Donę Estrellę de Navarra y Euskadi y Rioja**

**w latach 1627 - 1637**

**Jeśli muszę dokonać wyboru między dwoma złami, wybieram zawsze to, którego jeszcze nie próbowałam.**

**(Mae West)**

*Castillo de Ramiro, marzec, Anno Domini 1628*

Pada. Jeśli wcisnę ramiona między grube kamienne ściany okienka wieży, mogę wyrzeć na zewnątrz. Zobaczyć, że pada.

W tej okropnie smutnej krainie pada chyba bez przerwy. Nuda, nuda, nuda!

Jedyną rzeczą, jaką można zobaczyć z mojej sypialni przy tych jakże rzadkich okazjach, kiedy wolno mi tam przebywać, jest ta wieża. Doprawdy, cudowny widok! Stara, straszna wieża, pociemniała i poszarzała od deszczu, porośnięta pasożytniczymi roślinami, które wczepiają się w szczeliny. Tylko mech i martwy kamień. Owszem, z sal roztacza się pewien widok, na te same góry, te same lasy i domy, na które patrzę przez całe swoje życie.

Czy istnieje coś za tymi górami?

Mama twierdziła, że tak. Mówiła, że ojciec był w wielkim mieście, które się nazywa Iruna.

Ja w to nie wierzę. Za górami nie ma nic.

Prawie nigdy nie pozwalają mi wchodzić do sal. Dorośli twierdzą, że wygaduję tyle głupstw. A tak wcale nie jest, to oni są głupi!

Nienawidzę siedzenia w tej wieży. Deszcz tkwi w jej ścianach swoją wilgocią, zawsze jest zimno, a jeśli wyjdzie się na blanki, to wiatr przenika do szpiku kości. Na dwór nie wolno mi wychodzić, nawet kiedy jest cudownie ciepło. Mama mówi, że słońce niszczy mi skórę, która robi się wtedy wstrętne brązowa, jakbym pochodziła z jakiegoś obcego plemienia albo była jedną z biedaczek żyjących na ulicy.

Ale Mama nie jest moją prawdziwą mamą, więc nie obchodzi mnie, co mówi.

Mam piętnaście lat i żyję jak więźniarka.

Dorośli twierdzą, że to tylko moja wina. Nigdy nie potrafię się zachować tak, jak przystoi wysoko urodzonej potomkini starego dumnego rodu Iniguez z Nawarry. Znow więc

siedzę tutaj, w wieży, tylko dlatego, że powiedziałam, iż ten francuski hrabia to stary onanista. Co w tym takiego strasznego? Stryj Domingo szeptem powtórzył wszystko ojcu, a jego przecież wcale nie zamknęli w wieży. Oczywiście może trochę źle się stało, że również hrabia to usłyszał, ale ja przecież nie wiem, co znaczy to słowo.

A właściwie wiem. To przez tę piastunkę, która się mną opiekowała, kiedy byłam mała, tę wielką, grubą podstarzałą babę.

Miała kiedyś kapać mnie i mojego kuzyna Sancha. Ach, ależ go obmacywała! Biedny chłopiec okropnie się przeraził. Mówiła, że go wymasuje, a potem nagle przerwała, podciągnęła czarne spódnice i wsunęła rękę pod spód, a w końcu wybiegła z pokoju z twarzą czerwoną i błyszczącą.

Wiem dobrze, o co chodzi, bo sama to robiłam. To bardzo przyjemne. Ale nie z kuzynem Sanchem, oczywiście, bo on ma teraz dopiero czternaście lat, zresztą nie widziałam go już od pewnego czasu.

Ach, gdybym mogła się stąd wydostać! Chcę zobaczyć, co znajduje się za horyzontem, chcę zobaczyć to wielkie miasto Iruna.

Przyjezdni nazywają je Pampeluna. Musiałam się nauczyć ich języka. Nie wolno mi mówić w języku Nawarry, bardzo podobnym do baskijskiego, bo tak podobno nie wypada. Tak mówią tylko chłopcy i żebracy, sama hołota. Muszę mówić i pisać po kastylijsku, który nazywa się teraz po prostu hiszpańskim.

No, najwyraźniej wróciłam do łask, mogę znów zamieszkać na zamku. Pamiętnik schowam do kieszeni spódnicy, tak żeby nikt się o nim nie dowiedział.

*Kwiecień, A. D. 1628*

Dzisiaj znów wielki rozgardiasz. Ojciec wyrusza się bić, on to uwielbia. Nazywają go przecież „krwawym”, a on w pełni zasługuje na taki przydomek. Na własne oczy widziałam, jak chłoszcze żebraków, wymierza ciosy włóczegom na tylnym dziedzińcu, a podobno dla wrogów podczas walki nie zna litości.

Jego matka a moja babka była Włoszką i właściwie ojciec nosi imię Sebastian, lecz ona nazywała go Sevastino, czyli „mały Sebastian”, lecz, doprawdy, mały dawno już przestał być. To strasznie przystojny mężczyzna. Nosi podkreścone do góry wąsy, kozią bródkę i ma bardzo czerwony nos.

Nie wiem, z kim teraz walczymy, z Francuzami czy Portugalczykami, czy też po prostu z jakimiś nędznymi bluźniercami.

Tak czy owak ojciec się z nimi rozprawi, jak zawsze.

Siedzę przy oknie w małej czytelni na piętrze. Nikt nigdy tu nie zagląda, mogę więc pisać w spokoju. Ukradłam tę księgę ze składu zarządcy zamku. Stryj Jorge też prowadził jakieś zapiski, wiem o tym. Dlatego i ja postanowiłam pisać.

Stąd przynajmniej nie muszę patrzeć na wieżę, z okna roztacza się widok na dziedziniec, a to o wiele ciekawsze.

O, jest ojciec, zaraz dosiądzie konia. Doprawdy, pięknie się prezentuje w zbroi! Damy na zamku najwyraźniej uważają tak samo. Czyżby miał zamiar całować je wszystkie? To dopiero uczta!

Klepie je po tyłkach, obściskuje się z nimi, a one tak się do niego tulą!

Mamie na pewno się to nie podoba. Założę się, że stoi w oknie gdzieś pode mną, a ta jej lalkowata twarz ściągnęła się i pozieleniała z zazdrości.

Pisałam już, że ona nie jest moją matką. Nie wiem, którą żoną jest z kolei, bo ojciec pozbywa się małżonek szybciej niż ten angielski król Enrique. Ale w płodzeniu dzieci ojciec nie jest mistrzem, ma tylko mnie i wścieka się, że nie może się doczekać syna.

Mama - muszę się tak do niej zwracać - nie lubi mnie, ale mnie to nic a nic nie obchodzi. Wczoraj mi oświadczyła: „Niech ci się nie wydaje, że jesteś ładna! Jesteś brzydka i podła!”

Ha! Tym samym przyznała, że jestem ładna, inaczej nic podobnego by nie powiedziała. Wiem przecież, że dobrze się prezentuję. Kiedy rozpuszczę długie czarne włosy tak, żeby niczym rama otaczały moją piękną twarz o arystokratycznych rysach, matowej złocistej cerze i wielkich oczach, i stanę w oknie albo nieoczekiwanie pojawię się w holu... O tak, widziałam, że mężczyźni oczu nie mogą ode mnie oderwać. Oczywiście chodzi wyłącznie o wieśniaków, służących i parobków, ale również ksiądz, chłopcy z chóru i goście ślą mi ukradkowe spojrzenia. A właśnie tego Mama nienawidzi.

A czy jestem podła? Tak, dla niej taka jestem. Sprawia mi to wielką przyjemność w tym smutnym świecie, gdzie nic się nie dzieje.

Ach, cóż to za giermek? Doprawdy, bardzo przystojny, skąd on się wziął? Taki młody, niewinny i taki śliczny. Och, już to czuję w całym ciele! Gdybym tylko mogła wyjść! Ale nie pozwalają mi. Oj, podeszły teraz do niego dwie młode służące, krążą wokół niego, kładą mu ręce na ramiona, przekrzywiają przy tym głowy. Jakież to paskudne! Ale on stara się nie zwracać na nie uwagi. To dobrze.

Teraz ojciec coś do niego wrzasnął i dziewczęta zniknęły. Ale ojciec chyba rozgniewał się na giermka, a przecież chłopak nic takiego nie zrobił.

Mam bardzo smukłą talię. Mama najwyraźniej nie lubi, kiedy piersi mi tak sterczą. Twierdzi, że trzeba je ciasno sznurować. Nigdy w życiu! Dobrze wiem, że mężczyźni się na mnie gapią, i właśnie dlatego ona tak się złości. Zupełnie tak jak ojciec, który rozgniewał się na giermka, bo służące zapomniały o okazywaniu podziwu swemu panu.

Czasami ogarnia mnie wielki smutek. W naszym rodzie jest coś dziwnego. Ojciec miał szczęście, bo urodził się jako drugie z kolei dziecko i to go ocaliło. Ja natomiast jestem jego pierwszym dzieckiem, jedynym zresztą. Mama lubi mi powtarzać, kiedy nikt inny nas nie słyszy, że umrę młodo. Tak samo jak starszy brat ojca, Jorge, ten, który wstąpił do klasztoru. Jak mógł być taki głupi!

Przecież ci upiorni mnisi mieli dzięki temu łatwiejszy do niego dostęp. Pewnie jednak wierzył, że Bóg i Madonna go ocalą, ale tak się nie stało. Znalezione go martwego, z jakąś obrzydliwą maścią w kącikach ust, podobno wyglądało to tak, jakby ktoś zmusił go do przełknięcia jakiegoś paskudztwa.

Wiele się zastanawiałam nad jedną rzeczą, która jest moją nadzieją i pociechą. Ojciec miał po mojej matce co najmniej cztery żony i długi, długi szereg kochanek, mówiły o tym kobiety na zamku. Tymczasem oprócz mnie nie spłodził innych dzieci. Kilka lat temu któraś szeptem zauważyła, że prawdopodobnie jego pierwsza żona musiała go zdradzić.

To naprawdę dobry pomysł, bo w takim razie on wcale nie jest moim ojcem, a mnie ominie złe dziedzictwo, ponieważ ono ciąży nad rodem ojca. Przekonamy się o tym, kiedy będę miała dwadzieścia pięć lat, ale ufam, że nic złego się nie stanie. Właściwie jestem prawie pewna, że przeżyję.

A jeśli nie...?

Tak czy owak zadbam o to, żeby dobrze się bawić do tego czasu, bez względu na to, co się później wydarzy. Nie mogę przecież tkwić tutaj i powoli gnić.

Ale zanim skończę dwadzieścia pięć lat, upłynie jeszcze długi czas. A kiedy jest się już tak starym, to po co dalej żyć? Równie dobrze można wtedy umrzeć, prawda?

### ***Maj, A. D. 1628***

Znów sprzysięgły się przeciwko mnie! Mama i jej „damy dworu”.

Madre de Dios, można by przypuścić, że jesteśmy królewskiego rodu! Wcale tak nie jest, ale Mama tak się zachowuje, kiedy ojciec wyjedzie. Służba musi wychodzić tyłem, a ona otwarcie okazuje mi swoją nienawiść. Ale niech lepiej uważa, bo ja i tak już zauważyłam, że ojciec na ostatnim balu upatrzył sobie inną kobietę. Nie pozwolono mi w nim uczestniczyć,

ale wszystko obserwowałam z galerii. Wkrótce minie już twój czas, moja kochana, i ja sama wypędzę cię stąd kopniakami!

Ojciec służy u króla Filipa, który tak samo jak on kocha walkę.

Musi bronić naszego potężnego królestwa, to oczywiste, chyba największego na świecie. Hiszpania, Niderlandy, Niemcy, Austria, nie mówiąc już o tych licznych zamorskich koloniach, nie jestem w stanie spamiętać wszystkiego, co posiadamy. A ponadto obowiązkiem naszego króla jest niszczyć bezbożników, Arabów, Żydów, protestantów, całą tę hołotę. Dobrze, że mamy dzielnych mnichów inkwizycji. Wprawdzie mój stryj Jorge twierdził, zdaje się, że to właśnie tacy mnisi straszą w naszym rodzie, ale ja w to ani trochę nie wierzę. Niemożliwe, aby byli tacy krwiożerczy, wszak to służy Boga, my zaś poza wszystkim jesteśmy dobrymi katolikami.

Stryj Jorge był zwyczajnym historykiem. Czarni bracia na pewno nie są źli, czyszczą świat z wszelkich herezji, tropią kłamstwa.

No, ale teraz te babska na zamku umyśliły, że pozbędą się mnie na jakiś czas. Zamierzają wysłać mnie do stryja Dominga, przyrodniego brata mego ojca, z drugiego małżeństwa babki. Żona stryja, ciotka Juana, jest naprawdę okropna. Prawdziwa sekutnica!

Jest tam jeszcze ich syn, Sancho, ten, z którym razem kąpaliśmy się jako dzieci. Od tamtej pory widziałam go zaledwie kilka razy, ale od ostatniego spotkania i tak upłynęło bardzo wiele czasu. Płaczliwy smarkacz.

Mama twierdzi, że Juana już zadba o to, żeby mnie trochę nauczyć oglądy, bo to może się okazać potrzebne. Czyżby? Jestem nieodrodną córką swego ojca i zrobię tak, jak zechcę. Mama twierdzi, że jesteśmy do siebie wprost strasznie podobni, oboje nie mamy za grosz moralności. Ale na co człowiekowi moralność?

Tu jednak jest zbyt smutno. Nie dzieje się nic ciekawego, można jedynie siedzieć i haftować z tymi starymi plotkarkami, zawsze zazdrosnymi „damami dworu”. A może miałabym studiować w bibliotece razem ze starym Carlosem? Ten zasuszony staruch na pewno nic już nie ma w tych wypchanych pludrach. Pewnie jest z nim tak samo jak z baronem, który nosi olbrzymi sącze, taki jak wędrowni kuglarze, tyle że jeszcze większy, a tymczasem widziałam, jak siusiał w rabacie różanej pod moim oknem.

Doprawdy, żalosne, co w nim chowa! Kuzyn Sancho mógł się poszczycić większymi klejnotami jako pięcioletnie dziecko.

Mężczyźni tylko się przechwalają. Już wolę konie, na ich widok przechodzą mi ciarki rozkoszy. Mężczyźni nie mogą się z nimi równać.

Nie chcę jechać do ciotki Juany, która będzie mną dyrygować jak służącą, nie chcę też zostać tutaj i zanudzić się na śmierć. Tu zresztą nadzór Mamy także wprost mnie dusi.

Ale przecież nigdy nie byłam u ciotki i stryja, a gorzej niż tutaj już chyba nie może być. Jadę!

Muszę zabrać ze sobą pamiętnik, tylko jak? Boję się zostawić go w domu, bo Mama i te jej zgryźliwe towarzyszki bezustannie węszą po kątach. Z drugiej strony jednak zabieranie go może okazać się ryzykowne, bo nigdy nie wiadomo, co się człowiekowi przytrafi.

Ukryję go starannie na dnie mojego kufra, ale mogę mieć w kieszeni niedużą książeczkę, w której będę notować rozmaite wydarzenia w skrócie, a później wpiszę je do dużej księgi ze wszystkimi szczegółami. Zamierzam zostać pisarką, nikt jednak nie może się dowiedzieć, że książkę napisała kobieta, bo później nikt nie zechce jej wydrukować. Oczywiście nie mam na myśli tego pamiętnika, w nim jest za wiele brzydkich wyrazów i zbyt wiele jadowitych wypowiedzi na temat osób znanych z imienia. Chodzi mi o to, że nie mogę napisać, że Mama stale dłubie w nosie, chociaż to prawda, ani że jej garderobiana nie potrafi nic utrzymać, ani języka za zębami, ani moczu. Albo że ojciec próbował dobierać się do każdej służącej w domu ani też o tajemnicach wokół grobu stryja Jorge, tego mnicha.

O, nie, ja będę wymyślać interesujące historie, tak jak Dante, Boccaccio czy Cervantes. Zajmę się tym, jak już będę bardzo stara, kiedy skończę trzydzieści lat. Tak, tak, bo nie wierzę, że miałabym umrzeć w wieku dwudziestu pięciu lat. To tylko takie straszenie.

### *Dzień później*

Santa Maria! Co to się wydarzyło wczoraj wieczorem?

Poszłam się położyć, wszystko było już gotowe do mojego wyjazdu, który ma nastąpić dziś popołudniu, gdy nagle usłyszałam dobiegające z korytarza jakieś dziwne dźwięki, szuranie kroków, szepty i postękiwania...

Delikatnie uchyliłam ciężkie dębowe drzwi. Zrobiłam tylko małą, malusieńką szczelinę i wyjrzałam jednym okiem. W moim pokoju było ciemno, mnie więc nikt nie mógł zobaczyć.

Zamigotał płomień świecy, trzymanej wielką ręką. Dostrzegłam twarz, to był jeden z parobków. Towarzyszyło mu jeszcze dwóch mężczyzn. W pierwszej chwili wydało mi się, że jednym z nich jest ojciec, lecz on przecież pojechał walczyć dla króla Felipe - Filipa Czwartego, również żądneho krwi jak ojciec. Król twardą ręką gromi wszystkie niewierne

psy, protestantów i inną hołotę. Jezusie Maryjo, ojciec opowiadał mi o królewskiej komnacie tortur, to naprawdę niezwykle!

O czym to ja pisałam? Aha, ten tak bardzo podobny do ojca i jeden ze służących coś między sobą nieśli, jakiś podłużny opakowany przedmiot, zwieszający się pośrodku. Przypominał trochę zwinięty dywan. Wydaje mi się, że to naprawdę był dywan.

Mam wrażenie, że poznałam ten, który leży rozłożony w zewnętrznym korytarzu zamkowej kaplicy.

Zbliżyli się, więc jeszcze bardziej przymknęłam drzwi. Coś do siebie szeptali w podnieceniu, a tymczasem ten ze świecą podszedł do drzwi wieży. No tak, bo jest przecież korytarz prowadzący na wieżę, ale najpierw trzeba przejść do wąskiej narożnej wieży, stamtąd kręconymi schodami w dół i dochodzi się do nowych drzwi, prowadzących na korytarz wiodący do wielkiej wieży. Przecież doskonale znam tę drogę, bo muszę siedzieć w tej paskudnej wieży, gdy uznają, że byłam niegrzeczna. Ja uważam, że nie postępuję niegrzecznie, lecz jestem po prostu szczerą, a widać tego nie wolno, bo wówczas prosta droga do więzienia.

Fuj! Zapachniało ziemią, kiedy mnie mijali.

Z tej wąskiej, wysokiej narożnej wieży dochodzi takie straszliwe zawrozczenie, jak gdyby wiatr upatrzył sobie to miejsce. Nie lubię tych kręconych schodów. Kiedy się nimi idzie, powiewy wichru podnoszą spódnice i chłód przenika całe ciało, to ani trochę nie jest przyjemne.

Bez względu na wszystko: mężczyźni zniknęli w narożnej wieży.

Nawet na moment nie wypuścili z rąk dywanu, który wprawdzie nie wydawał się wcale ciężki, lecz ten człowiek przypominający ojca szepnął: „Ostrożnie, do wszystkich diabłów”, i pewnie dlatego sprawiali wrażenie bardzo zmęczonych dźwiganiem. A w wieży zawodziło, jak gdyby zamknęli tam wszystkie diabły.

Jak przyjemnie jest pisać o diabłach! Na głos nie wolno o nich mówić. Nie mogę pozwolić, żeby ktokolwiek czytał ten pamiętnik, bo wtedy będzie ze mną źle.

Zaczekałam chwilę, lecz mężczyźni nie wrócili.

Ciekawa jestem, skąd się tu wzięli? Nie przyszli przecież z sali rycerskiej, która znajduje się na dole. I czego szukali tu, na górze, przecież mogli przejść bezpośrednio do wieży?

Tu są tylko sypialnie i zamkowa kaplica.

No właśnie, kaplica. Czy może raczej powinnam nazwać ją kościołem? Czego mogli tam szukać? W dodatku tyle ostrożności i tajemniczości z powodu jednego dywanu? Nic z tego nie pojmuję.

### *Jeszcze dzień później*

Naprawdę cudownie było wydostać się z zamku. Gruby Bartoldo siedział na koźle, a ja i moja duena, przyzwoitka, usiadłyśmy w karecie. Na cóż mi towarzystwo tej starej krowy?

Wybierałyśmy się aż pod granicę francuską, stryj Domingo mieszka wysoko w Pirenejach.

Ach, jakże cieszyłam się tą podróżą! Przecież do tej pory nigdy w życiu niczego nie widziałam. Aż trudno uwierzyć, że po drugiej stronie gór może być tak pięknie.

Te tajemnicze lasy pełne mchu, pnie oplecione dzikim winem, szemrzące strumienie i fantastyczne kwiaty, a nad głowami szybujące wielkie ptaki. Byłam tym kompletnie oszołomiona, chyba nawet trochę się popłakałam, ale wtedy duena rozgniewała się i zasnurowała te swoje i tak już suche i wąskie usta.

Nie chcę, żeby mnie spotkał taki sam los jak ją. Przecież trudno powiedzieć, że ona w ogóle żyje!

Ja pragnę grzeszyć, lecz nie mam z kim.

A teraz jesteśmy już u stryja Dominga i jego okropnej Juany, która okazała się o wiele gorsza, niż ją zapamiętałam. Jutro napiszę więcej. A tak przy okazji, to dywan z korytarza przed kaplicą gdzieś zniknął.

### *Lipiec, A. D. 1628*

Napisałam „jutro”? Od tamtej pory minęły dwa miesiące! Jezus Maria, tyle się wydarzyło! Tyle, że ledwie miałam czas bodaj pokrótce zanotować wszystko w mojej malej książeczce. Teraz spróbuję opisać to w dużej, ale, na miłość boską, tyle się działo, w jaki sposób zdążę zanotować wszystkie szczegóły?

Ileż zamieszania narobiłam, ja, nieszczęsna grzesznica!



## Lierbakkene, wspólnie

- No cóż, uznałam, że zrobię przerwę w tym miejscu - powiedziała Unni. - Bo ona nie dzieli swoich zapisków na rozdziały, wstawia jedynie daty, a czasami jest od nich aż gęsto.

Postanowiłam więc...

- Doskonale - przerwał jej Antonio, nie chcąc, by Unni się powtarzała. - To bardzo rozsądne!

- Ta Estella wydaje mi się dość niesympatyczną osobą - skrzywiła się Vesla. - Jest wyniosła i pełna pogardy.

- Cóż, szlacheckie dziecko swej epoki - wyjaśnił Pedro, bardziej skłonny do ugody. - Dzieci wychowywano, wpajając im właśnie takie nastawienie do otaczającego świata.

- Ta dziewczyna to buntowniczką - kiwnął głową Jor - di. - Lecz buntuje się na zasadach wpojonych jej przez wychowawców. Nie potrafi się całkiem od nich oderwać.

- Zobaczymy, jak będzie się rozwijać - uśmiechnęła się Unni, która przecież już to wiedziała. - Lecz że jest nieodrodną córką swego szalonego ojca, to pozostaje poza wszelkimi wątpliwościami.

- Ojciec spłodził jeszcze jedno dziecko - stwierdził Antonio, który przyglądał się drzewu genealogicznemu. - Miał syna Juana, który urodził się dziesięć lat po śmierci Estelli.

- Dziesięć lat i prawdopodobnie bardzo wiele kobiet - powiedziała Gudrun. - Chyba jednak nie mógł imponować płodnością.

- Pewnie w obliczu wszystkich tych bitew i walk, jakie musiał toczyć z tymi, którzy mu się sprzeciwiali, brakowało mu na to czasu.

W powietrzu dookoła pojawiły się przywiane przez wiatr delikatne, przypominające małe spadochrony puszki dmuchawca.

- Ale w związku z tym rozdziałem chyba nie ma o czym dyskutować? - spytał Morten.

- Tak nie można powiedzieć - sprzeciwiła się Vesla. - Jest w nim na przykład mowa o śmierci stryja Estelli, Jorge, w klasztorze.

- To prawda. Mnisi, śludzy inkwizycji, najwyraźniej znów wówczas zadziałali - powiedział Pedro. - O jakim to klasztorze mowa?

- San Salvador de Leyre - odparł Jordi. - To niezwykle piękny, wielki, wysoko położony klasztor. Wciąż mieszkają w nim zakonnicy.

Można tam przenocować za wcale rozsądną cenę.

- Powinniśmy kiedyś spróbować - zaproponował Antonio.

- Może wręcz okaże się to konieczne - odparł Jordi dość złowieszczo.

- Mamy też w końcu nazwę domu Estelli. „Castillo de Ramiro” - przypomniała Gudrun. - Wiadomo ci coś na ten temat, Jordi? Wiesz, na przykład, gdzie on leży?

- Nie. Może ty coś słyszałaś, Pedro?

- Niestety, ta nazwa jest mi całkowicie obca. Może w ogóle już nie istnieje?

- Castillo! Twierdza albo zamek? Wiele trzeba, żeby taka budowla została zrównana z ziemią.

- Rozumiem, że nie chodzi tu o ruiny tego dworu, który odwiedziliście? - dopytywała się Gudrun.

- O, nie, absolutnie nie - odpowiedział Jordi. - Castillo de Ramiro musi leżeć dalej na północ, wyżej w górach. Estella bowiem w ciągu jednego popołudnia zdołała dojechać stamtąd do domu swego stryja Dominga, odległość nie mogła więc być duża. A stryj mieszkał już w Pirenejach. Ale nie będziemy się zastanawiać nad tym, gdzie leżał dom stryja Dominga, bo to nie ma znaczenia dla całej zagadki, jest raczej nieistotne. Natomiast dom Estelli powinniśmy zlokalizować.

- Nazwa mogła się zmienić - podsunął Antonio, prostując nogę.

- Tak, to niewykluczone. Możemy mieć więc problemy. Vesla zapatrzyła się gdzieś daleko.

- Zastanawiam się nad tym dywanem, który ciągnęli ci ludzie.  
Co to miało znaczyć? Czyżby coś nim owinięto?

- Przypuszczam, że były to jakieś rzeczy pochodzące z kradzieży. Kościoły i kaplice posiadają często niezwykle cenne skarby. Wprawdzie Estella nic o tym nie wspomina w swojej księdze, ale...

Morten podniósł głowę.

- Ona pisze o jakichś tajemnicach związanych z grobem Jorge.

Jordi odparł:

- Właśnie to miałem na myśli, mówiąc, że musimy złożyć wizytę w klasztorze San Salvador de Leyre.

- No tak - przyznał Pedro. - Pojawili się tam mnisi, słudzy inkwizycji. Wszyscy ci, którzy pozostali, chociaż nie będę dodawał „przy życiu”. Urraca przecież wyeliminowała jednego z pierwotnych trzynastu.

- A teraz zostało ich siedmiu - przypomniała Gudrun.

- Ty, Unni, pogromczyni mnichów, nie ruszasz się chyba nigdzie bez tego znaku? Masz go przy sobie wszędzie, gdzie tylko siedzisz i gdzie stoisz? - spytał Pedro.

- Owszem, a wy wszyscy również powinniście go mieć - podkreśliła dziewczyna.

- To rzeczywiście doskonały pomysł, zaraz sobie taki zrobię!

- Ja już mam - powiedziała Vesla.

- Ja również - podchwycił Jordi. - Nauczyliśmy się tego od Unni.

Wszyscy pozostali zdecydowali się iść za ich przykładem.

Wylimitowanie mnicha byłoby niczym ważna odznaka.

- Tylko pamiętajcie, że trzeba wypowiedzieć słowa „Amor ilimitado solamente” - pouczała Unni. - Bo inaczej „nie będzie się liczyło”. Tak jak z tym facetem, który twierdził, że jeśli ktoś zostanie przejechany na przejściu dla pieszych, to się nie liczy.

Rozdzwonił się telefon. To rodzice Unni, którzy umówili się z nimi na spotkanie, i pytali teraz, czy goście naprawdę przyjdą za dwie godziny.

- Powiedzmy za godzinę i pięćdziesiąt siedem minut - odparła Unni. Odłożyła słuchawkę i popatrzyła na przyjaciół. - Całkiem o tym zapomniałam!

- Ale my pamiętaliśmy - uspokoiła ją Vesla. - Kupiliśmy kwiaty i już przygotowaliśmy wyjściowe ubrania. Bardzo się cieszymy.

Najwyższy czas, żeby jacyś krewni dowiedzieli się, czym się tak naprawdę zajmujemy. A najlepiej będzie powiadomić twoich.

Unni ucieszyła się, lecz zaraz zaczęła rozważać to w duchu. No cóż, konkurencja nie była zbyt duża. Ani Jordi, ani Antonio, ani Pedro nie mieli żadnych krewnych. Mor - ten i Gudrun mieli jedynie siebie, zaś matka Vesli absolutnie nie nadawała się do tego rodzaju zwierzeń.

Mimo to jednak Unni cieszyła się, że nareszcie wtajemniczą jej rodziców w całą tę skomplikowaną zagadkę. Koniec z ukrywaniem się i sekretami.

- Mamy dwie godziny? - spytał Antonio. - To zdążymy chyba jeszcze przeczytać jeden rozdział?

Na myśl o tym wcale nie rozpierał ich entuzjazm. Znajomość z Estellą naprawdę nie była przyjemna.

**Masz w kieszeni pistolet, czy po prostu tak bardzo się cieszysz, że mnie widzisz?**

**M. W.**

*Pireneje, lipiec, A. D. 1628*

Mój pobyt na dworze stryja Dominga przed dwoma miesiącami nie okazał się wcale taki długi, jak się tego najwyraźniej spodziewano. Sama się o to zatroszczyłam dzięki wrodzonym zdolnościom wywoływania skandali.

Ale zacznę od samiuteńkiego początku!

Ciotka Juana, ta nieznośna jędza, traktowała mnie od samego przyjazdu, jakbym była kupką cuchnącego łajna. Dwór okazał się pięknie położony, bardzo blisko granicy francuskiej, otoczony białymi szczytami gór i niedużą wioską mu podległą. Jak dotąd wszystko było w najlepszym porządku, ale...

Ciotka zmierzyła mnie lodowatym spojrzeniem i powiedziała słodko - kwaśnym głosem:

„A więc Sevastino i ta jego mała gaska nie są w stanie nauczyć cię dobrych obyczajów? No, tak, sama to widzę”.

Jak możesz to zobaczyć, ty wiedźmo, pomyślałam, bo w przeciwieństwie do niej byłam ubrana tak, jak nakazuje moda. Ona pewnie jednak piła do głębokiego wycięcia mojej sukni i niezasnurowanych piersi. Tak, tak, bo z tym akurat poradziłam sobie podczas podróży. Usunęłam wszystkie wstrętne drutowania, oczywiście ku przerażeniu dueni, ale przecież nie będę służyć przyzwoitki, są jakieś granice posłuszeństwa!

Stryj Domingo natomiast na widok mojego dekoltu wznosił wysoko krzaczaste brwi, ale nic nie powiedział.

A potem zjawił się kuzyn Sancho. Mój ty świecie, ależ on urósł od naszego ostatniego spotkania! Sprawiał jednak wrażenie wyjątkowo ostrożnego, z pewnością matka bardzo krótko go trzyma. Sancho ma już czternaście lat i... No cóż, zabójczo przystojny nie jest, ale da się na niego patrzeć. I jakże on się na mnie gapił! Ciotka Juana wbiła mu w stopę swój ostry obcas, aż krzyknął i strasznie się zaczerwienił.

„Wkrótce będzie obiad - oznajmiła ciotka głosem takim, jakby przed chwilą napiła się octu. - A w tym domu jesteśmy przyzwyczajeni do przyzwoitego ubioru przy stole”.

Sympatyczne powitanie!

Dowiedziałam się, że stryj Domingo tak naprawdę mieszka w dość niebezpiecznym miejscu. Wśród okolicznych gór krążą buntownicy, od czasu do czasu Francuzi przypuszczają

nieśmiałe ataki przeciwko Hiszpanii, niekiedy zaś toczą się walki z hugenotami, chociaż stanowią one jedynie słabe echo tych, jakie miały miejsce dawniej. Tu, wśród tych przygranicznych okolic, spory pomiędzy katolikami i protestantami są częste, a w Pirenejach kryją się grupy mniej licznych nacji, spotkać też można bandy rozbójników.

Należało więc trzymać się blisko posiadłości.

Mnie wszystko to wydawało się niezwykle ciekawe, nawet w obliczu zetknięcia się z całą tą hołotą. Przecież wystarczyłoby zabrać ze sobą strażę w odpowiedniej liczbie, które prędko by sobie z rozbójnikami poradziły, a z pewnością bardzo interesujące byłoby pojeździć trochę po tych górskich okolicach i zbadać, co takiego kryją.

Nie miałam jednak okazji przyjrzeć się żadnej z tych niebezpiecznych grup. Nie pozwolono mi nawet wychodzić na dwór, ciotka Juana pilnowała mnie jak jastrząb, poddając bezustannej krytyce i poprawkom wszystko, cokolwiek zrobiłam. Usiłowała nauczyć mnie cnotliwości i bogobożności. Mam wrażenie, że więcej niż pół dnia spędzałam na modlitwie w kościele i poza nim. Próbowałam spojrzeniem uwieść księdza, lecz on nigdy nawet na mnie nie zerknął. Pewnie się bał.

Stryj Domingo zbyt wiele się nie odzywał. Wyglądało jednak na to, że ma już kompletnie dość bezustannych narzekań żony, jej podejrzliwości i niezadowolenia ze wszystkiego.

Naprawdę źle się tam czułam. Trudno nazwać to życiem, tu było gorzej niż w domu pod nadzorem Mamy, tu bowiem nie mogłam się choćby poruszyć, żeby zaraz ktoś, najczęściej ciotka Juana, nie przywoływał mnie do porządku.

Potem jednak coś się wydarzyło.

Upatrzyłam sobie kryjówkę. Miejsce, do którego mogłam się zakraść, kiedy ciotka stawiała się już naprawdę nieznośna.

Znajdowało się ono w alkowie, do której odstawiano nie używane meble i inne rupiecie. Na górze, pod samym dachem, był nieduży otwarty stryszek. Mogłam się tam dostać, wspinając się na starą kanapę i wciągając na rękach na górę. Uprzątnęłam tę górkę ze wszystkich śmieci i przygotowałam całkiem przyjemne i przytulne gniazdko. Nikomu nie wpadłoby do głowy, że można mnie tam szukać, bo na samej krawędzi otworu wejściowego postawiłam starą klatkę dla ptaków i z dołu wyglądało tak, jakby na stryszku nic już nie mogło się zmieścić.

Pewnego popołudnia w czasie, gdy ciotka Juana odbywała sjęstę, siedziałam na swojej górze i usiłowałam zaplanować ucieczkę. Był to najzupełniej beznadziejny pomysł, bramy bowiem bacznie strzeżono, zarówno w obawie przed intruzami, jak i uciekinierami.

I właśnie wtedy do alkowy pod stryszkiem zakradła się para ludzi, którzy porozumiewali się szeptem. Oczywiście cała zdrętwiałam, ledwie śmiałam oddychać. Nie widziałam, kto to, lecz że to mężczyzna i kobieta, poznałam po basowym mruczeniu i na pół histerycznym chichocie. Bardzo, ale to bardzo ostrożnie wychyliłam się odrobinę zza klatki, dostrzegłam strzępek czarnej spódnicy i fragment pasiastego fartucha. Musiała to więc być któraś ze służących.

Zrobiłam najwidoczniej jakiś nieostrożny ruch, bo mężczyzna nagle powiedział:

„Cicho, chyba ktoś idzie!”

Oboje podeszli pod drzwi, żeby przekonać się, czy wszystko jest w porządku, uchylili je delikatnie i wyjrzelili.

Gdy znaleźli się prawie całkiem za drzwiami, prędko szarpnęłam za skórzaną okrycie i naciągnęłam je na siebie, zostawiając tylko wąziutką szczelinę, przez którą mogłam patrzeć. Moje długie czarne włosy opadły mi przy tym na twarz, widziałam więc wszystko jak przez firankę, a kiedy mężczyzna lustrował pokój, na wszelki wypadek zamknęłam oczy, żeby nie rozbłyły wśród tej ciemności.

„Nic nie ma” - stwierdziła dziewczyna.

Stali pod przeciwległą ścianą, mogłam więc przyglądać się im bez przeszkód. Dziewczyna nie była wcale taka młodziutka, jak z początku mi się wydawało, lecz całkiem ładna. Na pewno widziałam ją już wcześniej, to jedna z pokojówek. Mężczyzna natomiast był raczej typem prostaka i z całą pewnością nie mieszkał w samym domu.

Miał oczy osadzone blisko siebie i rozczochrane nieporządnie włosy, jego wygląd nie budził zaufania.

Zwracał się do dziewczyny półszepem, lecz ja byłam tak blisko nich, że doskonale słyszałam, co mówią.

„Postępujemy według planu. Pojedziesz razem z gościem, gdy będzie wracać do Castillo de Ramiro”.

Ojej, mówili o mnie!

Dziewczyna, czy też raczej kobieta, prychnęła:

„Chcesz powiedzieć, że mam usługiwać tej nieznośnej wyniosłej pannicy? To najbardziej niesympatyczna dziewczyna, z jaką się kiedykolwiek zetknęłam”.

„Wiem o tym, nikt jej nie znosi. Ale hrabia Domingo o niczym nie wie. Do takich wniosków doszliśmy. Całą wiedzę musi posiadać sam don Sevastino”.

Mężczyzna zaczął obmacywać kobietę, rozpiął jej bluzkę i odsłonił piersi, małe i obwisłe. Powinieneś zobaczyć moje, człowieku!

Nie przestawał przy tym gadać.

„Ty się tym zajmiesz. Możesz przecież zacząć już tutaj, od tej zadzierającej nosa dziewczyny. A jeśli nie uda ci się nic z niej wyciągnąć, to postarasz się dostać na służbę do niej czy też w ogóle do jej rodziny. Moglibyśmy na przykład otruć jej przyzwoitkę i ty w powrotnej drodze zajęłabyś jej miejsce”.

Na chwilę zaniechał pieszczot. Kobieta wpadła w złość i gniewnie odsunęła go od siebie.

„Co cię tak naprawdę najbardziej interesuje? Można by przypuszczać, że skarb znaczy dla ciebie o wiele więcej niż ja”.

W pierwszej chwili wydało mi się, że to ja mam być tym skarbem, najwyraźniej jednak się pomyliłam.

„Jest nam potrzebny, przecież wiesz. Jeśli mamy potwierdzić nasze prawa do terytorium, musimy być bogaci. I przecież jest nasz!”

Mężczyzna przystąpił do kolejnego ataku. Podsunął w górę spódnicę kobiety i przycisnął ją do ściany. Służąca najwyraźniej zmiękła.

„Dobrze, dobrze, zrobię co w mojej mocy” - szepnęła. Głowę oparła o jego ramię, a oczy zamknęła, jakby w uniesieniu.

Leżałam w takiej pozycji, że mogłam obserwować mężczyznę od tyłu, niezbyt wiele więc mogłam dojrzeć. Chciałabym właściwie zobaczyć, jak tak naprawdę wygląda dorosły mężczyzna, lecz widziałam jedynie, jak spodnie zsuwają mu się do kostek, a potem uniósł dziewczynę w górę, a ona otoczyła nogami jego biodra. Na jej twarzy znać było podniecenie, a on poruszał się coraz szybciej.

Wyglądało to komicznie, lecz mimo wszystko podziało również na mnie. Przeniknął mnie dreszcz aż do kręgosłupa. Poczulałam, że moje ciało nabrzmięwa i wilgotnieje.

Ach, jakże mrowiło!

Kobieta zaczęła pojękiwać, a on trzymał się widać tak, że z czoła zaczął mu spływać pot. Przez chwilę oboje dawali niezłe przedstawienie, a potem nagle zapadła cisza.

Ubierali się w milczeniu, z trudem łapiąc oddech. Wcześniej kobieta wytarła się halką. W końcu wyszli.

Z drżeniem wypuściłam powietrze.

Oczywiście zdarzało mi się widzieć, jak ojciec znika gdzieś za drzwiami z tą czy inną służącą, czy też z jakąś panią bawiącą u nas w gościnie. Oczywiście słyszałam poszeptywania i żarty sług na ten temat, widywałam też psy, koty i większe zwierzęta. Nigdy jednak nie

byłam tak blisko dwojga ludzi oddających się namiętności, tak, tak, bo naturalnie wiem, o co chodzi, chociaż nikt mi o tym nie mówił. Ale przecież nie jestem aż taka głupia!

I teraz, wciąż się złościąc, że tacy plebejusze, pozbawieni bodaj odrobiny dostojności, ośmielają się nazywać mnie „nieznośną i wyniosłą”, zaczęłam coraz mocniej zaciskać uda, aż w końcu nadszedł ów moment, gdy nie mogłam już dłużej nad sobą panować, potem zaś nastąpiła sama już tylko przyjemność.

Czegoś mi jednak brakowało.

Właśnie dlatego zdecydowałam się na owo fatalne w skutkach posunięcie. To było dwa dni później, również w czasie sjeisty.

Oczywiście było to z mojej strony bardzo niemądre posunięcie, lecz gdybym tego nie zrobiła, nie przeżyłabym wszystkich tych niewiarygodnych, emocjonujących i wspaniałych rzeczy, które nastąpiły później.

Natomiast sam tamten mój występ był doprawdy idiotyczny.

Byłam tak bardzo zaciekawiona i tak podniecona, że odważyłam się zakraść do pokoju mego kuzyna Sancha.

Sancho spędzał gorącą porę sjeisty, leżąc na łóżku.

Okna zasłaniały żebrowane żaluzje i rzucany przez nie cień sprawił, że Sancho cały był w paski.

Ponieważ spał, wyslizgnęłam się ze wszystkich ubrań, zostając jedynie w cienkiej halce, i wsunęłam się obok niego na szerokie łóżko. Postanowiłam go zbadać.

Sancho jednak natychmiast się przebudził i poderwał jak oparzony.

„Estrellita? Co ty tu robisz?” - szepnął przerażony.

Zrobiłam niewinną minkę.

„W moim pokoju panuje nieznośny upał, nie mogę spać” - poskarżyłam się, kręcąc się przy tym tak, że halka podsunęła mi się w górę. Niedużo, ledwie odrobinę, jakby obiecująco.

Sancho stał na podłodze i tylko się na mnie gapił. A potem... Ach, rozkoszy, coś zaczęło się dziać!

Starałam się wyglądać niewinnie jak dziecko.

„Co to ci tam wystaje z przodu?”

Sancho zgiął się wpół jak dziadek do orzechów, usiłując zasłonić się rękami.

„Nic” - jęknął.

„Pokaż” - poprosiłam, podnosząc kolano, tak że halka naprawdę podsunęła mi się do góry. Sancho nie mógł oderwać ode mnie oczu.

„Nie mogę” - wyjąkał.



„Podciągnij koszulę, zdejmij ją” - szepnęłam.

Przez chwilę stał jak sparaliżowany, zerkając tylko na drzwi, aż w końcu prędko się odwrócił i ściągnął koszulę przez głowę.

Ja w tym czasie zdążyłam zdjąć halkę. Leżałam teraz wyciągnięta na łóżku, gołymi stopami dotykając podłogi.

Sancho przetykał ślinę, widać było, jak grdyka przesuwana mu się w górę i w dół.

Powiedziałam miękko:

„Wydaje mi się, że biednemu więźniowi jest za ciasno. Sanchito, jesteśmy przecież starymi przyjaciółmi... (Tak naprawdę nigdy się nie przyjaźniliśmy, ale co tam!) Jeszcze nigdy nie widziałam, jak zbudowany jest mężczyzna, a ty przecież jesteś już dorosły, ale pewnie też jeszcze nigdy nie byłeś tak blisko żadnej dziewczyny. Czy nie możemy trochę tak po prostu na siebie popatrzeć? Postarać się coś zrozumieć i nauczyć? To chyba nie będzie aż tak groźne. A może próbowałeś już obmacywać służące?”

„Ja? O, nie, nigdy!” - wydusił z siebie, był jak sparaliżowany.

Ale mówiąc, że jest już dorosły, zagrałam na właściwej strunie.

„No to pozwól mi zobaczyć - poprosiłam. - Muszę się czegoś dowiedzieć, nikt nie chce mi nic zdradzić”.

Sancho zbliżył się teraz, stanął pomiędzy moimi nogami.

Usiadłam i zaczęłam rozpinać mu pasek. Po kilku nieśmiałych protestach przestał się opierać. Kiedy rozpinałam mu spodnie, jego dłonie mimowolnie sięgnęły do moich odsłoniętych piersi.

Pozwoliłam mu je objąć.

Jego tajemnica została wreszcie uwolniona, wystąpił ze spodni.

Zaczęłam oddychać szybciej. Męskość Sancha trudno było nazwać imponującą, ale obiecywała wiele na przyszłość. Prężyla się wyprostowana, lekko drząc. Ujęłam ją w dłonie, w dotyku była miękka i ciepła. Całe moje ciało znów ogarnęło mrowienie.

Sancho stał przede mną, a ja niewiele się zastanawiając, pocałowałam czubek jego członka. Sancho wydał z siebie jęk i poruszył się tak, że jego męskość wpadła mi prosto w usta.

Nastąpiło to nieco z zaskoczenia, lecz wywołało we mnie niezwykle uczucie, zaczęłam więc go ssać i byłam w tym momencie gotowa na to, by moja niewinność poszła do diabła.

Sancho jednak był zbyt młody, zanadto rozpalony. Nagle z gardła wyrwał mu się krzyk, a ja miałam usta pełne czegoś obrzydliwego.

Do diabła, co teraz robić? Będąc nowicjuską w tej dziedzinie, spontanicznie wyplułam wszystko, krzywiąc się z obrzydzeniem.

„Smarkacz! - prychnęłam ze złością. - Nie mogłeś się choć chwilę wstrzymać?”

Sancho ogromnie się zawstydził, a jego duma zwisła bezwładnie.

W tej samej chwili usłyszeliśmy ostry głos ciotki Juany:

„Co ty mówisz? W pokoju Sancha?”

„Mama!” - jęknął nieszczęsny chłopak.

Chyba nigdy dotąd dwie osoby, ogarnięte poczuciem winy, nie ubierały się równie szybko jak my.

Oczywiście nasz pośpiech i tak na nic się nie zdał. Zostaliśmy odkryci. Skandal stał się faktem i mnie jako złej czarownicy, która wodzi na pokuszenie, nakazano powrót do domu.

Bo też i pewnie nią byłam. Najpierw jednak wysłano mnie do kościoła, żebym się wyświadczyła.

A to również ciekawa historia.

## Lierbakkene, wspólnie

W drodze do samochodów, którymi mieli pojechać do rodziców Unni, omawiali przeczytany rozdział. Morten był pełen zapału.

- Erotyczne eksperymenty Estelli możemy zostawić w spokoju.

Ale tym razem nawet ja znalazłem pewną wskazówkę.

- No, to słuchamy - życzliwie powiedział Pedro. Człowiek ów znajdował się w tej niezwyklej sytuacji, że gdyby on i Gudrun się pobrali, zostałby przybranym dziadkiem Mortena. Na tę myśl odczuwał wzruszenie, bo sam nigdy nie miał dzieci.

Nieoczekiwanie przez głowę przemknęła mu pewna myśl.

Rycerze wszak wrócili mu zdrowie i obdarzyli go nowym życiem.

Czyżby jednocześnie uczynili go płodnym?

Nie, nie chciał się o tym przekonywać. Miał przecież ponad sześćdziesiąt lat (Gudrun sześćdziesiąt sześć), a pragnął być z nią.

Poza tym nie wierzył, że byłby w stanie towarzyszyć dziecku w długiej drodze ku dorosłości i niezależności. Słabo mu się robiło na samą myśl.

Morten w pełni mu wszystko wynagrodzi.

Były to jedynie szybkie, ulotne myśli. Przemknęły, nim Morten zdążył odpowiedzieć.

- No tak - tłumaczył z zapałem chłopak. - Nie zauważyliście, co się znów pojawiło?

Wszyscy, rzecz jasna, doskonale wiedzieli, o co chodzi, lecz pozwolili powiedzieć mu to na głos. Wiara Mortena we własne siły tak wiele razy ostatnio doznała uszczerbku, że zasłużył na jakieś uznanie.

- Chodzi mi o skarb! Znów mamy tę gadaninę o skarbie! - oświadczył triumfalnie.

- To prawda - odparł Antonio, otwierając drzwiczki samochodu przed Veslą. - To znaczy, że temat skarbu był znany już w czasach Estelli.

- Mam nadzieję, że nikt nie zdołał go odnaleźć - powiedział Morten rozmarzonym tonem, aż Unni ostro zwróciła mu uwagę.

- Nie bądź taki małostkowy i chciwy. Przecież nie jesteśmy poszukiwaczami skarbu!

- Ale taki mały zysk na boku...

- No tak, mój Boże - westchnęła Unni, teraz już z rozmarzeniem.

Gudrun podzieliła się z nią pewnymi obawami.

- Nie sądzisz, że w odwiedziny do twoich rodziców wybieramy się zbyt wielką gromadą?

- Chcą, żebyście przyjechali wszyscy. Życzą też sobie dokładnej relacji z naszych poczynąń.

- Jesteśmy im to winni - kiwnął głową Antonio, starając się wsiąść do samochodu tak, by się nie urazić w bolące kolano. Zajął miejsce kierowcy, bo upierał się, że będzie prowadził sam. Vesla dzielnie milczała.

- Wygląda na to, że ten skarb miał wielkie znaczenie - stwierdził Jordi zamyślony. - Ci, którzy o nim mówili, skłonni byli otruć tych, którzy przeszkadzali im w dostępie do niego.

- Nie brzmi to zbyt przyjemnie - podsumował Pedro. - Jeśli wszyscy są gotowi, to jedziemy.

Rodzice Unni w kuchni przygotowywali poczęstunek dla gości.

Matka podała mężowi kilka filiżanek do herbaty dla tych, którzy nie pili kawy.

- Ten Jordi sprawia wrażenie bardzo sympatycznego - stwierdziła Inger Karlsrud. - Tylko czy on nie ma w sobie czegoś dziwnego? Nie mogę pojąć, co to może być.

- Ja także - przyznał Atle Karlsrud. - Ale natychmiast go polubiłem i wydaje mi się, że to odpowiedni człowiek dla Unni.

- O, tak, bez wątplenia. Wystarczy popatrzeć na te spojrzenia, które jej śle. Przecież nie może od niej oderwać oczu. A jednocześnie sprawia wrażenie smutnego.

- Tak. I czy zwróciłaś uwagę na to, że przez cały czas trzymają się stosunkowo z dala od siebie? Mimo to jednak sprawiają wrażenie zakochanych w sobie na zabój.

- Cóż, to rzeczywiście dziwne. Mam nadzieję, że usłyszymy jakieś wyjaśnienie i poznamy wreszcie całą tę szaloną historię.

Gdyby nie ten rycerz, który nas ocalił, to nie wiem, czy w ogóle bym im uwierzyła.

- Zobaczymy. Ogromnie jestem ciekaw. No chodź, wszystko już gotowe.

Unni przyglądała się rodzicom, gdy wychodzili z kuchni. Trochę się wzruszyła. To jej matka i ojciec, których zawsze uważała za prawdziwych rodziców, a jednak nimi nie byli. Unni została zaadoptowana, ale, doprawdy, trudno o lepszych rodziców niż oni.

Matka nie wyróżniała się niczym szczególnym. Miała niezłe wykształcenie, była pomocą dentyścianką, chociaż teraz bała się o pracę, bo sprzęt stomatologiczny z czasem stał się tak skomplikowany i ograniczył do kilku aparatów, że być może nadejdzie dzień, gdy jej praca okaże się zbędna. Ta myśl bardzo ją gnębiła.

Matka była inteligentna, zdolna i wrażliwa, lecz przy tym wszystkim dość przeciętna. Ojciec potrafił o wiele więcej, był niezwykle skutecznym szefem w swojej pracy, członkiem wielu zarządów i komitetów, udzielał się również politycznie. W dodatku był głęboki.

Cóż za niemądre słowo, ale lepszego nie umiała znaleźć.

- No, to opowiedzcie nam teraz całą historię - poprosił Atle Karlsrud.

Do zabrania głosu wyznaczono Antonia. Cały czas przerywały mu jednak wyjaśnienia przyjaciół, a także bezustanne pytania rodziców Unni. Młodzi ludzie dostrzegali często ukazujący się na twarzach państwa Karlsrud wyraz niedowierzania, zaskoczenia, a nawet przerażenia.

Później, kiedy opowieść dobiegła już końca i omówiono wszystkie najdrobniejsze nawet szczegóły, Karlsrudowie długo się nie odzywali. W pięknym pokoju, w którym słońce dyskretnie świeciło na ulubiony fotel Atlego, zapadła głęboka cisza.

Teraz, gdy w tę historię wtajemniczono nowe osoby, w pewnym sensie została ona trochę sprowadzona na ziemię, i cała grupa nagle zdała sobie sprawę, jak bardzo nierzeczywiste mogą się wydawać ich przygody.

Inger Karlsrud odezwała się pierwsza:

- Usłyszycie teraz coś, czego nigdy nikomu nie mówiłam, nawet Atlemu. Powiedzieliście, że to przodek Unni, don Sebastian, nawiedził nas we śnie tamtej nocy i ostrzegł przed pożarem. Ale wiecie, wówczas, przed wieloma laty, kiedy Atlemu i mnie powiedziano, że nigdy nie będziemy mogli mieć dzieci, i zdecydowaliśmy się na adopcję, coś się wydarzyło. Wtedy się nad tym nie zastanawiałam, przypomniałam sobie o wszystkim dopiero dzisiaj.

Mąż patrzył na nią zdziwiony, a Inger ciągnęła:

- Pokazano nam sporo zdjęć dzieci z Ameryki Południowej, mogliśmy też to i owo przeczytać o ich pochodzeniu. I wtedy byliśmy już skłonni zdecydować się na czarującą małą dziewczynkę. W końcu mieliśmy wybierać pomiędzy nią a zupełnie niedawno narodzoną dziewczynką. Dostaliśmy tylko niewyraźną fotografię małego dziecka i powiedziano nam zaledwie kilka słów o jego pochodzeniu. I właśnie wtedy do gabinetu, w którym siedzieliśmy, weszła jakaś kobieta i oświadczyła, że ta śliczna dwuletnia dziewczynka została już wybrana przez nią, że ona była tu pierwsza i miała większe prawo do tego dziecka. Nie chcieliśmy się z tym pogodzić, nastąpiła nieprzyjemna wymiana zdań i wyrzutów, lecz nagle coś zmusiło mnie do popatrzenia na noworodka i wtedy prze - szła mnie pewność: „Bierzemy tę. Nikt jej nie chce, więc my ją weźmiemy”. Zdołałam przekonać Atlego, i to bez większych problemów. On się ze mną zgadzał i właśnie wtedy to się zdarzyło: nagle odniosłam wrażenie, że jakaś ciemna postać, która stała w drzwiach, po prostu zniknęła. Nie przyglądałam się jej uważnie, właściwie przez cały czas widziałam ją tylko kątem oka i tak naprawdę zorientowałam się dopiero wtedy, kiedy już zniknęła.

Zapadła cisza. W końcu Unni spytała:

- Sądzisz, że to mógł być don Sebastian?

- Teraz tak myślę, bo tym noworodkiem byłaś oczywiście ty.

- A dziecko miało trafić do Norwegii - dodał Jordi. - To się zgadza. Bo ja skupiłem tutaj wszystkich pozostałych. O Unni nic jeszcze wtedy nie wiedziałem, to znaczy nie wiedziałem, że pochodzi z rodu jednego z rycerzy. Pewnie chcieli również ją ocalić.

Unni uśmiechnęła się cierpko.

- Rycerze są dość wygodni z natury, nie chcą przemieszczać się po całym globie przy wypełnianiu swego zadania.

Atle Karlsrud podniósł głowę.

- Ale wam przecież potrzebna jest pomoc! Dlaczego nie zwróciliście się na policję?

- Nie, nie, policja nie wchodzi w grę - zdecydowanym tonem oświadczył Pedro. - To by się wiązało ze zbytnim upublicznieniem całej sprawy i zapewne by nas wyśmiano. Nie mówiąc już o całych hordach poszukiwaczy skarbów. Lepiej żeby zostało tak, jak jest.

- No tak, pewnie macie rację. Ale tak naprawdę to walczyście z czasem.

- To wiemy aż za dobrze.

- Proponuję więc, żebyśmy w punktach wypisali sobie, co jest jeszcze przed wami, nim zdołacie dotrzeć do jądra tej zagadki w jakimś miejscu na północy Hiszpanii. No, przekonajmy się najpierw, co już mamy! Zabrał się do notowania. Zaczął od wielkiej jedyńki.

- Jeden. Przede wszystkim przesłaniające wszystko: AMOR ILIMITADO SOLAMENTE.

- To prawda - podchwycił Antonio. - A po drugie: znak. Wiemy, że znak i słowa wspólnie są w stanie unicestwić złych mnichów. Ale te słowa muszą również znaczyć coś więcej.

- Tyle opowiadaliście o znakach - wtrąciła się Inger Karlsrud. - Czy moglibyście opisać je dokładniej? Może je dla nas narysować?

- Bardzo chętnie - odparł Jordi. Wyjął długopis.

- Istnieje wiele wariantów tego znaku. Od najprostszego:

T T T T

- ... poprzez Mortenowego krasnala:

- ... aż do tego, który ja wam narysowałem:

- ... i który prawdopodobnie również nie jest idealny, bo przecież rysowałem z pamięci. No i jest jeszcze amulet:

- Wygląda na to, że posiada on pewną moc i zapewne można go znów użyć. Urraca pobłogosławiła go swoimi czarami.

- No i baśnie - westchnęła Gudrun. - Baśnie są ważne. Szkoda, że tyle z nich straciliśmy.

- Wydaje mi się, że tak czy owak sobie poradzimy - powiedziała spokojnie Unni, a Jordi kiwnął głową.

Pozostali popatrzyli na nich zdziwieni, lecz o nic nie pytali.

- Ten amulet - zaczął Morten. - Co się właściwie z nim stało?

Pomyślałem, że jeśli nikt go nie chce, to może mógłbym ofiarować go Monice?

- Nie spiesz się z tym zanadto - powstrzymywała go babcia Gudrun. - Jest zbyt cenny, by przekazywać go osobie postronnej, a poza tym być może przyda nam się w dalszych poszukiwaniach. Ale gdzie on teraz jest?

Jordi uśmiechnął się.

- Pod opieką Vesli. Chciałem, żeby w tym trudnym czasie ochraniał ją i dziecko.

Vesla wyjęła amulet zza dekoltu i pokazała wszystkim.

- Będę go pilnie strzec. I wcale nie uważam go za swój, został mi jedynie wypożyczony.

- No, tak, oczywiście - mruknął Morten. - To głupi pomysł.

- Wcale nie - odparł Jordi życzliwie. - Miałeś sympatyczny zamiar, ale jak już mówiłem, amulet wciąż jeszcze jest nam potrzebny.

Głos znów zabrał ojciec Unni:

- A więc, po pierwsze: AMOR ILIMITADO SOLAMENTE. Po drugie: znaki. Po trzecie: baśnie, ta odrobina, którą o nich wiemy.

Zły duch na jakiejś górze w lesie i skarb ukryty we wnętrzu góry. No i jeszcze to o „orłach trzech, które wskażą drogę”. Nie dowiedzieliście się niczego o tych orłach?

Pokręcili głowami.

- Racja, za mało mamy danych.

Wszyscy zwrócili uwagę na to, że powiedział „my”, i przyjęli to z uśmiechem. Bardzo przyjemnie było mieć postronnych, pełnych autorytetu sprzymierzeńców. Pedra na Hiszpanię, a Atleto Karlsruda na Norwegię.

- Ale mamy coś jeszcze - powiedział Antonio. - Senne wizje Unni, które na pewno są prawdziwe. Ta jazda na północ, kościelny dzwon i niewielka wioska.

- Wobec tego piszę: Punkt czwarty: wizje Unni. Ale nie możemy jechać do Hiszpanii, mając jedynie takie wątłe nici przewodnie.

Unni i Jordi popatrzyli na siebie. Jordi powiedział spokojnie:

- Wobec tego uważam, że powinniśmy kontynuować czytanie pamiętników szalonej Estelli. Myślę, że czekają tam was pewne niespodzianki.



**Rozumiem, że jest pan człowiekiem z ideałami. Lepiej, żeby pan odszedł, dopóki wciąż je pan ma.**

**M. W.**

*Pireneje, lipiec, A. D. 1628*

Pamiętam, jakby to było wczoraj, ów długi dzień, kiedy miałam opuścić posiadłość stryja Dominga, choć od tamtej pory upłynęły dwa miesiące. Ale wtedy wydarzyło się tak wiele istotnych w moim życiu rzeczy. Oczywiście nie mam na myśli, tej żalostnej sceny w kościele, lecz ją również opiszę, jak wszystko to wszystko!

Kłęczałam więc w konfesjonale, w tym maleńkim ciasnym pomieszczeniu, w którym unosił się zapach potu moich poprzedników, nawozu i perfum, a wszystko to tworzyło paskudną mieszankę.

Przez kratki dostrzegałam profil księdza. To był ten, który nigdy na mnie nie patrzył. Typ ascety, mógł mieć około pięćdziesięciu lat.

Nigdy nie widziałam, żeby się uśmiechał. Trochę byłam na niego zła, bo stale całkowicie mnie ignorował. Naturalnie nic mnie nie obchodził, lecz takich rzeczy się nie robi nawet wówczas, gdy z racji sprawowania duszpasterskich obowiązków człowiek uważa się za wywyższonego ponad innymi.

„Wybacz mi, ojcze, bo zgrzeszyłam” - wyznałam bez tchu i z pokorą.

„Nie widziałem cię dotychczas przy konfesjonale. Dlaczego?”

„Jestem gościem na dworze, ojcze. Nie zdążyłam się jeszcze wypowiadać”.

Usadowił się wygodniej.

„No to słuchamy!”

Jeśli sądził, że usłyszy o moich odwiedzinach w pokoju Sancha, co z pewnością było celem ciotki Juany, skoro wymyśliła całe to wstrętne węszenie w moim prywatnym życiu, to bardzo się pomylił.

Przecież to nie jego sprawa!

Zamiast tego wstąpił we mnie diabeł.

„Jestem ogromnie nieszczęśliwa, ojcze. Moje serce i dusza zwróciły się ku mężczyźnie, z którym nigdy nie będę mogła się związać”.

„Ach, tak?”

„Z tęsknoty za nim płonę we dnie i w nocy. Ta tęsknota dręczy mnie niczym słodki ból, taki jak noże, które wbijają się w ciało i nie dają spokoju”.

„Moje dziecko, nie mówisz chyba o jakimś nieprzyzwoitym uczuciu do żonatego mężczyzny?”

„Ach, nie, ojcze, jest znacznie gorzej!”

Zniżyłam głos i ze wstydem żałośnie szepnęłam:

„To uczucie do ciebie, wielbny ojcze”.

Ksiądz wyprostował się tak gwałtownie, że aż stuknął głową o ścianę. Przez dłuższą chwilę się nie odzywał.

Już, już na mojej twarzy miał się ukazać paskudny uśmiezek, lecz zmusiłam się, by nad nim zapanować.

„Wybacz mi, ojcze” - poprosiłam nieszczęśliwa.

Ksiądz odzyskał wreszcie zdolność mowy.

„Ach, ty nieszczęsne, zbłąkane dziecko! Natychmiast wracaj do domu i zmów dziesięć razy Ojcie Nasz i dwadzieścia Zdrowaś Maryjo, żebyś mogła się pozbyć tych nieczystych myśli. I nie przychodź więcej do tego kościoła!”

„Już dzisiaj wyjeżdżam do domu, nic już więc ojcu nie grozi, ale moje serce na zawsze pozostanie tutaj”.

„Ach, nie, tak się nie może stać! Zabierz je ze sobą” - wyjąkał, jak gdyby mówił o przedmiocie, który można zapakować do podręcznej sakwy.

„Obiecuję. Lecz czy mogę cię, ojcze, prosić o pewną łaskę?”

„Jestem tylko pokornym sługą bożym, łaskę może zesłać ci tylko Pan”.

„Ach, tak. Chodzi o mego stryja, Jorge de Navarra, który zmarł w klasztorze w Leyre. Czy znałeś go, ojcze?”

„Byliśmy mniej więcej w tym samym wieku, on odrobinę starszy”.

„Jakąż to tajemnicę zabrał ze sobą do grobu?”

„Tajemnicę? Nic mi o tym nie wiadomo. Pamiętam jedynie to, co powiedział mi pewnego razu, gdy byliśmy jeszcze nowicjuszami w Leyre, ale to zupełnie nieistotne”.

„Czy mimo wszystko mogę to usłyszeć?”

„Brat Jorge powiedział coś takiego: Nic nie mam na świecie i niczego nie pragnę, lecz jeśli usłyszysz, że nie żyję, to pamiętaj, że gdyby mój brat Sevastino kiedykolwiek miał dziecko, to chcę, aby to dziecko odziedziczyło moją mniszą opończę, którą własnoręcznie utkałem w klasztorze, tak jak mi to nakazano. To jedyny spadek, jaki po sobie zostawię”.

„Ale to przecież chodzi o mnie! Przecież to ja jestem jedynym dzieckiem don Sevastina!”

„Może i tak. Ale ja o śmierci Jorge dowiedziałem się po wielu latach, a wówczas było już stanowczo za późno prosić o jego mnisią szatę, jak z pewnością sama rozumiesz”.

Powiedziałam, że tak, zresztą na co mi taka opończa? Oczywiście odczułam pewne rozczarowanie, dowiadując się, że stryj nic po sobie nie zostawił, skoro i tak myślał o mnie. Nie dowiedziałam się też niczego o żadnej tajemnicy, o której wspomniał niegdyś ojciec, mówiąc, że znana jest jemu i jego bratu Jorge.

Zaczęłam już zadawać następne pytanie, lecz się okazało, że ksiądz sobie poszedł.

Kiedy oddaliłam się kawałek od kościoła, odwróciłam się.

Ksiądz pędkiem czmychnął na bok, w cień za drzwiami świątyni.

Uśmiechnęłam się jak nażarty tygrys.

Kilka godzin później siedziałam już w powozie, który miał zawieźć mnie do domu. Stryj Domingo odprowadził mnie, innych nigdzie nie było widać. Sancho miał zapewne areszt domowy, a ta kłapliwa jadaczka, jego matka, nie chciała się zniżyć do pożegnania ze mną.

„Czy ksiądz nie pobłogosławi dziewczyny przed podróżą?” - spytał stryj Domingo woźnicę.

Woźnica odpowiedział, że wielebny odprawia pokutę, samobiczowanie.

Tygrys uśmiechnął się jeszcze szerzej.

Powóz zaczął się toczyć, oddalając się od okolic, w których Orlando Szalony napotkał śmierć.

Nikt nie mógł twierdzić, że pragnęłam powrotu do domu, zwłaszcza że wiedziałam, iż woźnica ma przy sobie list od ciotki Juany do Mamy; w którym z całą pewnością przedstawiono wszystkie powody wyrzucenia mnie z dworu stryja.

Strasznie nie miałam ochoty wracać. Wiedziałam, że głęboko urażone babska dadzą mi niezłą nauczkę. Ojca natomiast nie było w domu.

Ale szczęśliwy los czy co to było, wciąż mnie nie opuszczał.

## Okolice Drammen, współcześnie

- Krótki rozdział - stwierdziła Gudrun.

- I wymaga tylko krótkiej odpowiedzi - uzupełnił Antonio.

- Ale nareszcie zostało określone miejsce - zauważyła Vesla.

- Jak to? - zdziwił się Morten.

- Ona wspomina Orlanda Furiosa, Szalonego Orlanda. To ta sama postać co Roland z „Pieśni o Rolandzie”, no, wiesz? Jeden z najdzielniejszych rycerzy Karola Wielkiego. Ten, który padł w „Ronsarvollen” w norweskiej wersji „Pieśni o Rolandzie”. „Dmij w róg Olifant w Ronsarvollen”.

Morten wciąż nie mógł pojąć, o co chodzi.

- I co z tego?

- Veslami rację - włączył się Pedro. - To miejsce - bardzo ważny wąwóz w Pirenejach - nazywa się Roncesvalles. Leży na granicy pomiędzy Nawarą w Hiszpanii i Gaskonią we Francji. Unni, masz mapę?

Tak, Unni trzymała ją w gotowości w torebce. Odnaleźli Roncesvalles.

- Ale przecież dwór stryja Dominga nie jest nam do niczego potrzebny? - zaprotestował nagle Morten.

- To prawda, lecz ponieważ podróż Estelli konnym powozem trwała zaledwie jedno popołudnie, to znaczy, że Castillo de Ramiro nie mogło znajdować się daleko.

- I spójrzcie tylko, tu leży klasztor w Leyre. To rzeczywiście dosyć blisko. Tu zaś mamy Ujue, znajdujące się w pobliżu Casa de Escobar, który Jordi, Unni i ja znamy, lecz to na pewno nie jest Castillo de Ramiro. Dwór Escobar zbudowano już po krótkim życiu Estelli.

Przejął ich smutek. Mieli możliwość zajrzenia w duszę zbuntowanej Estelli, stała się dla nich teraz czymś więcej niż tylko imieniem. A tymczasem musiała umrzeć tak młodo.

- Ale to nie była miła osoba - stwierdziła Vesla, jakby w odpowiedzi na niewypowiedziane myśli wszystkich pozostałych.

- Poza tym to naprawdę bezczelna młoda dama - skomentował Atle. - I z całą pewnością bardzo niezwykła jak na swoją epokę.

- Zapewne tak - przyznał Pedro. - Nie mogła się porozumieć z kobietami, one wyraźnie jej nie znosiły.

- Przypuszczam, że ich oburzenie brało się ze strachu - powiedziała Gudrun. - Traktowały Estellę jako zagrożenie dla z góry wytyczonych ścieżek ich życia.

- Masz rację - przyznała Inger Karlsrud. - Ale zlokalizowaliśmy już wszystkie miejsca w Nawarrze, prawda? Wszystkie położone są mniej więcej w tej samej okolicy?

- Owszem - powiedział Jordi. - Lecz to wcale nie oznacza, że tajemnicza dolina rycerzy znajduje się właśnie tam.

- No tak, oczywiście. Ale czy wy, którzy znacie tę historię znacznie lepiej, znaleźliście w tym rozdziale coś ważnego?

- Oczywiście - ożywił się Jordi. - Coraz bardziej konieczne staje się odwiedzenie klasztoru San Salvador de Leyre.

- A to dlaczego? - zdziwiła się Vesla.

- Ponieważ nowicjusz w zakonie mnichów, Jorge, ukrywał, według słów jego brata, jakąś tajemnicę.

- A nie możemy spytać brata?

- Ależ, Veslo - łagodnie strofował ją Antonio. - Przecież wszyscy ci ludzie nie żyją już od trzystu pięćdziesięciu lat!

- No tak, rzeczywiście - roześmiała się dziewczyna. - Chyba za bardzo wczułam się w historię Estelli. Cóż, niestety, nasze możliwości są bardzo ograniczone. Nie ma kogo pytać.

- No właśnie, szkoda. Czytamy jeszcze jeden rozdział?

**Nie wiem, czy wierzę w miłość od pierwszego wejrzenia, lecz dzięki temu można w każdym razie zaoszczędzić mnóstwo czasu.**

**M. W.**

*Pireneje, A. D. 1628*

Nie mieliśmy za sobą jeszcze nawet połowy drogi do domu, kiedy się to stało.

Siedziałam w trzęsącym się powozie, otaczały nas wspaniałe krajobrazy, a ja okropnie się martwiłam. Przyzwoitka, ta stara wiedźma, usadowiła się naprzeciwko mnie i nawet nie starała się ukryć swego oburzenia. Twarz miała ściągniętą, a oczy i kościste palce mocno zaciśnięte. Uparcie odwracała wzrok, nie chciała poświęcić mi ani jednego spojrzenia. Całą swoją postawą dawała mi do zrozumienia, że moja zdrada oznaczać będzie dla niej śmierć.

Służąca, o której erotycznym życiu całkiem sporo już się dowiedziałam, zdołała zabrać się z nami, lecz w jaki sposób, tego nie rozumiem. To ona przecież miała wydusić ze mnie wiedzę o skarbie. Oczywiście znów powróciła ta stara historia o skarbie ukrytym gdzieś na pustkowiu. Ale ja nic o nim nie wiem! A gdybym wiedziała, to skarb na pewno już by tam nie leżał, byłby mój i mogłabym kazać wszystkim tym wstrętnym ludziom, którzy mnie otaczają, wynosić się do wszystkich diabłów.

Nie, nie ojcu. On wprawdzie bardzo rzadko mnie widuje i wciąż marzy o synu przez duże S, ale nigdy nie jest dla mnie niedobry.

Potrafi nawet naburzczyć na Mamę, żeby „zostawiła dziewczynkę w spokoju”. To, moim zdaniem, bardzo wielkoduszne z jego strony.

Nie, nie, z ojcem podzieliłabym się tym skarbem, gdybyśmy tylko wiedzieli, gdzie go szukać. Nikt jednak tego nie wie i skarb na pewno jest tylko legendą.

Końmi powoził ten, który romansował ze służącą, również jemu w jakiś sposób udało się zabrać w drogę, lecz on zapewne miał później wrócić na dwór stryja Dominga. Zastanawiałam się, czy planują wobec mnie jakieś bezpośrednie działania, ale nie, raczej zamierzali wstrzymać się ze wszystkim, dopóki nie dotrzemy na miejsce.

Przecież właśnie w tym celu dziewczyna miała dostać się na służbę u Mamy.

Wyrzucono mnie z domu stryja Dominga niemal tak jak stałam, kazano mi odjeżdżać natychmiast, chociaż pora była już dość późna.

Nie chcieli mnie tam trzymać nawet przez moment dłużej, a teraz zaczął już zapadać zmierzch. Może to i nie najlepiej, lecz właściwie góry w tym świetle wyglądały naprawdę

pięknie. Człowiek na ich widok wspominał dzieciństwo. Wprawdzie nie było tak znów co wspominać, ale istniały w nim mimo wszystko krótkie chwile radości.

Powóz toczył się, podskakując na wyboistej, kamienistej drodze, gdy nagle woźnica przyspieszył tak gwałtownie, że duena poleciała mi na kolana. Nie przyjąłem jej serdecznie. Służąca wyrzuciła na zewnątrz, lecz nic nie zobaczyła, duena natomiast, siedząca tyłem do kierunku jazdy, podniosła głowę, popatrzyła przez tylne okienko powozu i uderzyła w krzyk.

Odwrociłem się. Za nami jechało kilku jeźdźców na koniach i doprawdy, poruszali się bardzo szybko. Nasz ekwipaż nie miał żadnych szans.

Woźnica zawołał coś do swej kochanki, nie wychwyciłem sensu jego słów, lecz ona je zrozumiała. W czasie gdy on zrzucił z kozła mój podróżny kufer, ona otworzyła drzwiczki powozu i wypchnęła mnie. Byłem na to kompletnie nieprzygotowany i nie zdołałem się niczego uchwycić, zleciałem na ziemię i przeturlałem się w trawę.

Uderzyłem się w bark, ale tym nie bardzo się przejąłem. Znacznie gorszy był widok znikającego powozu i wszystkich tych koni, które zatrzymały się wokół mnie tak gwałtownie, że aż ziemia i trawa tryskała im spod kopyt, całą mnie zasypując.

Jakież nędzny postępek!

Jeźdźcy ponad moją głowę żywo dyskutowali, czy powinni ruszyć w ślad za powozem, lecz prędko doszli do wniosku, że prawdopodobnie pozostali w nim jedynie nędzni słudzy, którzy postanowili ratować swoje życie, pozbywając się tego, co cenne i rzucając to niczym przynętę wygłodzonym rybom.

Mówili po baskijsku, który przecież dobrze znałem.

Stanałem na nogi i z godnością otrzepałem włosy i ubranie.

„Przerwaliście mi podróż do domu, nędzni grubianie!” - oświadczyłem surowym tonem, który, jak miałam nadzieję, zdoła ukryć drżenie mego głosu. Musiałam wyrzucić na nich wrażenie, potraktować z wyniosłością, to było ważne. Cała sytuacja nie wyglądała ani trochę zabawnie.

„Żądam, abyście dali mi konia, bym mogła pojechać dalej!”

Wybuchnęli śmiechem. Było ich sześciu. Czterech przeszukało mój bagaż, dwaj stali przy mnie. Przypuszczałem, że to rozbójnicy, lecz jednak później się okazało, że się myliłem.

„Kurczaczek stroszy piórka” - stwierdził jeden z nich, zadzierając mi spódnicę szpicrutą. Odtrąciłem ją ze wściekłą miną i dumnie poruszyłem głowę.

„Mój ojciec potraktuje was tak, jak wy traktujecie mnie. Lepiej więc będzie, jeśli postąpicie zgodnie z moim życzeniem”.

„A kimże jest ten twój ojciec, który tyle może?” - zarechotał mężczyzna.

„Moim ojcem jest don Sevastino de Navarra z Castillo de Ramiro - odparłam z pogardą. - Rozmowa z wami jest poniżej mojej godności, ale potraktujcie to jak rozkaz!”

Z ich twarzy trudno było wyczytać, czy zaimponowały im te wszystkie wspaniałe tytuły. Zawołali jednak do tamtych:

„Posłuchajcie, mamy córkę Sevastina!”

„Co?”

Kolejny wybuch grubiańskiego śmiechu. Jeden z napastników zawołał:

„Córka Sevastina? Niech ją dostanie El Punal!”

„Nie, nie, zaczekajcie! - zawołał inny. - Nie pojmujecie, jak bardzo jest ona dla nas cenna?”

Reszta milczała.

„Sevastino to człowiek króla - wyjaśnił ten, który kazał im się wstrzymać. - Weźmiemy ją jako zakładniczkę”.

„Czy król Felipe będzie się troszczył o jakąś dziewczynę?”

„Don Sevastino jest potężny i łatwo wpada w gniew. Felipe nie zechce z nim zadzierać”.

„Czy wobec tego przetrzymywanie tej dziewczyny nie będzie dla nas niebezpieczne?”

„Nie musimy się przyznawać, że to my ją porwaliśmy. Powiemy tylko, że wiemy, gdzie jest. A potem będziemy mogli odwieźć ją do domu, oczywiście w zamian za odpowiednią nagrodę”.

Kolejny wybuch śmiechu.

„Chodźcie, zabieramy ją ze sobą! W jej kufrze są bardzo cenne rzeczy. I starajcie się trzymać ją z dala od oczu El Punała. Jeśli ma przedstawiać sobą jakąś wartość, to musi być nietknięta, kiedy zostanie przekazana don Sevastino. Poza tym możecie ją traktować jak śmiecia, którym jest i na co zasługuje”.

Oczywiście protestowałam głośno, długo i zapalczywie.

W końcu nie chcieli mnie już dłużej słuchać i zakneblowaną rzucili na grzbiet spoconego i cuchnącego konia.

Leżałam tak, wstrząsana w najbardziej upokarzający z możliwych sposobów, z rękami związanymi z tyłu i splątanymi nogami.

Po to, by końska szczecina nie wchodziła mi w usta, musiałam trzymać głowę podniesioną albo twarz odwróconą w bok, a to kosztowało mnie ogromnie wiele wysiłku. Nie mogłam też podjąć próby zsunięcia się na ziemię, bo przecież byłam związana, a poza tym za mną jechali pozostali.



Przygoda? Czy nie tego właśnie pragnęłam? Napięcia? Jakichś emocjonujących wydarzeń w moim smutnym świecie? Nie chciałam jednak przeżyć nic podobnego, nie chciałam leżeć jak brudny tłumok, upokorzony smrodem stajni. Moje splecione włosy zwisały prawie do ziemi niczym czarny czaprak, a żeby jeszcze pogłębić moje upokorzenie, koń przy każdym kroku wydawał z siebie nieprzyjemne naturalne odgłosy.

Zaczęło się ściemniać. Znaleźliśmy się w niewielkiej odludnej dolinie, w nocnym mroku zajaśniały ogniska. Nareszcie jazda się skończyła. Twarde dłonie zdjęły mnie na ziemię i zostawiły wśród końskich kopyt. Mężczyźni poszli porozmawiać z innymi.

Wyglądało to na jakiś obóz. Było tam kilka kobiet, lecz nie zauważyłam dzieci. Prawdę jednak mówiąc, w ogóle niewiele mogłam zobaczyć, a poza tym oczywiście natychmiast podjęłam próbę ucieczki, starając się jak najbardziej oddalić z tego miejsca.

Konie to bardzo delikatne zwierzęta, rzadko wyrządzają krzywdę człowiekowi, jeśli tylko mogą tego uniknąć. Zdołałam więc jakoś prześlizgnąć się między nimi, a potem przeturlałam się w zagłębienie w ziemi.

Stamtąd już się nie ruszyłam.

Zobaczyłam bowiem coś, co sprawiło, że całkiem zapomniałam o swoim upokorzeniu i żalosnej sytuacji.

Pomiędzy mną a jednym z ognisk stał mężczyzna obrócony do mnie plecami. Mogłam widzieć jedynie zarys jego ciała, nic więcej.

Ale cóż to za mężczyzna! Wydawał mi się młody, był wysoki, przystojny, wąski w biodrach jak ostrze noża. Nosił szeroki pas, lecz górną połowę ciała miał nagą. Jego szerokie, muskularne ramiona dla takiej dziewczyny jak ja to, doprawdy, cudowny widok, taka wszak byłam spragniona prawdziwej męskości. Włosy miał długie, czarne i kręcone. A potem odwrócił głowę i mogłam obejrzeć jego twarz z profilu.

Muszę przyznać, że spodziewałam się rozczarowania, liczyłam się z tym, że okaże się podstarzałym, odpychającym mężczyzną, lecz tak nie było. Okazał się naprawdę piękny.

Nie wiem, co się ze mną stało akurat w tej chwili. W moim życiu nastąpiła przemiana tak gwałtowna, że nie mogłam oddychać.

Leżałam jak kupka nieszczęścia, jak rzecz wyrzucona na śmietnik w największej pogardzie, a przede mną objawiła się odpowiedź na wszystkie moje sny i marzenia. Cała moja nadzieja.

Przepadłam. Przepadłam z kretesem, a moją jedyną obłąkaną myślą, nie dającą mi spokoju, było pytanie, co mam zrobić, by on zrozumiał, że wcale nie wyglądam tak jak teraz. Że jestem wysokiego rodu zadbaną, inteligentną i piękną... Już miałam dodać

„piętnastolatką”, lecz to nie była prawda. Bo przecież ostatniego dnia pobytu u stryja Dominga skończyłam szesnaście lat. Owe wstrząsające wydarzenia miały miejsce akurat dokładnie w moje urodziny. Tymczasem leżałam kompletnie bezradna i za nic nie chciałam, żeby on zobaczył mnie w tym stanie.

Życie niekiedy potrafi być okrutne.

## *Jednocześnie*

Siedem wciąż istniejących złych cieni znów się zebrało. Z ich czarnych upiornych oczu biła nienawiść i frustracja.

„Gdzie oni są? Co robią? Nie możemy ich odnaleźć!”

„Ciesz się, bracie, że nie ma ich w tym przeklętym niedostępnym domu! Teraz, gdy nie bronią ich znaki, łatwiej będzie do nich dotrzeć”.

„Gdzież więc są?”

„Nikt tego nie wie, nikt! Lecz czy zauważyliście, bracia, że również nasi śmiertelni wrogowie, rycerze, gdzieś zniknęli?”

„Czyżby wrócili do naszej ojczyzny?”

„Z całą pewnością nie! Ukrywają się, ale nigdy się od nas nie uwolnią”.

„Wiecie przecież, bracia, że my nie możemy do nich dotrzeć, naszym zadaniem jest unicestwić ich pomiot”.

„I doskonale sobie z tym poradziliśmy. Została ich zaledwie garstka. I tych także zniszczymy”.

Jeden z siedmiu miał pewne obawy:

„Ale ci nieliczni, którzy pozostali, są silni. Czyż nie dopadli pięciu z naszych braci? I nie doprowadzili ich do całkowitej zagłady, budząc tym jeszcze większy nasz gniew?”

„Musimy się strzec! Ta dziewczyna, która włada niszczącym znakiem, jest naprawdę groźna”.

„A mimo wszystko największym zagrożeniem jest ten najsilniejszy. To on zniszczył naszego czarownika i stale unicestwia nasze czary, a przy tym nic się go nie ima”.

„Śmierć niewiernemu, śmierć im wszystkim! Również tym, którzy nie wywodzą się z rodów rycerzy”.

Wiatr porwał ich długie, czarne peleryny w wirujący, szalony taniec. Mnisi krzyknęli chórem:

„Śmierć im wszystkim!”

„Bracie, ty, który potrafisz zajrzeć w to, co ukryte, gdzie oni są?”

„Wydaje mi się, że szukają nowych sprzymierzeńców, nowych pomocników”.

„O, nie, nie wolno do tego dopuścić! Gdzie oni są? Odszukaj ich!”

„Nie widzę. Obawiam się jednak... Obawiam się, że szukają u starych źródeł”.

„Strzeżmy się!”

„Tak, bo nam nie jest pisane spokojnie zgasnąć w wielkiej ciszy.

My będziemy musieli przejść przez te same męki, których doświadczyły nasze ofiary. Czeka nas taniec na wszystkich naszych najbardziej wyrafinowanych narzędziach tortur, które nie zostały przewidziane dla tak bogobojnych dusz jak nasze. Na naszych genialnych wynalazkach, które wymyśliliśmy po to, by ukarać wszystkich, którzy nie chcieli uwierzyć w jedynego Boga. Wszystkich tych nędzników, którzy nie są godni stąpać po naszej ziemi! I tam, wśród naszych niezwykłych urządzeń, będziemy musieli pozostać na zawsze i cierpieć już po wsze czasy”.

„Naszych pięciu, o, nie, sześciu braci, już tam jest, zaznaje potworności tortur”.

„Nie zasłużyli na to, podobnie jak my. Musimy odnaleźć tych, za których sprawą spotkał ich taki niesprawiedliwy los!”

„Odszukajmy ich, znajźmy, zabijmy wszystkich, zgładźmy ich potomstwo! Nie może po nich pozostać żaden ślad!”

„Żaden! A wówczas los rycerzy zostanie przypieczętowany. Będą musieli przez całą wieczność gnać przez wszechświat, a my będziemy mogli w nieskończoność zadawać im tortury”.

„Odszukajmy ich, znajźmy ostatnich, którzy noszą w sobie krew rycerzy!”

## W okolicach Drammen

- Uf - zadrżała nagle Inger Karlsrud, mocniej owijając się pięknym szalem. - Nieoczekiwanie ogarnęło mnie wrażenie, że szukają nas czarne cienie i zimne oczy.

Unni pokiwała głową.

- To prawda - przyznał Jordi zatroskany. - Nie znaleźli nas, lecz nie możemy się tu więcej spotykać. Narażamy was tym samym na niebezpieczeństwo. Veslo, czy nie masz przygotowanych więcej znaków? Rodzice Unni powinni zawiesić sobie coś takiego nad drzwiami.

- Ależ oczywiście - odparła Vesla. - Zrobiłam całe mnóstwo kopii mojego dzieła.

Rozdała swoje rysunki wszystkim, którzy ich potrzebowali, i doczekała się serdecznych pochwał za ślicznie wykonane „grafiki”.

- Ale nie są ponumerowane, żebyście wiedzieli - przypomniała.

- Nie mamy zamiaru ich sprzedawać - odparł Jordi z uśmiechem.

Przy kawie z ciastem i kieliszkiem likieru zapanował wreszcie pewien spokój, a wtedy Antonio stwierdził:

- No cóż, ten rozdział nie dostarczył nam zbyt wielu istotnych nowych informacji.

- To prawda - przyznała Gudrun. - Ale ciekawa jestem, czy Estelli przyjdzie coś z zauroczenia tym mężczyzną? Z jej opisu wydaje się doprawdy niezwykle pociągający.

- To z pewnością ktoś, kto czaruje kobiety, wykorzystuje je i porzuca - mruknął Pedro. A potem dodał: - Nie wygląda jednak na to, żeby ludzie, wśród których się znalazła, mieli coś wspólnego z tym tajemniczym skarbem.

- To nawet przyjemne, że więcej o nim nie słyszymy - dodał Antonio.

- Czytajmy dalej - zaproponował Morten.

- Nie, nie tutaj - sprzeciwił się Antonio. - To może być dla was niebezpieczne - dodał, zwracając się do rodziców Unni.

- Ale my przecież bardzo byśmy chcieli poznać dalszy ciąg historii - powiedziała Inger niepewnie.

- Oczywiście, lecz musielibyście pójść teraz z nami. Nie bój się, Mortenie, zdążysz jeszcze wypić likier.

Musieli poczekać, aż Morten zdąży do siebie, ponieważ się zakrztusił, pijąc zbyt łąpczywie. Wszyscy próbowali klepać go w plecy.

Antonio znów zwrócił się do gospodarzy:

- Nie możemy ściągać uwagi mnichów na was i na wasz dom.

- Ależ oni chyba nie są w stanie odnaleźć nas tak prędko - stwierdził z niedowierzaniem Atle Karlsrud.

- Nie należy ryzykować. Nie możemy pozwolić, żeby odkryli związki, jakie łączą nas z wami.

- My jesteśmy pariasami - dodała cierpko Unni. Czym prędzej zakończyli spotkanie i umieścili jeszcze kilka dyskretnych znaków nad drzwiami i w oknach. A potem wszyscy opuścili dom rodziców Unni, postanawiając przenieść się z powrotem do willi.

- Nie wiem, co mam o tym wszystkim sądzić - stwierdził ojciec Unni już w samochodzie. - Chyba muszę mieć kilka bardziej namacalnych dowodów, żebym mógł naprawdę uwierzyć w tę historię.

- Ach, ty przywiązana do ziemi duszo, ty niewierny Tomaszu - powiedziała Unni z czułością. - Mam jedynie nadzieję, że nigdy nie będziesz musiał stykać się z tymi istotami z otchłani piekielnej. A gdy tylko je zwierzysz, to pamiętaj, uciekaj, ile sił w nogach!

Uciekaj, jakby śmierć deptała ci po piętach, bez względu na to, czy wierzysz, czy nie wierzysz w ich istnienie!

- Albo podnieś do góry ten znak, który dostaliśmy - przypomniała Inger Karlsrud.

- Oczywiście, i pamiętaj o wypowiedzeniu tych tajemniczych słów. Tak rzeczywiście będzie najlepiej.

Atle Karlsrud tylko westchnął cicho. Dotarli już do willi.

- Widzę, że naprawdę dobrze się chronicie - stwierdził Atle suchym cierpkim głosem na widok wszystkich znaków, zdobiących ściany i dach. - Co na to wszystko sąsiedzi?

- Ci najbliżsi zostali poinformowani, choć oczywiście musieliśmy się uciec do drobnego kłamstwa o samolocie, którego pilot nas zna i próbuje się dowiedzieć, gdzie mieszkamy.

Znów zebrali się zgromadzeni wokół stołu.

- Teraz już chyba możemy czytać dalej - poprosił Morten.

**Z reguły unikam pokus, z wyjątkiem sytuacji, kiedy nie mogę im się oprzeć.**

**M. W.**

*Pireneje, A. D. 1628*

Ten niezwykle mężczyzna odszedł, zniknął, nie zwracając na mnie uwagi. I całe szczęście, bo musiałam się przecież najpierw choć trochę oporządzić.

Nie wiedziałam, czy w ogóle mi się to uda. Możliwości nie wyglądały najlepiej. Ledwie mój książę z marzeń zniknął, a już za nim tęskniłam.

Zamiast niego zjawilo się dwóch „moich ludzi”. Podnieśli mnie do pozycji stojącej, ja zaś wzrokiem ciskającym błyskawice i niezrozumiałymi dźwiękami zza knebla usiłowałam przedstawić im swoje żądania. Oni jednak niczego nie mogli pojąć. Jeden z nich przerzucił mnie sobie przez ramię i dokądś poniósł.

Mogłam się teraz wreszcie lepiej przyjrzeć otoczeniu. Nie był to jedynie obóz, lecz cała nieduża górską wioska. Stały tu domy z kamienia, nakryte płaskimi kamiennymi płytami, służącymi za dach, nad strumieniem znajdował się młyn, a w oddali widniał kościół, co prawda dość żalony, nie bardzo było czym czcić Najświętszej Dziewicy. Była jednak noc, jedyne źródło światła stanowiły płonące w oddali ogniska, na razie więc nic więcej nie zdążyłam zobaczyć.

Nie pamiętam dokładnie, co myślałam akurat w tym momencie, czy się bałam, czy byłam zła, czy też tęskniłam za domem, czy może raczej uznałam, że wszystko to jest niezwykle interesującą przygodą.

Prawdą było chyba, że jedyną rzeczą, jakiej pragnęłam w tym momencie, to móc znów ujrzeć tego mężczyznę i na powrót stać się dla niego piękną. Nic innego chyba nie zajmowało moich myśli.

Nagle jeden z moich towarzyszy szepnął:

„Pst, El Punal!”

Czym prędzej skęcili za węgiel najbliższego domu. Postawili mnie z powrotem na ziemi, lecz cały czas przytrzymywali w żelaznym uścisku za ręce, jednocześnie zatykając mi usta, jak gdyby to miało się na coś przydać - przecież i tak byłam już zakneblowana.

Z innego, większego domu wyszedł wraz z dwiema kobietami jakiś mężczyzna. Za nim po kolei wyłaniali się inni.

A więc to był El Punal, Sztylet.

Ten, któremu nie wolno było mnie tknąć, bo musiałam wrócić do domu jako dziewica, inaczej nic by za mnie nie dostali. Jakież to upokarzające!

Prawdę powiedziawszy, zastanawiałam się już wcześniej, czy przypadkiem ten mój przystojny bohater to nie jest właśnie El Punał, bo przypominał nieco ostrą klingę sztyletu. Uznałam, że gdyby okazało się to prawdą, to mojemu dziewictwu jest wszystko jedno, chętnie się poświęcę.

Ale nie, temu człowiekowi daleko było do tamtego cudu, który niedawno mi się objawił i któremu uległabym natychmiast, gdyby tylko się mną zainteresował.

A ten? Ach, fe! Temu nie pozwoliłabym się nawet dotknąć, a co dopiero wziąć w ramiona! Nigdy w życiu!

Staliśmy dość blisko niego, zaś jedna z kobiet, wyraźnie się do niego umizgująca, trzymała w ręku latarkę, mogłam mu się więc dokładnie przyjrzeć.

Z całą pewnością ten człowiek był kiedyś dumnym, ostrym jak miecz młodzieńcem, teraz jednak znać było po nim rozpad. Żadne cudowne olejki na świecie nie zdołałyby ukryć, że włosy mu się przerzedziły, a zęby popsuły, bo zaciskał mocno usta. Miał też obwisły podbródek, a czerwony pas na brzuchu napinał się tak mocno, że tłuszcz przelewał się i nad nim, i pod nim.

Temu jednak, że jest urodzonym typem przywódcy, nikt nie zdołałby zaprzeczyć. Autorytet wprost od niego bił.

Staliśmy zupełnie nieruchomo, ja również, wcale bowiem nie chciałam, żeby ktokolwiek przedstawiał mnie temu paskudnemu człowiekowi. Wyglądało jednak na to, że on i tak ma dość kobiet.

Gdy tylko wyszedł, zaraz zakłębiły się wokół niego. Najwyraźniej obcowanie z nim stanowiło kwestię prestiżu.

W końcu cały ten pochód ludzi minął nas i zniknął w jakimś innym budynku.

„Zabierzemy ją do pasterzy - szepnął jeden z dwóch moich »opiekunów«. - Nie możemy pozwolić, żeby beczynnienie marnotrawiła tutaj czas, musi się do czegoś przydać”.

Zaczęłam go kopać w kostki, lecz moje wysiłki pozbawione były mocy, bo przecież miałam związane nogi. Mało brakowało, a upadłabym i potoczyła się jak szyszka.

Pociągnęli mnie za sobą w górę zbocza, do mniejszego budynku, i tam wepchnęli do środka.

Na kominku płonął ogień, a ja z przerażeniem rozejrzałam się dokoła. Tak chyba nikt nie może mieszkać? Nigdy nie widziałam nic podobnego. W środku stało zaledwie kilka



prostych krzesel i stół, a wzdłuż ścian coś, co najprawdopodobniej służyło za łóżka. A gdzie jedwabie, ozdoby i piękne sprzęty? Doprawdy, byłam wstrząśnięta.

Przy kominku siedziała jakaś para w średnim wieku. Moi towarzysze nakazali tym ludziom mnie pilnować, i to w taki sposób, żeby El Punal się o mnie nie dowiedział, bo, jak powiedzieli, mogę się okazać równie cenna jak złoto.

O tym sama już wiedziałam, chociaż myślałam w zupełnie inny sposób niż oni. W końcu jednak rozluźnili wszystkie moje więzy, ale wcześniej musiałam, kiwając głową, przyrzec, że będę się dobrze sprawować. Nadzorować miał mnie człowiek nazywany El Fuego, czyli „Płomień”.

Jak ci chłopci, ci prostacy, mogli powiedzieć coś podobnego! Jak mogli kazać mi się dobrze sprawować!

Nie miałam wcale zamiaru ich słuchać, nigdy bym się na to nie zgodziła. Usłyszawszy, że do izby wchodzi kolejni strażnicy, postanowiłam powiedzieć im dokładnie, kim jestem.

„Jeszcze nigdy w życiu nie zetknęłam się z takim prostactwem!” - zaczęłam, a oni, nieoczekiwanie, milczeli. Byłam teraz odważna, wiedząc, że ani jeden włos nie może mi spaść z głowy. Ach, dostaną za swoje!

„Sądzicie, że będę to znosić? I jak wam się wydaje, co zrobi mój ojciec i król Felipe? Zemszczą się na was, wy nędzni chłopci czy rozbójnicy, wszystko jedno, łajdacy! W waszym krótkim życiu nie czeka was bodaj jedna chwila spokoju! Natychmiast przynieście mi moje bagaże! I przygotujcie mi kąpiel! Nie zniosę dłużej tego brudu!”

Jeden z tych, którzy weszli ostatnio, skierował się ku drzwiom.

„Nie mam najmniejszej ochoty być odpowiedzialny za tę gęś, zanudzi mnie na śmierć!”

Wściekła odwróciłam się do tego, którym, jak się zorientowałam, musiał być El Fuego.

„Zanudzę? Zanudzę, ja?”

Urwałam dość gwałtownie. Człowiek, który akurat otwierał drzwi, chcąc wyjść, okazał się tym niezwykłym cudownym mężczyzną, którego widziałam już wcześniej!

## Współcześnie, w okolicach Drammen

- Gotowa byłabym ukręcić jej głowę! - wykrzyknęła Vesla zapalczywie.
- Dobrze, że Estella napotkała jakiś opór - mruknął Morten. - To dopiero wyniosła dziewczucha!
- Ale mężczyzna z jej opisu wygląda rzeczywiście bardzo interesująco.
- To z całą pewnością brutal.
- Dobrze jej tak!
- Ale co to za ludzie? - zachodziła w głowę Gudrun.
- Cyganie? - podpowiedział Morten.
- Nie - wyjaśnił Pedro. - Cyganie mają swój własny język, a ci tutaj mówili po baskijsku, jak większość mieszkańców kraju Basków i Nawarry w tamtych czasach.
- Czego więc oni chcą?
- Ha, no właśnie!
- Wydaje mi się, że to dobrze, iż Estella wyrwała się na trochę z domu - powiedziała w zamyśleniu Vesla. - Przynajmniej zetknęła się z rzeczywistością. W dodatku ma na widoku przystojnego mężczyznę.
- Ja odnoszę wrażenie, że mamy do czynienia z jakimiś dwiema grupami - myślała na głos Gudrun. - Nie wszyscy zachowują się równie poddańczo wobec tego „Sztyletu”. Czy to nie trąci jakimś buntem?
- Wydaje mi się, że Estelli ani trochę to nie obchodzi - zaprotestowała Vesla. - Ona sprawia wrażenie, jakby wszystkie jej myśli krążyły jedynie wokół pięknego wybranka.
- Obawiam się, że się sparzy - powiedziała Gudrun z troską.
- Ale dla nas nic ciekawego w tym rozdziale nie było - podsumował Antonio. - Czy tak będzie do końca?
- Unni i Jordi nic nie powiedzieli. Oni przecież znali już prawdę.

## **Staraj się zawsze dobrze wyglądać! Kto powiedział, że miłość oślepia?**

**M. W.**

### ***Pireneje, A. D. 1628***

El Fuego, ogień, płomień, jezor ognia. Bardzo odpowiednie imię.

Potrzebowałam zaledwie chwili, żeby nad sobą zapanować.

„Nikt nie ma prawa mówić o mnie w taki sposób! Nikomu nie wolno nazywać mnie nudną. Przecież wy nic o mnie nie wiecie!”

Odwrócił się i popatrzył na mnie zimno.

„Ależ owszem, większość już wiemy. I po dziurki w nosie mamy tej twojej dziecinnej pyszałkowatości i samolubstwa”.

Z wściekłości, urażona do głębi, mało nie wzbijałam się w powietrze. W głowie miałam już przygotowanych tysiąc obelżywych słów, lecz przecież on właśnie nimi gardził, nie mogłam więc wypowiedzieć żadnego z nich. Nie mogłam też milczeć z godnością, bo i to również mi wypomniął.

Jedyną więc rzeczą, jaką mogłam zrobić, to odwrócić się, oświadczywszy uprzednio:

„Nie mam ochoty więcej z wami rozmawiać”.

„My z tobą również” - odparł ostro i wyszedł.

Ogarnęła mnie złość, a jednocześnie zrobiło mi się okropnie przykro. Byłam ogromnie rozczarowana tym, że najciekawsze spotkanie mego życia zakończyło się w taki właśnie sposób.

I czułam się samotna, taka samotna.

Wyrzucono mnie z dworu stryja Dominga, po cichu odesłano do domu, korzystając z nieobecności ojca. A w tym miejscu najwyraźniej wszyscy mnie nienawidzili.

Nigdzie nie byłam mile widziana. Czy dusza może czuć się bardziej nieszczęśliwa?

Gdzieś w głębi tej samotnej duszy jakiś uparty głos po cichu mamrotał, iż być może sama jestem wszystkiemu winna, ale skutecznie zdusiłam go obcasem. Byłam przecież, do diabła, córką dona Sevastina i miałam prawo wskazywać ludziom, gdzie ich miejsce!

Czarna cząstka mej duszy przypomniła mi bardzo nieprzyjemną prawdę, a mianowicie fakt, że to właśnie pokrewieństwo z don Sevastinem de Navarra y Rioja y Euskadi, panem na Castillo de Ramiro, stanowiło mój główny kłopot. Gdybym nie była jego córką, nigdy nie zostałabym narażona na taką sytuację.

Rzeczywiście, odezwała się ta trzeźwa cząstka. Po prostu leżałabym teraz zakłuta nożem gdzieś w rowie, wyrzucona z pędzącego powozu.

Musiałam wyglądać dość nędznie, gdy tak stałam w poczuciu urażonej i chwilowo bezwartościowej dumy rodowej, nie mając na kogo krzyżeć. Kobieta mieszkająca w tej nędznej chałupie pokornie poprosiła mnie, żebym usiadła przy ogniu i zaczekała, aż ona przyniesie mi trochę wody do mycia.

Usiadłam z demonstracyjnie kwaśną miną, nie dziękując, bo przecież dama szlacheckiego rodu nie dziękuje sługom, nawet na nich nie patrzy.

„Bagaże waszej miłości wkrótce nadejdą - oświadczył gospodarz.

- Choć obawiam się, że zostały nieco naruszone. Musi łaskawa pani zrozumieć, że potrzebujemy pieniędzy”.

„Ale przecież ja nie miałam żadnych pieniędzy?”

„To wiemy, lecz suknie dobrej jakości można wymienić na żywność i ubranie dla ubogich mieszkańców gór”.

Niewiele z tego pojmowałam, niezbyt mnie to również interesowało. Myślałam jedynie o moich pięknych sukniach i obszywanej koronkami bieliźnie. Na cóż tym łajdakom moje rzeczy?

To złodzieje!

Doprawdy, najwyższa pora, żeby ktoś po mnie wreszcie przyjechał!

Ale która ze znanych mi osób zechce dla mnie zaryzykować życie i zdrowie?

Kogo to w ogóle będzie obchodzić?

Ojca? Przecież on jest daleko, na służbie u króla, walczy o prawdziwą wiarę i o to, by zapewnić Jej Królewskiej Mości bezpieczeństwo, a także odpowiedni dopływ złota do kiesy.

Gospodarz odprawił wszystkich niepowołanych, a potem posłał paru mężczyzn, by przynieśli resztki mojego podróznego kufra.

Nie zabrzmiało to obiecująco.

„Czy ja mam tu mieszkać?” - spytałam ostro, próbując ukryć niesmak, jaki ogarnął mnie na samą myśl.

„Tak. Przez dzisiejszą noc - odparła kobieta, która została teraz ze mną sama. - Pora już późna, lecz jutro rano, nim El Punal się obudzi, zostaniesz, pani, wywieziona w góry”.

„Do pasterzy. Słyszałam, że o tym mówiono”.

„Właśnie. No, ale woda jest już ciepła. Jeśli więc chcesz się, pani, obmyć w tej misce, to wyjdę na chwilę. A jeśli odpowiada ci, to miejsce dla spania, to możesz się od razu położyć. Przyniosę łaskawej pani do łóżka miskę zupy do zjedzenia”.

Oczywiście miałam wielką ochotę zaprotestować, ale na cóż by się to zdało? Kiwając z godnością głową, dałam kobiecie do zrozumienia, że chociaż ogromnie przewyższam ją urodzeniem, to mimo wszystko potrafię się znaleźć w tej jakże trudnej i nieprzyjemnej sytuacji.

Na legowisko, bo przecież nie dało się tego nazwać łóżkiem, składała się wiązka słomy za niską przegrodą, narzucona brudnym kocem. A miednica? Marzenie o kąpeli odpłynęło przy akompaniamencie moich westchnień.

Miednica okazała się niewiele większa od chochli do zupy i zawierała ledwie odrobinę lekko podgrzanej wody.

Za cóż więc miałam dziękować?

Zaraz kiedy kobieta wyszła, przyniesiono mój kufer.

Tak, tak, byłam już zahartowana i na nieliczne szmatki, jakie jeszcze pozostały, patrzyłam niczym na jałmużnę. Gniew na nic by się tu nie zdał, byłoby to bezużyteczne marnotrawienie sił, a już i tak byłam znużona i zmęczona.

Cóż to za dzień!

Nareszcie znalazłam się w łóżku.

Nim upłynęło dziesięć minut, ugryzła mnie pierwsza pchła.

Jeszcze kogut nie zdążył zapać, a już przyszli po mnie ci, którzy mieli mnie zaprowadzić wyżej w góry.

Później dowiedziałam się, że w tej górskiej wiosce od dawna już nie było żadnego koguta. Ostatni został zjedzony.

Mężczyźni dali mi znak, że mam się zachowywać cicho, udałam, że ich nie słyszę, ale też i się nie odzywałam. Przelknęłam kilka łyżek ohydnej polewki. Zresztą każdy poranek zawsze napełnia mnie nową otuchą. Do diaska, przecież nareszcie przeżywam prawdziwą przygodę! Bez względu na wszystko, to znacznie ciekawsze od siedzenia w wieży w domu czy też wysłuchiwanie nieprzyjemnych komentarzy ciotki Juany. Byłam wolna i musiałam jakoś wytrzymać z tymi prostakami, poziomem nie różniącymi się od małp, dopóki nie spotkam znów ludzi mego rodzaju.

Oczywiście w tajemnicy karmiłam się również nadzieją, że ujrzę tego dnia El Fuego, jego jednak nie było z nami, co napełniło mnie wielkim rozczarowaniem. Bardzo chciałam poprawić wrażenie, jakie w nim pozostawiłam tamtego pierwszego wieczora. Byłam świeża, umyta, włosy miałam jako tako czyste i zaplecione. Rozkazałam to zrobić tej kobiecie. Ubrałam się też w jedyną suknię, jaką pozostawiono mi w kufrze. Wprawdzie był to najskromniejszy z moich ubiorów, ze zwykłym drobnym haftem i koronkowymi wstawkami,

ale niestety, inne kreacje mi skradziono. Na szczęście nie zainteresowali się pamiętnikiem, a poza wszystkim już znacznie później odkryłam, że nikt z nich nie umiał czytać. Na wszelki wypadek jednak schowałam pamiętnik w kieszeni sukni. Było mi z nim dosyć niewygodnie, ale postanowiłam trzymać go przy sobie.

No cóż, ta suknia musiała mi wystarczyć na tym odludziu, z dala od miast i zamków.

Ale to nic, i tak prezentowałam się bardzo dobrze.

Cóż z tego, skoro jego i tak nie było?

A przecież to on miał strzec mojej cnoty. Tymczasem zaś pilnowali mnie jedynie co najmniej trzydziestoletni starcy i mali chłopcy. Co prawda było też kilku rośłych silnych, względnie młodych mężczyzn, każdemu jednak towarzyszyła jego kobieta.

Brzydka kobieta.

No nie, teraz zachowałam się jak Mama, która twierdziła, że to ja jestem brzydka. Ale przecież jest między nami różnica, bo ja nie jestem brzydka, a te kobiety były. No, może nie aż tak bardzo, ale w każdym razie dla mnie one się nie liczyły. Ciekawe natomiast, co zarówno je, jak i mężczyzn tak bawiło, gdy na mnie patrzyli?

To zresztą bez znaczenia, przecież sytuacja tak czy owak była jedynie tymczasowa. Miałam pewność, że wkrótce wrócę do domu, do wygodnego życia.

Do domu? Na samą myśl o tym zalała mnie fala nieprzyjemnych uczuć.

Musiałam się czepiać skał i wspinać w górę niewidzialnymi ścieżkami, byłam spocona, zdyszana, rozdarta między wściekłością a płaczem. Jedna z kobiet spytała, jak się czuję i czy ciężko mi iść.

Oczywiście jej nie odpowiedziałam, gdyż to było poniżej mojej godności. Obiecywałam sobie tylko, że dostaną za swoje ci prostacy, którzy w taki sposób ośmielili się poniżyć damę królewskiego rodu. Owszem, owszem, wiem, że ta królewska krew jest cokolwiek rozcieńczona, bo czyż nie w dwunastym wieku król z rodu Iniguez popełnił swój mały błąd, rozsiał swój dziki owies i w ten sposób stał się moim przodkiem? Plonom tym nadano szlachecki tytuł na długo przed nadejściem czasów wielkiego rycerza Ramira.

Mój pogląd na otaczający mnie świat zatrzęsł się w posadach.

Zawsze przecież wiedziałam, że plebejska gromada patrzy na nas, panów na zamkach, z bezgranicznym podziwem. To rzecz jak najbardziej naturalna, wszak to my jesteśmy obdarzeni dobrym gustem, kulturą i wiedzą. Ci ludzie jednak żyli tak bardzo na uboczu, że zupełnie nie mieli o niczym pojęcia, choćby o klasach w społeczeństwie. Nigdy dotychczas nie widzieli damy i dlatego właśnie wydawało im się, że wolno im się do mnie odzywać. Tak jakbym była jedną z nich? To się, doprawdy, nie mieści w głowie!

I sposób, w jaki się do mnie zwracali, nieprawdopodobne! Jakichż używali słów! Jak strasznych upokorzeń musiałam przez nich zaznać! Ja, która...

W tym momencie przestałam snuć myśli, dotarliśmy bowiem na niewielki płaskowyż, z którego rozpościerał się zupełnie nowy widok.

**Kochaj bliźniego swego!**

**A jeśli jest wysoki, przystojny i odrobinę niebezpieczny, nie będzie to chyba takie trudne?**

**M. W.**

*Pireneje, A. D. 1628*

Oczywiście, że było tu pięknie, wprost baśniowo pięknie! Białe szczyty gór rysowały się na tle błękitnego nieba, wśród jasnoszarych skał dostrzec się dało bardzo ubogą roślinność. Ja, przyzwyczajona do widoku starej brudnej wieży, byłam tym wprost zafascynowana.

Lecz właściwie to wcale nie widok gór przyciągnął moje spojrzenie, lecz wysokie wały z kamienia i gliny, wyraźnie jeszcze nie skończone, na których skraju stał mężczyzna.

To był on. El Fuego.

Już za pierwszym razem, gdy go ujrzałam, zrozumiałam, że on nie należy do tego rodu prostaków, byłam pewna, że jest księciem w przebraniu. Przebranie jednak na nic się nie zdało, ponieważ jego wspaniały, pełen majestatu wygląd nie dał się niczym przesłonić.

Księżę ukrywał się tu zapewne dlatego, że pretendował do objęcia tronu, zaś ktoś, kto również pragnął panować, czyhał na jego życie.

Muszę przyznać, że policzki mi zapałały, gdy go ujrzałam.

Oczywiście byłam trochę zła, ponieważ nie wywiązał się ze swego obowiązku i nie czuwał nad moim bezpieczeństwem. Przecież każdy z tych nieokrzesanych łotrów mógł się po prostu na mnie rzucić...

No nie, prawda, przecież postanowili mnie oszczędzić. Byłam ich zakładniczką, którą należało oddać nietkniętą.

Czy on zawsze musi oglądać mnie w takim stanie? Spociłam się i zdyszałam, a włosów na pewno nie miałam już tak ufryzowanych jak w chwili, gdy wyruszyłam w ten nieznośny marsz pod górę wśród dolin ukrytych pomiędzy szczytami. Ach, patrzyłam na wspaniały górski krajobraz. Zapusciliśmy się już tak daleko w głąb gór, że równiny pozostały poza zasięgiem naszego wzroku, chociaż horyzont był tu tak szeroki i otwarty, jakby mieścił cały świat. Ale cała byłam obolała od tej wędrówki, do jakiej moje ciało nie nawykło. Moje trzewiki nie nadawały się do takiego chodzenia, zrobiły mi się pęcherze na piętach, a brzeg sukni się rozdarł.



On ledwie na mnie zerknął, przesunął jedynie wzrokiem po całej grupie, nie zatrzymując się na mojej osobie nawet na chwilę. Jakież to poniżające!

Dotarłam już na samą górę. Przygotowałam sobie trafną i soczystą wypowiedź, lecz byłam zbyt zdyszana, by ją z siebie wydusić. Ach, spojrzał na mnie... W dziennym świetle i z bliska był jeszcze bardziej pociągający... A potem się uśmiechnął.

Lecz nie był to wcale życzliwy uśmiech. On się nie uśmiechał do mnie, on się ze mnie śmiał!

„O co chodzi?” - wyrwało mi się, chociaż wcale nie miałam zamiaru się odzywać.

„Czyżbyś zapadła na odrę?”

Odra? Odruchowo sięgnęłam do twarzy, podciągnęłam rękaw.

Cała byłam pokryta czerwonymi plamkami i spuchnięta.

„Ukąszenia pcheł - wyjaśnił cierpko. - Wrażliwa skóra księżniczki najwyraźniej tego nie znosi”.

Przerażona przyjrzałam się innym. Nikt poza mną nie miał takiej szpecącej wysypki, pewnie już się uodpornili. Byłam bliska płaczu.

Nie chciałam prosić o lusterko, nie miałam siły na własne oczy oglądać mego upadku.

Święta Barbara, moja opiekunka, najwyraźniej mnie opuściła.

Przez głowę przebiegła mi dość absurdalna w tej sytuacji myśl:

Dlaczego przydzielono mi do opieki świętą, kobietę? Dlaczego nie mężczyznę? Tak byłoby o wiele przyjemniej. Mogłabym snuć o nim marzenia. Szlachetny opiekun i ja.

No tak, bo ten, który miał się mną opiekować teraz, tu, na ziemi, El Fuego, ani trochę się mną nie interesował.

Ruszyli naprzód, a ja musiałam podążać za nimi. I zobaczyłam, co znajduje się w obrębie murów.

Szłam i ze zdziwienia ciągle otwierałam usta, musiałam stale kazać sobie je zamykać. Co też to może być?

Spytałam nawet El Fuego, którego starałam się nie odstępować.

„Nic takiego, co ty byłabyś w stanie zrozumieć” - odparł nieprzychylnie.

Nie mogłam znieść tego, że zwraca się do mnie na ty, lecz byłam zbyt wycieńczona, by znów wszczynać z nim kłótnie.

Ktoś inny natomiast powiedział:

„Lepiej będzie dla ciebie, żebyś nic nie wiedziała”.

Ciekawe, co miał na myśli, mówiąc te słowa?

W niewielkim zagłębieniu wśród gór widać było grupkę z pozoru w pośpiechu wznoszonych domostw. W pobliżu płynął strumień, a jeden z mężczyzn, wskazując właśnie na strumień, stwierdził, zwracając się do drugiego: „Dobrze, że mamy tę żyłę życia, inaczej nie dalibyśmy sobie rady”.

Wszędzie było mnóstwo ludzi, dużych i małych. Większość pracowała przy wznoszeniu obwałowań, ale część zajęta była w „wiosce” budowaniem, gotowaniem jedzenia na ognisku albo pokrzykiwaniem na dzieci, żeby nie wchodziły w drogę.

„Wyznaczcie dziewczynie pracę przy murze!” - nakazał El Fuego.

Mężczyzna stojący najbliżej zaprotestował:

„Przecież ona wygląda jak wyżęta ścierka, niech chociaż chwilę odpocznie! Może spać u moich córek”. El Fuego tylko kiwnął głową.

Moja osoba ani trochę go nie interesowała.

Nigdy nie przypuszczałam, że ośmielą się to zrobić. Tymczasem zmusili mnie do pracy! Mnie!!! Do pracy przy wałach!

Oczywiście sprzeciwiłam się, jakże mogłabym inaczej? Zaczęłam krzyczeć... lecz oni przedstawili mi inne rozwiązania tak okropne, że nie mogłam odmówić. Zaproponowali mi na przykład, że dostanie mnie El Punal. To byłoby straszne! Albo że oddadzą mnie innym mężczyznom. O, nie, dziękuję! Albo że potną mi twarz. Nigdy w życiu! Zagrozili też, że zostawią mnie bez jedzenia. To akurat aż tak bardzo mnie nie przerażyło, bo nigdy nie zaznałam głodu i zupełnie nie wiedziałam, jakie to może być uczucie. Grozili też, że zrzucą mnie z najwyższej partii wałów.

Nie, nie, to wszystko było zbyt straszne, poddałam się więc, aczkolwiek bardzo, ale to bardzo niechętnie. Nie zamierzałam jednak nic robić, tylko udawać, że pracuję.

To się jednak nie powiodło. Prędko się zorientowali i potraktowali mnie bezwzględnie, każąc mi ustawić się w szeregu wraz z innymi kobietami i dziećmi, podającymi sobie mniejsze kamienie.

„Ruszał się trochę prędzej!” - zamarudził jeden z chłopców. Mógł mieć nie więcej niż dziesięć lat.

Rozzłościłam się, lecz usłuchałam aż do chwili, gdy podano mi nieuważnie do rąk nieco większy kamień.

„Au! - jęknęłam. - Paznokciec mi się złamał!”

„I co z tego?”

„Złamał mi się paznokciec” - podkreśliłam ze skargą w głosie.

„Rozpieszczona lalka! - syknął chłopak. - Wstrzymujesz całą pracę. Na co ty śmiesz narzekać? Jesteś utuczona jak prosię, a my nie jedliśmy już od wielu dni, uważaj więc, żeby ktoś cię nie zarznął”.

Gapiałam się na niego z szeroko otwartymi ustami. Ja miałabym być utuczona jak prosię? Przecież wyróżniałam się najsmuklejszą talią ze wszystkich mieszkanek zamku. Cóż za bezczelny...

Teraz wszyscy już zaczęli na mnie burczeć, lecz ja miałam dosyć.

Po prostu usiadłam tak jak stałam, odmawiając dalszej pracy.

Przecież są jakieś granice! Tymczasem czyjaś wielka ręka złapała mnie za kołnierz i gwałtownym ruchem postawiła na nogi.

Obróciłam się wściekła i popatrzyłam wprost w tak samo rozwścieczone oczy El Fuego. Ach, jakież on był pociągający z bliska, nawet teraz, gdy traktował mnie jak nieposłusznego psa. Cóż za oczy! Zmięklam jak gąbka i bez słów obiecałam posłuszeństwo. El Fuego puścił mnie, a ja czym prędzej wróciłam do podawania kamieni, których nazbierało się już sporo.

Później nie posiadałam się ze złości na to, że mogłam wykazać się taką pokorą. Powinnam była potraktować go z większą dumą. Jego widok jednak całkiem mnie osłabił, pozbawił wszelkiej woli. Nigdy wcześniej nic podobnego mnie nie spotkało.

Wstyd i hańba!

Gdy jednak nieco dłużej się nad tym zastanowiłam, to stwierdziłam, że rzeczywiście wszyscy mieszkańcy wioski byli zastanawiająco wychudzeni i mieli zapadnięte oczy. A jednak chociaż wydawali się wycieńczeni, pracowali. Musiałam przyznać, że wyglądam o wiele zdrowiej i na lepiej odżywną od wszystkich pozostałych ludzi.

Trochę mnie to wystraszyło i pracowałam z większą pasją.

Po południu rozległy się nagle okrzyki radości. Przybyli czterej mężczyźni i przywieźli ze sobą worki z ziarnem, mięso, ryby i dwie krowy. Zapanowała ogromna radość. Kobiety natychmiast zabrały się do przygotowywania obfitego posiłku. Krowy wprowadzono do prowizorycznej zagrody i wydojono, a dzieci aż śmiały się z radości na widok mleka.

Nie mogłam niczego pojąć. Doprawdy, czy jest się z czego tak cieszyć? Z dwóch marnych krów?

Ale posiłek był cudowny, bo chociaż nie chciałam się do tego przyznać, to tego dnia po raz pierwszy odczułam głód, ściskający w żołądku po dniu ciężkiej pracy. No cóż, cały dzień to może lekka przesada, ale pół dnia, bo przecież przez całe przedpołudnie szliśmy.

Nasyciwszy się, dalej siedziałam wraz z innymi pod gołym niebem i zamierzałam właśnie wyznać, jak bardzo wszystko mnie boli.

Bolały mnie plecy i ramiona, ręce miałam obolałe, prawie żaden paznokieć nie został cały. No i co miałam począć z odciskami i pęcherzami na stopach, których nabawiłam się przez to, że te dzikusy kazały mi bez końca wędrować?

Wtedy jednak podniósł się ów człowiek, który zaproponował, że mogę zamieszkać wraz z jego córkami. Później dowiedziałam się, że nosi imię Ernesto.

W rękach trzymał drewniany kubek.

„A teraz, drodzy przyjaciele, wypijmy za zdrowie seniority Estrelli, dzięki której mamy tyle jedzenia i krowy, które pozwolą nam przeżyć nadchodzącą zimę”.

Wszyscy życzliwie uśmiechnęli się do mnie, lecz ja siedziałam jak skamieniała.

„Dzięki mnie? Jak to... A poza wszystkim należy się do mnie zwracać »dona Estella«!”

„Twój kufer podróżny krył w sobie niezwykle bogactwa, moja kochana. Pomyśl tylko, zdołałaś nakarmić całą wioskę!”

Ach, mój kufer! Suknie nie miały aż tak wielkiej wartości, lecz przypomniałam sobie, co jeszcze w nim było: Naszyjnik z pereł.

Dziedziczne klejnoty, które kazali mi ze sobą zabrać po to, bym nie zjawiała się na dworze stryja Dominga jak uboga krewna. Bawiłam u niego przez czas tak krótki, że nie zdążyłam nawet pomyśleć o tym, iż mam przy sobie wszystkie te błyskotki.

To prawdziwa katastrofa, co na to powie Mama?

E, co tam! Przecież to nie jej sprawa. Ona jest po prostu kolejną w szeregu żon ojca. Ojciec natomiast z pewnością się rozgniewa.

Ale nie, klejnoty interesują przede wszystkim kobiety, a jedyną osobą, która mogła odziedziczyć te skarby, byłam ja. A mnie nic a nic one nie obchodziły.

Mogłam krzyknąć „Złodzieje!” do całej gromady tych łobuzów, lecz gdy ujrzałam radość bijącą ze skierowanych na mnie oczu, spoglądających tak ciepło, słowa utknęły mi w gardle. Rzuciłam błyskawiczne spojrzenie w kierunku El Fuego, on również mi się przyglądał z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

Zmusiłam się więc do uśmiechu i wraz z innymi podniosłam w górę mały drewniany czerpak.

Powinnam czuć się szlachetnie, tymczasem tylko pomieszało mi się w głowie. Nie miałam możliwości porównania tej sytuacji z czymkolwiek, co bym wcześniej przeżyła. Byłam też zapewne zbyt zmęczona, by móc odpowiednio zareagować.

Na Boga, kiedy się nad tym zastanowiłam, to doszłam do wniosku, że tak naprawdę aż do tej pory nie przeżyłam nic, z wyłączeniem drażliwych scen, które sama sprowokowałam, za bardzo już się nudząc, i za które słyszałam jedynie wygłaszane we wzburzeniu wymówki i połajania.

Cóż za nędzne życie!

Tego wieczoru w domu kobiet nareszcie się dowiedziałam, gdzie jestem. Wyjawily mi to dziewczęta, z którymi dzieliłam kąć pokoju, Rosita i Consuela, dwie wychudzone jak szczapy nieszczęśnice.

Znalazłam się w czymś w rodzaju obozu dla uciekinierów, położonym właściwie na granicy z Francją, lecz Francuzi nic nie wiedzieli o istnieniu tej wioski, bo dzieliły ją od nich jeszcze góry.

Dobrze ją ukryto.

Dopytywałam się, cóż to są za uciekinierzy, lecz Consuela, starsza z córek Ernesta, nie chciała się w to zagłębiać. Powiedziała jedynie, że wszyscy mieszkańcy wioski są ścigani z rozmaitych przyczyn, dla mnie zaś i dla nich także lepiej będzie, żebym nic nie wiedziała.

Wszystkie te tajemnice zaczęły mnie już gniewać.

„Ale rozbójnikami jesteście?”

„Nie, my nie, tylko El Punal, Sztylet, i jego ludzie tam w dolnej wiosce” - odparła prędko Consuela.

„Ach, tak? Dlaczego więc zysk z zawartości mojego kufra trafił tutaj? - spytałam agresywnie. - Czy tak chciał El Punal? Nie podejrzewałam go o taką szczodrość”.

„Bo też i daleko mu do tego. On tu nigdy nie bywa. Rabuje do własnej kieszeni. Niektórzy jednak z jego ludzi stoją po stronie El Fuego i właśnie oni zdołali ocalić najwartościowsze rzeczy z twojego kufra”.

Dyskretnie obmacałam kieszeń mej spódnicy i wyczułam krawędzie pamiętnika. Dla mnie on właśnie był najcenniejszy.

Dawno już zrezygnowałam z łajania tutejszych ludzi i pouczania ich, że nie wolno im zwracać się do mnie na ty. To i tak na nic się nie zdawało, widać było, że nigdy się tego nie nauczą. Bardzo też chciałam dowiedzieć się czegoś więcej na temat El Fuego.

„Czy on nie jest przyjacielem El Punala?”

„Przyjacielem?” - zaśmiały się dziewczęta.

„To zagorzali wrogowie - stwierdziła Rosita. - El Fuego jest bratankiem El Punala i stary wie, że młody pewnego dnia może przejąć władzę. Wszyscy kochają El Fuego”.

Obydwu dziewczętom rozbłysły oczy. Aha, pomyślałam, ale wy i tak nie macie na co liczyć. Nie jesteście ani ładne, ani bogate...

Doprawdy, nie mam się czego obawiać!

„To El Fuego rozpoczął budowę tej wioski - wyjaśniła Consuela. - On troszczy się o to, żeby wszystkim było dobrze”.

„Mnie się wcale nie wydaje, żeby wam było dobrze”.

„Senorita, oprócz uchodźców z równin, których przyprowadza El Fuego, wciąż przybywają nowi uciekinierzy z sąsiednich wiosek, położonych w górach. Przypędza ich tu głód, a El Fuego nie potrafi wygnać tych nieszczęśników. Ci, których sam przyprowadza, to mężczyźni, którzy popadli w niełaskę i są prześladowani, lecz na ogół przychodzą z całymi rodzinami. W naszej części Nawarry nędza jest naprawdę straszna”.

„A to dlaczego? Ja nigdy nie widziałam biedy”.

Consuela spuściła wzrok.

„Wybudowanie zamku kosztuje”.

„I co z tego? - wykrzyknęłam oburzona. - Ludzie odchodzą, a dzieło sztuki pozostaje. Słyszeliście chyba o Escuria - lu, wzniesionym przez Filipa Drugiego. To największy pałac na świecie. Doprawdy, jest się czym szczyścić!”

„Na pewno, ale utrzymywanie arystokracji również kosztuje.

Trzeba za to zapłacić wieloma łzami upokorzonej dumy”.

I to mówiła ta prosta dziewczyna? Wszak jej klasa nie posiada żadnej dumy?

Przemilczałam to jednak, bo ogarnęło mnie jakieś nieprzyjemne, gorzkie uczucie.

Ale co tam! My byliśmy rodem de Navarra i zasługiwaliśmy jedynie na to, co najlepsze. A ci ludzie tutaj? Cóż, to najzwyczajniejsza hołota, czyż nie tak?

## Lierbakkene, wspólnie

- Ta Estella o ograniczonych horyzontach ma pewną rację - przyznał Antonio. - Gdy wybieramy się w jakąś podróż jako żądni wrażeń turyści, to co najczęściej odwiedzamy i podziwiamy? No cóż, właśnie budowle z dawnych czasów. Bo temu, że kiedyś budowano o wiele piękniej niż teraz, nie da się zaprzeczyć. Lecz jakim kosztem ludzkich istnień wzniesiono te budowle?

- No tak, piramidy... - zamyśliła się Gudrun. - I chiński mur, Wersal i Escorial. Te ściany widziały tyle krwi, morderstw, intryg i tragedii, że powinny płakać rzewnymi łzami.

Pedro uzupełnił:

- Chińska cesarzowa Xixi miała wysłać pieniądze na front, żołnierze bowiem nie mieli jedzenia i marli z głodu. Zamiast tego kazała za te środki zbudować statek z marmuru, tak, z marmuru, przeznaczony do jej letniego pałacu. Statek znajduje się do dzisiaj przy brzegu. Nie jest w stanie unieść się na wodzie, lecz to prawdziwe dzieło sztuki ozdobione mozaikami. Turystom na jego widok aż dech zapiera z zachwytem, ale żołnierze nie doczekali się jedzenia. Czemu należy się pierwszeństwo? Wiecznej sztuce czy kilku tysiącom ludzkich istnień, które tak czy owak miałyby swój kres w ciągu bardzo krótkiego czasu, patrząc na to z perspektywy historii świata?

- To problem etyczny - powiedziała Gudrun. - Na szczęście ludzkość jest teraz bardziej humanitarna.

- Doprawdy? - spytał Antonio cierpko. - Czy też może raczej ludzie stali się zbyt leniwi, by tworzyć sztukę dla wieczności?

- Nie tylko ci, którzy niegdyś pracowali bezpośrednio przy wznoszeniu tych wspaniałości, musieli cierpieć - włączył się do rozmowy Jordi. - Całe rozległe rejony kraju musiały znosić nieludzką biedę po to, by władcom przyjemnie się żyło. Lub by mogli prowadzić wojnę.

- I nie zapominajmy o tym, jakimi bogactwami zawładnął Kościół - przypomniała Vesla. - Nic dziwnego, że mamy teraz tyle wspaniałych katedr i kościołów.

- No tak, a Kościół toczył walkę z koroną o te bogactwa. I to na całym świecie, nie tylko w Skandynawii - dodał Jordi. - Każdy ze swojej strony szarpał najuboższych.

Inger Karlsrud, uznając, że rozmowa za bardzo zboczyła z wyznaczonego toru, rozejrzała się dokoła.

- Muszę przyznać, że wydaje mi się, iż jest wam bardzo dobrze razem. Ale czy jesteście tu bezpieczni?

- Widzieliście chyba wszystkie znaki?

- Tak, tak, owszem, ale macie przecież również zwykłych ziemskich przeciwników.

- Ich liczba została już znacznie zredukowana - wyjaśnił Jordi. - Emma jeszcze przez wiele lat będzie się bała pokazać w tym kraju.

A jeśli chodzi o Leona, to rycerze mówią, że został on unieszkodliwiony, przynajmniej na jakiś czas. Alonzo przebywa w Hiszpanii, a bez tych trojga, którzy przewodzili, norweskie łotry nic nie znaczą. Chwilowo więc jesteście bezpieczni.

Morten zaczął się kręcić.

- Ty i Unni twierdzicie, że w pamiętniku Estelli jest mnóstwo wartościowych informacji, a tymczasem jak na razie to same miłosne bzdury.

- Nie bój się, jeszcze wszystko przed tobą - zapewniła go Unni.

- Uważam jednak, że powinniśmy przeczytać wszystko o jej losie.

- Oczywiście - zgodziła się z nią Vesla. - Muszę się dowiedzieć, czy ona w końcu pójdzie do łóżka ze swym pięknym bogiem.

- Do łóżka? - prychnął Morten. - Tu chyba raczej mowa o zgniłej słomie?

- Zobaczymy - odparła Unni. - A teraz bierzcie się do roboty.

Odmawiam czytania na głos!



**Grzeczne dziewczynki idą do nieba. My, pozostałe, możemy iść tak daleko, jak nam się podoba.**

**M. W.**

*Pireneje, A. D. 1628*

Co rano musiałam dźwigać obolałe ciało z łóżka, tak było co najmniej przez cały pierwszy tydzień. Ach, jakże tego nienawidziłam! Miałam już gotowych ze sto planów ucieczki, lecz wiedziałam, że nigdy nie zdołam przedrzeć się przez te pozbawione dróg góry i doliny i dotrzeć do ludzi. Mogłabym błędzić miesiącami, bez jedzenia, nie mając jak się bronić przed krążącymi po tych okolicach drapieżnikami.

Nienawidziłam jednak tego, że mnie budzono, że wydawano mi rozkazy, nie słuchano moich skarg i zmuszano do wykonywania ciężkiej pracy, która niszczyła mi skórę, ubranie i włosy. El Fuego widywałam rzadko, wyglądało na to, że zawsze jest zajęty w jakimś innym miejscu niż ja, wieczorami zaś byłam tak zmęczona, że od razu padałam na nędzne posłanie, które dzieliłam z Rositą i Consuelą.

Z czasem jednak zaczęłam przywykać do otartych kostek, a także zrozumiałam, że nic się nie dzieje, jeśli mam dziurawe pończochy albo plamy na sukni. W pierwszych dniach takie rzeczy ogromnie mi dokuczały, teraz przestałam na nie zważać.

Chociaż nie całkiem. Rano starałam się jako tako doprowadzić do porządku, oczywiście zupełnie na próżno, lecz te zabiegi dodawały mi sił i pewności siebie, pozwalały także zachować choć odrobinę godności.

Pewnego dnia, kiedy stałam na wałach i zalepiałam gliną przestrzenie między kamieniami, akurat przechodził tamtędy El Fuego i odezwał się do mnie:

„Obserwowałam cię”.

„Naprawdę?” - Serce podskoczyło mi w piersi.

„Świetnie sobie radzisz”

To wszystko. Poszedł dalej i jak zwykle o wiele dłużej rozmawiał z innymi ludźmi, ale przynajmniej przypomniał sobie o moim istnieniu!

Ogarnął mnie zapał. Pracowałam jak szalona, z radością, zarówno tego dnia, jak i następnego, ukradkiem rozglądając się, żeby sprawdzić, czy on mnie widzi.

Wieczorem drugiego dnia spożywaliśmy kolację na dworze przy ognisku, co wcale nie zdarzało się często. Wciąż jednak mieliśmy spore zapasy jedzenia i wydaje mi się, że coś

świętowaliśmy, lecz nigdy nie dowiedziałam się, co. Był tam również El Fuego, raz udało mi się pochwycić jego spojrzenie, a on się do mnie uśmiechnął.

Gotowa byłam umrzeć ze szczęścia. Życie nagle stało się takie cudowne. Pragnęłam być blisko niego, już na zawsze.

Przy El Fuego siedziała jakaś kobieta. Zachowywała się wobec niego uwodzicielsko i pochlebczo. Ujmowała go za rękę, lekko ją pieszcząc, tuliła się policzkiem do jego ramienia, a ja na ten widok wpadłam w taką złość, że gotowa już byłam podejść i ją uderzyć.

Kobieta nie przestawała się do niego umizgiwać, a gdy posiłek dobiegł końca i zapadła ciemna noc, El Fuego szepnął jej coś do ucha. Wstali i poszli do jego domu. Razem.

Kilka osób popatrzyło za nimi, lecz tylko wzruszyli ramionami.

Siedziałam jak sparaliżowana. Ludzie zaczęli się rozchodzić do swoich chałup, a mnie w duszy tak bolało, że nie mogłam się ruszyć.

Tego wieczoru ostatecznie się załamalam.

Chwiejąc się, przeszłam do domu kobiet, wciąż jak odrętwiała, lecz przeniknięta wewnętrznym bólem.

Consuela i Rosita już leżały w łóżku, obie rozdierająco płakały.

Rzuciłam się na posłanie obok nich, położyłam na plecach z podciągniętymi kolanami, kuląc się w niewysłowionym smutku, i ja także wybuchnęłam niepohamowanym płaczem. Dziewczęta objęły mnie i dzieliłyśmy żal, zazdrość, rozczarowanie i tęsknotę. Nigdy jeszcze nie zbliżyłam się do drugiego człowieka tak, jak wówczas do nich. Po raz pierwszy zrozumiałam, że być może również inni ludzie mają swoje pragnienia i potrzeby, a moje nie zawsze muszą stawać na pierwszym miejscu.

Ja musiałam się wypłakać również z innych powodów. Moje poczucie dumy zabraniało mi okazywania uczuć, dławiałam je w sobie już od chwili, gdy uprowadzono mnie z powozu. Zdawało się, że od tamtej pory upłynęła cała wieczność. Teraz się im poddałam.

Gdy wreszcie wszystkie trochę się uspokoiłyśmy, ułożyłyśmy się w naszym wspólnym łóżku, a ja, wciąż jeszcze z zatkanym nosem, spytałam:

„Kim ona jest?”

„Phi! Nikim! - odparła Consuela. - Przechodzi z objęć w objęcia i jeszcze otrzymuje za to zapłatę”.

I on sobie wybrał kogoś takiego! Wybrał ponad... Nie, nie chciałam o tym myśleć.

„Czy wiele kobiet się w nim kocha?” - spytałam.

„Prawie wszystkie w obozie. Większość jest gotowa dla niego umrzeć”.

Doskonale je rozumiałam. Prawie niemożliwe było nie zakochać się w El Fuego, mężczyźnie o tak olśniewającej urodzie. Przecież wszyscy kochają piękno. Piękne kobiety przyciągają spojrzenia mężczyzn, dlaczego więc miałyby nie być również odwrotnie?

Dlaczego piękni mężczyźni nie mieliby wabić kobiet, tak jak światło przyciąga ćmy?

El Fuego jednak miał również szlachetne serce. Był człowiekiem ze „wszech miar godnym podziwu. Walczył za wszystkich tych, którzy znaleźli się w potrzebie, starał się jak mógł, by wiodło im się lepiej. El Fuego. Płomień. Ach, jakże to bolało!

Zaczęłam w końcu rozumieć prawo innych ludzi do posiadania uczuć. Gdybym jednak nie wypłakała swego bólu wspólnie z Consuelą i Rositą, prawdopodobnie wciąż gorzałabym egoistycznym, jak mówiłam, uzasadnionym gniewem, zawiązując swoją duszę w jeszcze ciaśniejszy supeł.

Porównanie to śmieszy mnie, gdy teraz to zapisuję, lecz wówczas nic nie wydawało mi się zabawne.

„Być El Fuego również nie jest pewnie łatwo - stwierdziła Rosita, pociągając nosem. Ona bowiem była równie zapłakana jak ja. Na twarzy widać było ślady łez. - Chodzi mi o to, że kobiety kochają go i pożądamy, a zazdrośni zdradzeni mężczyźni nienawidzą. Nic dziwnego, że on wybiera dziwkę”.

Nie odpowiedziałam. Byłam wewnętrznie odrętwiała.

Dotychczas uważałam, że on należy do mnie. Wybrałam go dla siebie, mieliśmy się nawzajem kochać, miałam czuć jego zgrabne ciało przy swoim i planowałam, że dojdzie wreszcie między nami do tego, o czym snułam fantazje od tak wielu lat, tyle że do tej pory nie pojawił się konkretny mężczyzna, o którym mogłam śnić.

Uznałam, że El Fuego w niewybaczalny sposób zdradził moje marzenia.

### ***Pireneje, lipiec, A. D. 1628***

Dostałam przybory do pisania od człowieka, który przybył z równin. Piszę więc teraz bezpośrednio w pamiętniku, uprzednio opisawszy powyższe zdarzenia na podstawie krótkich notatek. Mogę pisać w domu, kiedy Consuelą z Rositą wychodzą.

Moja radość pracy naturalnie przeminęła i nie wypatrywałam już nigdy El Fuego. Tak mi się przynajmniej wydawało. Niekiedy przyłapywałam się na tym, że szukam jego postaci w obozie, lecz owo drżące szczęście wypływające z radości jego istnienia przestało już być we mnie obecne.

Życie w tej zbudowanej naprędce wiosce, z dala od wszelkich władz i praw, było jeszcze z jednego powodu bardzo nieprzyjemne.

Dawno już zorientowałam się, że w wiosce nie ma żadnego kościoła.

Mogłam się z tym w ostateczności pogodzić, bo ci ludzie nie mieli na zbudowanie świątyni czasu ani pieniędzy, zapewne więc korzystali z domowych ołtarzy. Do takiego wniosku doszłam, chociaż nigdzie niczego takiego nie zauważyłam. Teraz jednak dowiedziałam się, że byli wśród nich ludzie o najzupełniej błędnych przekonaniach religijnych.

To czyste szaleństwo!

Nie mogłam więc nawet mieszkać wśród dobrych katolików.

Musiałam żyć wśród heretyków, Cyganów, żydów, czy nawet, nie daj Boże, muzułmanów? A może jeszcze gorzej? Nigdy wszak nie wiadomo, z jaką hołotą można się zetknąć w takim obozie!

Wcześniej sądziłam, że większość z nich to po prostu buntownicy.

To mogłam do pewnego stopnia zaakceptować, lecz nie odstępców od wiary.

Wielu z nich oczywiście uciekło przed uciskiem, to prawda. Od biedy, chorób i wojny. Większość jednak okazała się protestantami i katarami ściganymi przez trybunał inkwizycji. Zarówno Ernesto, jego córki, jak i El Fuego byli protestantami!

Najświętsza Dziewico, w co też ja się wplątałam! Jeśli inkwizycja uzna, że i ja należę do tych ludzi... Nie potraktują mnie łagodnie, o, nie. Ach, Boże, widziałam przecież ich narzędzia tortur! Doprawdy, znalazłam się teraz na bardzo grząskim gruncie. Przy pierwszej lepszej okazji będę musiała uciekać.

Problem polegał tylko na tym, że nie nadarzała się żadna odpowiednia sposobność. Ani pierwsza, ani ostatnia, ani tym bardziej najlepsza. Byłam jak przykuta do tych bluźnierców.

Doprawdy, mój upadek nie miał granic!

Kilka tygodni później podszedł do mnie jednak El Fuego.

Przyjęłam go z kamienną twarzą.

„Wysłaliśmy kilku mężczyzn do Castillo de Ramiro z żądaniem wypłacenia okupu za ciebie - oświadczył bez wstępów. - Lecz twego ojca, don Sevastina, nie było w domu”.

„Wiem o tym, wyjechał walczyć gdzieś na wojnie”.

„A pozostali cię nie chcieli”.

Te słowa boleśnie mnie zakłuły, ale zachowałam maskę na twarzy.

„Mówisz o mojej macosze i jej wiedźmach? O, tak, to doskonale potrafię sobie wyobrazić”.

„Nic więc za ciebie nie dostaniemy. Nic nie jesteś warta”.

„Mój ojciec...”

Przerwał mi krótko.

„Twój ojciec podobno zginął w zupełnie zbytecznej potyczce z Portugalczykami”.

Z tymi słowami odszedł.

„Ach, nie!” - jęknęłam.

Ojciec nie żyje? Ja nie jestem nic warta? Czy to znaczy, że będę musiała pozostać tu już na zawsze?

Muszę uciekać. Tylko jak?

Teraz nie miałam już nic. Nic mi nie pozostało.

Ależ tak, sięgnęłam do swego amuletu, małego gryfa, którego nosiłam na szyi na całkowicie bezwartościowym sznurku.

Bezwartościowym dlatego, żeby nikt nie domyślił się nawet, jak drogocenny jest gryf. Na sznurku bezwartościowym jak ja.

Nie, nie wolno mi tak myśleć. Nie wolno całkowicie się poddawać.

Gryf był moją nadzieją, z nim czułam się bezpieczna.

Amulet miał długą historię. Przekazywany był w spadku z pokolenia na pokolenie już od dawna.

Podobno małżonka naszego dumnego przodka, don Ramira, dostała go w podarunku od czarownicy o imieniu Urraca. A kiedy sąd inkwizycyjny, zgodnie z rozkazem, który przyszedł z samej góry, pojmał i uwięził don Ramira wraz z czterema innymi rycerzami, jego sprzymierzeńcami, jego zrozpaczona żona, nie pamiętam, jak miała na imię... Ojej, wszystko mi się poplątało! Tak czy owak, małżonka don Ramira poprosiła Urracę o pomoc.

Wiedźma podziękowała jej za przekazanie wiadomości o losie rycerzy i przyrzekła, że uczyni dla nich wszystko, co tylko w jej mocy. Widać jednak nic zrobić nie mogła, bo wszyscy rycerze, tak samo jak i czarownica, stracili życie. Urraca dała jednak mojej prapraprababce tego maleńkiego gryfa, mówiąc, że jest on obdarzony nadzwyczajnymi właściwościami. Potrafi zapewnić właścicielowi ochronę przed chorobami i odeprzeć zły urok, a dopóki będzie przekazywany spadkobiercom z naszego rodu, to wszyscy jego członkowie będą chronieni przed utratą zdrowia i wielkimi troskami. Dzięki niemu ród przetrwa.

No cóż, rzeczywiście byłam zdrowa i silna, przetrzymywałam przeziębienia, ospę i nie dawałam się przeciagom, lecz w kwestii złych uroków i wielkich zmartwień nie byłam już taka pewna.

Przyjemnie jednak pomyśleć, że ród przetrwa, ja bowiem byłam ostatnia, może więc już niedługo będę miała dziecko z...

Nie, nie z El Fuego, to marzenie uleciało z wiatrem.

Akurat w tej chwili miałam wrażenie, że moją jedyną nadzieją, jakiej mogłam się uchwycić, jest ów maleńki gryf, i mocno ścisnęłam go w rękę. Czułam, jak pulsuje w mojej dłoni, lecz pewnie to tylko mój własny puls się odzywał.

Ogarnął mnie wielki żal po stracie ojca. Nigdy nie przypuszczałam, że jestem w stanie boleć po utracie kogoś, bo któżby to zresztą mógł być? Ojca w zasadzie nigdy szczególnie nie obchodziłam, w każdym razie nie dawał mi oznak swego zainteresowania, lecz istniało pomiędzy nami coś w rodzaju życzliwej przyjaźni. Łączyły nas więzy krwi i pod tym względem tak naprawdę mieliśmy jedynie siebie. No, on miał jeszcze przyrodniego brata, Dominga, lecz trudno mówić, aby między nimi panowały silne braterskie uczucia.

Nie, bolałam nad utratą ojca jako jedynego człowieka na ziemi, który nie traktował mnie jak coś, co wydobył z dołu kloaczego.

W zmieszaniu pokręciłam głową. Czyżbym nabrała pokory?

Raczej nie.

Wciąż nieprzerwanie snułam plany ucieczki, gdy coś się wydarzyło. Lato już minęło, a wszyscy mówili, że zima w tych górach może przynieść prawdziwie śmiertelne chłody.

Byłam więc przerażona. Nigdy nie lubiłam marznąć. Zbyt długie godziny spędzone samotnie w wilgotnej, chłodnej wieży zanadto wyczuliły mnie na zimno.

Pewnego razu jednak przybiegły do mnie Consuela i Rosita.

„Estello, musisz przyjść! Starszyzna kazała, żebyś się wykąpała i ładnie ubrała”.

Odruchowo wytarłam o spódnice powalane sadzą ręce, bo akurat gotowałam polewkę w olbrzymim kotle ustawionym w miejscu, które ochrzciliśmy rynkiem.

„Jak mam się ładnie ubrać, skoro moja jedyna sukienka cała jest w strzępach po tej ciężkiej pracy?”

„Dostaniesz piękną suknię. Już leży wyłożona w naszym domu”.

Serce uderzyło mi mocniej. Zdrętwiałymi wargami spytałam:

„Nie chcecie chyba powiedzieć, że El Fuego wybrał mnie?”

„Nie, nie dla siebie. Dowiedziałyśmy się, że on się nie zadaje z takimi dziećmi jak my trzy”.

Ach, tak? Czyżby miało to być jakieś usprawiedliwienie?

„Wczoraj wieczorem nadeszła wiadomość, że przybędzie tu jakiś wielki pan - oznajmiła Consuela. - Podobno stary znajomy El Punala.

Słyszał jakoby, że znajduje się wśród nas piękna młoda dziewczyna, prawdziwa dama z wyższych sfer, która mogłaby być guwernantką jego małych dzieci”.

„On jest bardzo bogaty” - dodała Rosita.

Zapłonęła we mnie nadzieja.

Dziękuję ci, mały gryfie, pomyślałam.

Cóż miałam do stracenia? Nic. Większość tutejszych ludzi uważała mnie za nieposłuszną, leniwą i niedobłą. Za bezwstydnicę.

I rzeczywiście, byłam pomiędzy wszystkimi tymi skromnymi ludźmi niczym oset wśród róż. Doskonale rozumiałam, że chcą się mnie pozbyć.

I ja także pragnęłam stąd odejść.

Żegnaj, zimo i głodzie! Owszem, Rosita i Consuela to miłe dziewczyny, lecz zupełnie bez znaczenia, zresztą same też dadzą sobie jakoś radę.

Pierś wypełniała mi coraz większa radość i musiałam aż zamknąć usta, żeby jej z siebie nie wypuścić. Miałam stąd odejść, stąd, z tego piekła upokorzeń, wrócić do świata, do którego należałam. Teraz wreszcie wszyscy ci plebejusze i prostytutki przekonają się, kto miał rację!

O, nie, nie przekonają się, bo przecież nic już nie będzie mnie z nimi łączyć. Nigdy do nich nie wrócę, niech idą swoją drogą. El Fuego może się zabrać do samego diabła z tą twarzą piękną jak Z obrazka i ze swoją arogancją. Nie obchodzi mnie ani odrobinę!

Jak taki diabeł może być do tego stopnia pociągający?

Miałam ochotę go uderzać, kopnąć, obrzucać wszystkimi wstrętnymi wyzwiskami, jakie tylko znałam... Lecz jego przecież tu nie było, nic więc nie mogłam zrobić.

Chciałam, żeby mocno mnie objął, tak mocno, żeby aż bolało, chciałam być miękka jak fale na morzu, spowite w słoneczną mgiełkę letniego poranka. Pragnęłam widzieć, jak wyraz jego oczu przechodzi z dzikości w łagodność.

Nie, on musiał pozostać taki, jaki był. Nieznośny! Chciałam go zabić właśnie za to, kim był.

Nie wiedziałam, czego chcę. Po raz pierwszy w moim grzesznym samowolnym życiu byłam zupełnie bezradna. Przestałam już być panią siebie.

On przecież nigdy mnie nie dostrzegął.

Zakłuło mnie to lekko, lecz nieprzyjemne uczucie prędko minęło.

Natomiast zastanowiłam się trochę nad moim użyciem słowa „arogancja”. Niemal codziennie mi ją zarzucano. Lecz również jego zachowanie, podobnie jak i wielu innych w tej wiosce, było arogancją wobec mnie. Okazywaniem pogardy dla wyżej urodzonych, których uważano jakby za nic nie wartych.

Ach, wyczuwałam to przez cały czas, zawsze się jednak z tego otrząsałam. To przecież ja górowałam nad tymi ludźmi, temu nikt nie zdoła zaprzeczyć.

A teraz szczęście nareszcie się do mnie uśmiechnęło. Zasłużyłam na to, bo przecież tyle wycierpiałam.

Otworzyły się przede mną drzwi. Zaakceptowałam to z wielką radością, w poczuciu triumfu.



## Lierbakkene, współcześnie

- Don Sevastino nie żyje? To się nie zgadza - stwierdził Morten.

- Owszem - przyznał Antonio. - Przecież o wiele później miał syna Juana.

- Ale o tym Estella nie wiedziała - powiedziała Gudrun. - Krążące plotki i pogłoski mogą wywołać wiele smutku.

- No tak, ale znów wrócił amulet. Był więc w posiadaniu rodu za czasów Estelli, a wtedy upłynęło około stu pięćdziesięciu lat od chwili, gdy Urraca podarowała go wdowie po don Ramirze.

- A następnie był w rodzie przez dalsze... Zaraz, zaraz... około dwustu pięćdziesięciu lat. Do czasu aż Santiago i jego ojciec zakopali go w ziemi - uzupełnił Pedro.

- A teraz znów ujrzał światło dzienne - roześmiała się Vesla, zaciskając palce na gryfie. - Po dalszych stu dwudziestu pięciu latach. To doprawdy imponujące! Właściwie aż strasznie go dotykać.

- Naprawdę? - zainteresowała się Unni. - To nieprzyjemne wrażenie?

Vesla przez chwilę zastanawiała się i wczuwała.

- Nie - odparła w końcu po namyśle. - Prawdę powiedziawszy, czuję się... czuję się bardziej bezpieczna.

- Przypuszczałem, że tak właśnie jest - stwierdził Pedro sucho.

- Musisz go naprawdę dobrze pilnować - przykazała Gudrun. - Przypuszczam, że może się okazać o wiele bardziej wyjątkowy, niż nam się wydaje.

- Ja również tak myślę - przyznał Antonio. - Ale tak naprawdę to nasza wiedza nieszczególnie się wzbogaciła. Do galerii przodków dołączyła jeszcze jedna osoba, bezimienna małżonka don Ramira.

Ona jednak zapewne ważna jest jedynie w tej sytuacji, która została tu opisana. To właśnie jej Urraca podarowała ów szczególny amulet.

- Dowiedzieliśmy się również, że gorzki los, jaki spotkał rycerzy i Urracę, znany był ich potomkom, przynajmniej do czasów Estelli.

Później wszystko musiało zostać usunięte z ksiąg historycznych, jeśli w ogóle kiedykolwiek fakty te tam umieszczono. Osobiście mam co do tego wątpliwości - powiedział Pedro.

- Uważam, że powinniśmy teraz zająć się dalszą lekturą - ponaglił Jordi. - Bo, o ile się nie mylę, teraz właśnie nastąpi coś, co będzie dla nas niezwykle interesujące.

Unni uśmiechnęła się do niego porozumiewawczo, a ciepły uśmiech, którym jej odpowiedział, ogrzał jej serce jak balsam.

Cóż za idiotyczne porównanie, pomyślała rozbawiona, lecz cóż poradzić na to, że tak właśnie poczułam?

## *Jednocześnie*

Pięciu czarnych rycerzy przyglądało się ludziom, usadowionym na werandzie i skupionym nad papierami. Nikt, nawet Jordi, nie mógł teraz widzieć rycerzy, zajmujących sporą część ogrodu. Rycerze bowiem się niepokoiли.

„Oni nie dostrzegają niebezpieczeństwa - westchnął don Federico, stary rycerz. - Nie zważają na upływ czasu. Nie pojmują, że inni mogą ich uprzedzić”.

„To prawda - kiwnął głową don Galindo, życzliwy. - Cała ich uwaga skierowana jest jedynie na nasze nieszczęście i wielka chwała im za to, lecz zapominają, zapominają!”

„Zapominają, że istnieje jeszcze trzecia strona - uzupełnił don Garcia de Cantabria. - Na razie niebezpieczeństwo nie jest jeszcze zbyt wielkie, nasi przyjaciele bowiem są w posiadaniu kilku kawałków tej tkaniny, których brakuje tym nieznanym. Tamci jednak ze swej strony mają inne jej fragmenty, o których ci dzielni młodzi nic nie wiedzą”.

„Tak - powiedział don Ramiro. - Ci dwaj nieznanymi wciąż błądzą po omacku. Zbliżają się do celu, lecz wiele ścieżek prowadzi na manowce, a tkanina ma niezwykle zawiły wzór”.

„To wprost komiczne, jak błądzą - uśmiechnął się don Sebastian de Vasconia niemal sadystycznie. - Na razie krążą po złej prowincji, a trzech orłów jeszcze nie dostrzegli”.

„I dobrze - stwierdził don Ramiro, młody. - Lecz teraz nasi przyjaciele muszą przyspieszyć. Powinni już jechać do Hiszpanii”.

„Spokojnie, mój młody niecierpliwy przyjacielu - odezwał się flegmatycznie don Federico. - Muszą zabrać ze sobą tego mądrego medyka Antonia. On zaś jeszcze nie wyzdrowiał. Muszą też przeczytać do końca księgę grzesznej Estrelli de Navarra. Ona da im nowe ślady, nowe życie i nadzieję”.

„Wiem o tym - odparł don Ramiro. - Ale czekanie jest takie trudne”.

Z tym wszyscy się zgodzali.

Uczynili jakiś gest zaklęcia skierowany ku dziewięciu osobom, siedzącym na werandzie, dodając każdej z nich otuchy i siły ducha, pozwalającej działać dalej. Obdarzyli swym błogosławieństwem Unni i Jordiego, Antonia i Vesłę, Pedra, Gudrun i Mortena, a także dwie postronne osoby, które tak ochoczo zgłosiły swą gotowość przyjścia z pomocą:

Atlego i Inger Karlsrudów.

Uczyniwszy to, rycerze odeszli.

## **Straciłam dobrą opinię - i nigdy mi jej nie brakowało.**

**M. W.**

### *Pireneje, wrzesień, A. D. 1628*

Ach, jak mnie myto i szorowano! W odpowiednim wyszykowaniu mojej osoby pomagały Consueli i Rosicie jeszcze inne kobiety z wioski, gdyż to najwyraźniej było ważne. Pomyślałam nieco podejrzliwie, że wygląda na to, jakby robiły coś podobnego już nie pierwszy raz, ale przecież one tak dobrze mi życzyły i zapewne dlatego tak bardzo się starały o jak najlepszy efekt.

Nie było to wcale łatwe zadanie, bo przecież przez tyle miesięcy wykonywałam ciężką fizyczną pracę. Moja skóra, wcześniej biała jak lilia, pociemniała teraz na brąz, pełna była szram i zadrapań, o paznokciach i ich okolicy nie chcę nawet wspominać, a na dodatek zrobiły mi się mięśnie! Wstyd i rozpacz! Kobiety jednak nie ustawały w swych zabiegach. Z pewnością byłoby to dla nich okropne, gdyby ten człowiek odrzucił mnie jako opiekunkę do dzieci, przez co ci ludzie musieliby mnie trzymać tu przez całą zimę.

Opiekunka do dzieci? Przecież ja w ogóle nic nie wiedziałam o dzieciach, poza tym, że to niemądre, obrzydliwe małe istoty, które nic a nic nie rozumieją, ale przez cały czas wymagają uwagi, i dla których inni ludzie żywią tyle podziwu, że całkiem zapominają o mnie.

Cóż, wszystko było lepsze od pozostania tutaj. Doszłam zresztą do wniosku, że na pewno dam radę zmusić te małe potwory do posłuszeństwa i wbić im do głowy odrobinę rozumu.

W końcu byłam gotowa, wyszorowana do czysta i ufryzowana.

Wystarczyło już tylko włożyć ten drogi strój, gdy ów człowiek po mnie przybędzie.

Nie widziałam El Fuego już od kilku dni, ale wkrótce wyjaśniło się, dlaczego tak się działo: Otóż El Punal potajemnie odwiedził obozowisko, a ponieważ obaj nie znosili się nawzajem, El Fuego odszedł do pracy w górach na czas, gdy w obozie bawił jego wróg.

Nie zauważyłam obecności El Punała i było mi wszystko jedno.

Kiedyś, gdy mogłam mu się przez moment przyjrzeć, nie wzbudził we mnie entuzjazmu.

Kobiety wróciły do swoich zajęć, a ja miałam dużo czasu.

Zebrałam swoje nieliczne ruchomości i siadłam przejrzeć pamiętnik. Nagle przypomniało mi się, że już kilka lat wcześniej wsunęłam do kieszonki w okładce kilka starych opowieści.

Znalazłam je w papierach pozostawionych przez stryja Jorge i po prostu je ukradłam. Tak czy owak przecież nikt inny by ich nie chciał.

Teraz je wyciągnęłam. Pismo tak się już zatarało, a kartki były tak wystrzępione, że wykorzystałam ten czas na ich przepisanie. Znajdą się teraz w moim pamiętniku. „Baśnie”, tak je nazwano. *CUENTOS*.

No cóż.

#### *EL VALLEMAGICO Y ENCANTADO*

Był sobie kiedyś las. Wielki las, otoczony górami i sam otaczający góry.

Dziwny był to las. Drzewa, niepodobne do innych drzew w okolicy, przywędrowały tu z dalekich krajów aż w te górskie okolice.

Pośrodku lasu znajdowała się niezwykła góra. Wysoka, miała kształt skulonego zwierzęcia, lecz nie to było takie dziwne. Na górze siedział zły stwór. Pilnował skarbu. Skarbu ukrytego we wnętrzu góry. Ale to nie była prawda. Pewnego dnia mieli się tu zjawić dwaj bracia, lecz tylko jeden miał wrócić do domu. *AMOR ILIMITADO SOLAMENTE*.

#### *LAS AGUILAS TRES ENSEÑAN EL CAMINO*

Orły trzy wskazują drogę. Istnieje droga, skryta w lesie tak dokładnie, że dęby milczą, zaś orchidee porastające ziemię odwracają się, gdy je spytać. Jedynie ten, kto zna ucieczkę orłów, może odnaleźć ścieżkę, która już nie istnieje, kiedy bracia nadejdą, z miejsca, gdzie orły są małe.

Pięciu rycerzy, to ostatni ludzie, którzy szli tą ścieżką. Śladem ich podążała la bruja. Ona to posiada teraz wiedzę o tym, którą wiedzie ścieżka. Bracia mogą ją odnaleźć, a potomkowie trzej dopomóc.

Stwór może zabić.

#### *EL MAS BAJO DE LOS BAJOS*

Z południa nadeszli, z miasta żółtego drapieżnika. Na koniach swych wieźli smutek. Kręta była droga, którą musieli podążać. Nie prosta, tam bowiem czyhało niebezpieczeństwo. Krążąc, jechali dniami i nocami, wskazywali potomkom drogę. Ich śladem można podążać, lecz wiedza jest tu tajemna. Pytajcie najniższego z niskich!

#### *MIO ES EL CONOCIMIENTO*

Wiedzę wypiera czas. Brata nie mam, którego mógłbym poprosić o pomoc. Odszedł, bo wojna i chwała zajęły mu myśli, a cierpienie rodu ani trochę go nie obchodzi. Sam jestem,

sam zaś nic uczynić nie mogę. Szukajcie mego spadku. Przechowajcie go w tajemnicy, dopóki bracia nie zdołają rozwiązać złej zagadki!

Rycerze mnie proszą, czas płynie, aż do zawrotu głowy. Są tutaj, ci źli, ci czarni, którzy z pozoru mogą przypominać tamtych pięciu.

Tych jest jednak więcej, a ich zatraczone dusze głębiej zabarwiły się czernią. Dwunastu ich widzę i wiem, że mój czas już minął.

Przybądźcie mi na pomoc, ktokolwiek, jeśli może! Oszczędźcie mi tego lęku! Najświętsza Matko, ratuj!

Siedziałam, usiłując zrozumieć te zadziwiające baśnie. Były tylko trzy, ta czwarta pojawiła się znacznie później. Została zapisana całkiem niedawno, prawdopodobnie przez mego nieszczęsnego stryja Jorge, który zmarł w klasztorze. Nieszczęśnik! Przeżył zaledwie dwadzieścia pięć lat, ale nikt nigdy nie przekona mnie, że jego śmierć w takim właśnie wieku była czymkolwiek innym niż tylko przypadkiem. Ja nie podzielę jego losu!

Tak, teraz bowiem nastąpi kres moich upokorzeń. Zobaczymy, co się stanie. Wierzę w najlepsze.

### ***Bayonne, w czerwcu 1631***

Dawno już nie zapisałam nic w pamiętniku. Od ostatniego zapisu upłynęły trzy lata, a ja zdążyłam osiągnąć wiek lat dziewiętnastu.

Wiele się wydarzyło w ciągu tych lat. Nie mam zbyt wielkiej ochoty wdawać się we wszystkie szczegóły, lecz kilka punktów zmuszona jestem odnotować.

Mężczyzna, który miał mnie zabrać z tej górskiej wioski, okazał się Francuzem. A więc zaliczał się do wrogów mego ojca! Któż jednak nie był wrogiem ojca? Przyjęłam zatem ów fakt ze spokojem, pragnęłam jedynie wyrwać się z tego piekła ciężkiej pracy.

Francuz był stosunkowo przystojny. Starannie ubrany, wyperfumowany przyjemnymi pachnidłami, a takimi zapachami nie rozpieszczano mnie przez ostatnie miesiące. Nie był już bardzo młody, lecz brzuch wciąż jeszcze miał płaski, a twarz nie zdążyła mu się całkiem pomarszczyć. Zawsze uważałam, że wiek bardzo trudno ocenić, bo wszyscy, którzy ukończyli już dwadzieścia lat, wydawali mi się starzy. Oceniałam go jednak na jakieś czterdzieści lat.

Francuz przyjrzał mi się badawczo, wręcz obszedł mnie dookoła i najwyraźniej uznał, że nadaję się do opieki nad jego dziećmi.

Ale też trzeba przyznać, że i ja prezentowałam się doskonale.

Doprawdy, nie pojmuję, w jaki sposób dziewczętom udało się tak mnie wystroić. Ubrana byłam w jedwabie, na ramiona narzuconą miałam pelerynę podbitą futrem, a pewna kobieta z wioski, jedna z tych, na których widok poszeptywano z uśmiechem, poprawiła mi nieco kolory na twarzy i elegancko uczesała włosy.

Pożałowałam, że El Fuego nie może mnie teraz zobaczyć, ale zaraz sobie przypomniałam, że przecież go nienawidzę.

Eleganckiemu Francuzowi towarzyszył El Punal. Domyśliłam się, że ktoś najwyraźniej musiał donieść o mojej obecności w wiosce. To El Punal załatwił mi posadę opiekunki do dzieci. Powinnam chyba być mu za to wdzięczna, był jednak tak wstrętny, że nie chciałam mu nawet dziękować.

Przymiłał się teraz do Francuza, podkreślając moje zalety, jak gdyby w ogóle mnie znał. Cieszyłam się, że nie wpadłam w jego ręce, bo tego właśnie obawiała się Consuela, dowiedziawszy się, że on wie o moim istnieniu.

Gdy jednak Francuz uważnie mi się przyjrzał, można powiedzieć, że niemal dokonał sekcji, zauważyłam, że z uznaniem kiwa głową i wsuwa w rękę El Punała ciężką sakiewkę. Z pewnością zapłacił mu za podróż i za towarzyszenie sobie w góry.

Jak się później okazało, mój nowy chlebodawca był baronem. I jego, i mnie zniesiono z gór w lektyce. Nieco mnie to zirytowało, bo przecież byłam silna i wytrenowana, a od siedzenia i kołysania na poduszkach niemal zapadłam na morską chorobę.

W pewnym momencie, na samym początku tej podróży, gotowa byłam przysiąc, że dostrzegam postać El Fuego wśród skał, lecz oczywiście musiało to być jedynie przywidzenie. Cóż, wyobraźnia potrafi przywołać rozmaite obrazy.

Podróż trwała długo i nie chcę więcej o niej pisać, tyle czasu już minęło. Traktowano mnie jednak bardzo dobrze, jak przystoi wysoko urodzonej szlachciance.

Mój pan podczas drogi w dół niewiele się do mnie odzywał.

Zrozumiałam, że wybrał się do Hiszpanii w podróż za interesami, po mnie zaś zajechał w powrotnej drodze do domu. Towarzyszył mu potężny orszak służących.

Gdy dotarliśmy na miejsce, zakwaterowano mnie w ślicznym, niedużym mieszkanku w wielkim mieście, o którym nigdy wcześniej nie słyszałam. Nazywało się Bayonne i położone było nad morzem.

Wszystko tu było dla mnie nowe. Rzeka, miasto, ludzie... No i mówiono po francusku. Dzięki Bogu jednak Bayonne leżało w pobliżu granic Nawarry, mogłam się więc jako tako porozumiewać.

Dowiedziałam się, że Nawarra wcale nie chce należeć do Hiszpanii, lecz pragnie być wolnym krajem, jej mieszkańcy zaś mają liczne powiązania z francuską stroną Pirenejów. To była jednak polityka, na której ja się nie wyznawałam.

O wiele ważniejsze było to, że dostałam nowe stroje i jakież to stroje! Mama nigdy nawet nie zbliżyła się do czegoś równie eleganckiego. A tu najwyraźniej wolno było nosić głębokie dekolty, nikt też nie żądał ciasnego obwiązywania piersi. Mierzyłam kolejne suknie i ogarniał mnie coraz większy zachwyty. Baron powiedział, że pracować zacznę dopiero następnego dnia, chwilowo byłam więc swobodna i szczęśliwa. Moczyłam ręce w wodzie z ługiem, żeby odzyskały dawną miękkość i delikatność, umyłam włosy, które w tamtej górskiej wiosce musiałam obciąć, ale na szczęście z czasem zaczęły odrastać.

Ach, jakże dalekie wydawało się tamto życie wysoko w górach!

Powróciłam do eleganckiego świata, a moje dawne życie w domu, w Castillo de Ramiro, wydawało się odległe o co najmniej tysiąc lat.

Tak naprawdę czułam się, jak gdybym nie miała pod stopami stałego gruntu, jak gdyby wszystko, co do tej pory przeżyłam, po prostu zniknęło.

Następnego dnia przed południem jedzenie przyniósł mi młody chłopak. Puścił do mnie oko, ale ja nie zrozumiałam tego sygnału.

Odważyłam się wyjść na krótki spacer, chcąc przyjrzeć się nowemu otoczeniu. Dowiedziałam się, gdzie mieszka baron. Z początku przypuszczałam, że to gdzieś tuż obok, było jednak inaczej. Od niskiego eleganckiego dworu, jak będę nazywać jego dom, chociaż był położony w środku miasta, dzielił mnie spory kawałek.

W domu panowała cisza, nigdzie nie było widać żadnego dziecka.

Przyglądałam się dworowi co prawda przez bramę, bo nie chciałam wydać się ciekawska, nigdzie jednak nic się nie poruszało. Ani na zewnątrz, ani za oknami.

Baron miał jeszcze tego samego popołudnia przyjść, by mnie nauczać, pospiesznie więc wróciłam do siebie. Miasto było naprawdę wielkie, a wszystkie domy równie piękne. Przez chwilę miałam też widok na port, sprawiał wrażenie tętniącego życiem, lecz nie ośmieliłam się tam pójść.

Zaczęło zmierzchać, gdy zjawił się baron. Wcześniej zjadłam już resztki jedzenia, bo bardzo zgłodniałam. Ubrałam się ładnie, tak jak moim zdaniem powinna postąpić piastunka, i ukloniłam się, kiedy wszedł, choć niezbyt głęboko, bo wiedziałam, że przewyższam go urodzeniem. On również miał tego świadomość, lecz o tym nie należało nigdy wspominać.



Nie przyszedł sam, towarzyszyli mu dwaj słudzy, którzy wnieśli wielkie półmiski z najbardziej wyszukаныmi daniami, a ja na ten widok zaczęłam czynić sobie wyrzuty, że przez cały dzień podjadałam.

Przypadkiem stałam przy wyjściowych drzwiach, gdy słudzy zbierali się już do odejścia, lecz oni mnie nie dostrzegli.

„Chyba szkoda takiej panny do tego” - stwierdził jeden.

O, tak, oczywiście miał rację, wszak wykonywanie obowiązków piastunki nie licowało z moją godnością, lecz znalazłam się w sytuacji, w której niestety nie miałam wyboru.

Odezwał się drugi:

„Nie pojmuję, jak zdołali utrzymać ją czystą, i to w pobliżu El Punalá. Szkoda niszczyć taką dobrą opinię”.

„Słyszałem, jak mój pan mówił, że El Punal w ogóle o niej nie wiedział, ale czyż ona nie żyła w gnieździe rozbójników gdzieś wysoko w górach? To znaczy, że musieli tam być również inni? Aż dziwne, przecież to taki smaczny kąsek!”

„Podobno miała opiekuna, którego wszyscy szanowali”.

Słowa te zamąciły mi w głowie, ale prędko o nich zapomniałam.

Podano bowiem niezwykle elegancki i wyszukany powitalny obiad.

Baron okazał się sympatycznym człowiekiem, z lekkością prowadził konwersację, ja zaś dumna byłam, że potrafię mu odpowiadać jako tako rozsądnie. Warstwa nieokrzesania, prymitywny język, który narzucono mi w górach, zniknęły teraz i znów mogłam przypomnieć sobie o swoim znakomitym wykształceniu i eleganckich manierach. Do obiadu podano też wino, a smakowało ono zupełnie inaczej niż ów drożdżowy kwaśny napitek, pędzony przez mieszkańców gór. Muszę przyznać, że trochę zakręciło mi się od niego w głowie.

Gdy obiad dobiegł końca, baron zaprosił mnie do małego saloniku. Owszem, pokoik urządzony był elegancko, lecz to nic w porównaniu z moją sypialnią, niezwykle zbytkowną, z mnóstwem luster i czerwoną jak krew narzutą. Prawdę mówiąc, kolor ten wydał mi się odrobinę wulgarny, lecz baronowi o tym nie powiedziałam, bo przecież okazał mi tyle życzliwości.

Mój chlebowdawca usadowił się w wygodnym fotelu w salonie, żeby rozpocząć nauki. Ja musiałam stanąć przed nim, przyglądał mi się półprzymkniętymi oczyma. Palił długą fajkę, tego nowego zwyczaju ludzie z wyższych sfer nauczyli się od konkwistadorów.

Zapach, owszem, był elegancki, lecz moim zdaniem niezbyt przyjemny.

„Dona Estrella - zaczął. - Chcę, aby pani wiedziała, że to będzie moja jedyna wizyta u pani. Jestem koneserem i zadowolić mnie mogą jedynie dziewice”.

Nie bardzo mogłam zrozumieć, o co mu chodzi.

„No, a dzieci? - spytałam. - Nie wytłumaczy mi pan, w jaki sposób należy je wychowywać?”

Jego uśmiech był wąski i pełen goryczy.

„Ach, dona Estrella! Sądziłem, że pani już wszystko rozumie.

Pojmuję jednak, że widać była pani naprawdę dobrze chroniona.

Nie ma żadnych dzieci, nie mogę marnować swego drogiego czasu na takie sprawy. Lecz nie musi pani wcale żyć tu sama, będzie miała pani gości, wielu gości. Bardzo przyjemne wizyty. Panów z najwyższych sfer”.

Dopiero teraz zaczynałam zdawać sobie sprawę z tego, o co w tym wszystkim chodzi. Doprawdy, jak można być tak powolną w myśleniu! Moja sława, moja dobra opinia zostanie zszargana! Jeśli już tak się nie stało. Służący...

O dziwo, w moim wnętrzu została stoczona walka. Powinna poczuć się głęboko urażona i zraniona. I tak też się czułam.

Jednocześnie zaś krew szybciej zaczęła krążyć mi w żyłach, jak z podniecenia, lecz zupełnie innego rodzaju. Cóż się teraz stanie?

## Lierbakkene, wspólnie

- W tym miejscu się zatrzymamy - zdecydował Pedro. - Moralne rozterki Estelli mogą jeszcze trochę poczekać. Mamy ważniejsze rzeczy do omówienia.

- No tak, baśnie! - roześmiał się Jordi. - Widziałem i słyszałem, jak się wszyscy po kolei rozjaśnacie, dochodząc do tego momentu.

- No bo mamy je! - wykrzyknęła Vesla, triumfalnie wyrzucając rękę w górę. - Mimo wszystko je mamy, chociaż je nam skradziono.

- Tak - uśmiechnęła się Unni. - Wiedziałałam, że się ucieszycie.

Antonio powiedział zamyślony:

- Felipe, ten, który razem ze swym synem Santiago zakopał nasz skarb, pomimo iż brzydził się pamiętnikiem Estelli, musiał przepisać z niego baśnie, a później opowiedzieć je synowi. A brat chłopaka, Enrico, podsłuchiwał.

- No cóż, nie do końca tak - zaproponował Pedro. - Przepisała je Cristina, a Santiago odnalazł jej zapiski. Dla niego musiały być prawdziwym skarbem.

- A Estella znalazła je wśród papierów pozostawionych przez stryja Jorge - podsumował Morten. - Nieszczęsnego nowicjusza Jorge, który miał je nie wiadomo skąd.

- Przyjrzyjmy się starannie tym baśniom - poprosiła Gudrun. - Po kolei.

- O, tak, koniecznie! - podchwyciła Unni. - Ale moim zdaniem one wcale nie przypominają baśni. Właściwie są to raczej zagadki.

- Oczywiście, to zagadki, które kryją się pod postacią baśni. I to marnych baśni na dodatek - skomentował cierpko Pedro.

- A więc dobrze, weźmy się za pierwszą - powiedział Antonio. - „EL VALLE MAGICO Y ENCANTADO”. Dlaczego napisałaś tytuły po hiszpańsku, Unni? Dlaczego nie są przetłumaczone?

- Uznałam, że tak będzie ładniej - zawstydzona się Unni.

- Bo to prawda. A więc „ZACZAROWANA DOLINA”. Magico i encantado znaczy właściwie to samo. Magiczna, zaklęta, zaczarowana. „Był sobie kiedyś las. Wielki las, otoczony górami i sam otaczający góry.

Dziwny był to las. Drzewa, niepodobne do innych drzew w okolicy, przywędrowały tu z dalekich krajów aż w te górskie okolice.

Pośrodku lasu znajdowała się niezwykła góra. Wysoka, miała kształt skulonego zwierzęcia, lecz nie to było takie dziwne. Na górze siedział zły stwór. Pilnował skarbu.

Skarbu ukrytego we wnętrzu góry. Ale to nie była prawda. Pewnego dnia mieli się tu zjawić dwaj bracia, lecz tylko jeden miał wrócić do domu. AMOR ILIMITADO SOLAMENTE.”

- No, tak - westchnął Pedro. - Spróbujmy rozebrać ten tekst. W którym miejscu mamy do czynienia z doliną? Dlaczego baśń nie nazywa się „Zaczarowany las”?

- Właśnie - zafrasowała się Vesla. - No i mamy drzewa. Co to za drzewa, przybyłe z obcych krain?

- Eukaliptusy? - spytała Unni ostrożnie. Była przecież w północnej Hiszpanii i wiedziała, że właśnie te drzewa sprowadzono.

- W piętnastym wieku? - powiedział z niedowierzaniem Pedro. - Chyba już raczej chodzi o sosny albo kasztany. Drzewami, które najwięcej wędrowały w dawnych epokach, są świerki, lecz w północnej Hiszpanii aż roi się od rozmaitych gatunków drzew, sądzę więc, że powinniśmy tę kwestię na razie pominąć. Zamiast tego zajmijmy się tym dziwnym zdaniem: „Ale to nie była prawda”. Co nie było prawdą?

- Że skarb ukryty jest we wnętrzu góry - odparła Vesla natychmiast. - I to, jak przypuszczam, wiąże się z zaklętą doliną.

- Tak - kiwnął głową Pedro. - Wydaje mi się, że jeśli o nas chodzi, to przez cały czas szliśmy właściwym tropem. To, czego szukamy, nie znajduje się we wnętrzu góry, lecz w jakiejś ukrytej dolinie. Skarb czy nie skarb, to dla nas nieistotne, sądzę jednak, że nasz cel, ratunek dla rycerzy i ich potomków, a także ów tajemniczy skarb, znajdują się w jednym i tym samym miejscu.

- Ja też tak uważam - przyznał Jordi. - No a stwór?

- Propaganda strachu - podsunął Morten. - Po to, żeby nikt nie miał odwagi szukać skarbu.

- Bardzo prawdopodobne - uśmiechnął się Pedro. - A teraz to, co w baśni najbardziej interesujące: dwaj bracia.

Jordi i Antonio popatrzyli na siebie. „Tylko jeden miał wrócić do domu”.

Atle Karlsrud dostrzegł ich niepokój.

- O ile zdążyłem się zorientować, to w tym drzewie genealogicznym wielu było braci.

- O, tak! - podchwycił Pedro. - Jorge i Sevastino. Santiago i Enrico. Mogli też być oprócz nich tacy, o których się tu nie mówi.

Poza tym żyją jeszcze potomkowie dwóch kolejnych rodów, Unni i mojego, czyli potomkowie don Sebastiana i don Federica.

- No, tak - przyznał Antonio. - Lecz przypadkiem są także dwaj żyjący bracia. Mam na myśli nas dwóch. I dlatego zdanie to brzmi zarówno zachęcająco, jak i złowieszczo.

- Nie mówmy o tym teraz - poprosiła Vesla z lękiem. - Bo baśń kończy się triumfalnie. „Amor ilimitado solamente”. „Tylko bezgraniczna miłość”.

- Powiedźcie mi - odezwała się Inger Karlsrud - kto mógł na samym początku wymyślić te baśnie?

Zapadła cisza. Wszyscy zaczęli gorączkowo przeglądać papiery w nadziei, że znajdą w nich odpowiedź.

- Czy wolno mi zgadywać? - zapytała Unni niepewnie.

- Prosimy - odparł Pedro.

- Zrobiła to Urraca, czarownica. Pedro zastanowił się.

- Ja też bym się ku temu skłaniał. Tyle tu jest przewidywań, wróżb. Lecz sposób, w jaki te baśnie wędrowały dalej w czasie, docierając aż do nas, doprawdy, graniczy z cudem!

- Wiecie co? - rzucił nagle Jordi. - Mam wrażenie, że tu czegoś brakuje. Na przykład jeszcze jednej baśni. Albo czegoś innego. To wszystko wydaje mi się takie obcięte, jakby połowiczne. Przecież nikt nie jest w stanie dotrzeć na miejsce jedynie za pomocą tych mętnych wskazówek.

- To prawda - zgodził się z nim Antonio. - Ale można się też doszukiwać pewnej pocięchy w tym, że człowiek, który skradł nam papiery, również nic nie odnajdzie.

- Chyba że zdobył coś jeszcze - mruknął Morten z ponurą miną.

- Nie przypuszczam. Estella mówi przecież wyraźnie: były tylko trzy baśnie.

- Spróbujmy odcyfrować coś więcej. Jordi przeczytał:

- „LAS AGUILAS TRES ENSEÑAN EL CAMINO” Orły trzy wskazują drogę. Istnieje droga, skryta w lesie tak dokładnie, że dęby milczą, zaś orchidee porastające ziemię odwracają się, gdy je spytać. Jedynie ten, kto zna ucieczkę orłów, może odnaleźć ścieżkę, która już nie istnieje, kiedy bracia nadejdą, z miejsca, gdzie orły są małe.

Pięciu rycerzy to ostatni ludzie, którzy szli tą ścieżką. Śladem ich podążała la bruja. Ona to posiada teraz wiedzę o tym, którą wiedzie ścieżka. Bracia mogą ją odnaleźć, a potomkowie trzej dopomóc.

Stwór może zabić.”

Po chwili Jordi podjął:

- Przede wszystkim la bruja oznacza wiedźmę, czarownicę.

Unni zaćwierkała:

- Słyszeliście? „Bracia mogą ją odnaleźć, a potomkowie trzej dopomóc”. Ci trzej potomkowie... Czy to nie może chodzić o Pedra, Mortena i mnie?

- To rzeczywiście brzmi obiecująco - uśmiechnął się Antonio. - Lecz mamy też innych pomocników - dodał, gestem ręki wskazując pozostałych obecnych.

- Ale ta baśń niemalże potwierdza, iż to Urraca wymyśliła je wszystkie - stwierdziła Gudrun.

- Rzeczywiście na to wygląda. Lecz co, na miłość boską, może oznaczać „miejsce, gdzie orły są małe”. Czy to dobrze przetłumaczone, Unni?

Jordi potwierdził, że dobrze.

- Gdzie orły są małe? - zachodziła w głowę Gudrun. - Wśród wysokich gór?

- Może i tak - powiedział Jordi rozmarzonym głosem. - Ale ja mam jeszcze inny pomysł.

- To mów!

Jordi potrząsnął głową, jak gdyby właśnie się obudził.

- Nie, nie, to była tylko taka sobie myśl. Zapomnijcie o tym!

- Twoje nagłe objawienia zwykle przynoszą rezultaty - przypomniał Pedro.

Jordi wciąż był wstrzemięźliwy.

- Muszę najpierw coś sprawdzić - oświadczył.

- Jak chcesz - ustąpił Pedro.

- Cóż, chyba nic więcej nie wyciągniemy z tej baśni. Przyjrzyjmy się następnej.

Tą zajęła się Gudrun:

- „EL MAS BAJO DE LOS BAJOS.” Jeżeli mój hiszpański jest dobry, to musi to oznaczać... Uf, po angielsku to by było „the lowest of the low”. Trudno przetłumaczyć na norweski. „Najniższy z niskich”? To brzmi dość niemądrze. „Najmarniejszy”? „Parias”?

„Najmniej znaczący”? Czy ktoś ma jakieś lepsze propozycje?

Próbowali „najnędniejszy z nędznych”, „najmniejszy z małych”, lecz nic nie wydało im się właściwe. Najważniejsze jednak było, że rozumieli, o co chodzi.

Gudrun czytała dalej:

- „Z południa nadeszli, z miasta żółtego drapieźnika. Na koniach swych wieźli smutek. Kręta była droga, którą musieli podążać. Nie prosta, tam bowiem czyhało niebezpieczeństwo. Krążąc, jechali dniami i nocami, wskazywali potomkom drogę. Ich śladem można podążać, lecz wiedza jest tu tajemna. Pytajcie najniższego z niskich!

- To oczywiście, że chodzi o smutną jazdę rycerzy na północ z królewskimi dziećmi - stwierdził Morten. - O to, co Unni widziała w swojej wizji.

- Tak - zgodził się Jordi. - I tu nareszcie mamy odpowiedź, skąd oni jechali. „Z miasta żółtego drapieźnika.” Jacyż my byliśmy niemądrzy! Uważaliśmy, że przybyli z miejsca w

obrębnie tych pięciu północnych prowincji, tymczasem rycerze oraz para młodych musieli zostać schwytani i zabrani do miasta Leon. Miasta żółtego drapieznika, czyli lwa. Teraz mamy przynajmniej jakiś punkt zaczepienia.

- Tak - przyznał Pedro. - Później obejrzymy sobie mapę. Ale najniższy... El bajo wskazuje na to, że musi tu chodzić o coś rodzaju męskiego. No nic, bierzmy się za ostatnią baśń. Za tę, która wcale nie jest baśnią.

Pozwolono ją przeczytać Mortenowi. Był z tego niezwykle dumny, lecz okropnie się namordował z długim hiszpańskim słowem.

- „*MIO ES EL CONOCIMIENTO*” Co to znaczy?

- Moja jest wiedza - przetłumaczył Pedro.

- Ach, tak? - powiedział Morten. - No więc słuchajcie! „Wiedzę wypiera czas. Brata nie mam, którego mógłbym poprosić o pomoc.

Odszedł, bo wojna i chwała zajęły mu myśli, a cierpienie rodu ani trochę go nie obchodzi. Sam jestem, sam zaś nic uczynić nie mogę.

Szukajcie mego spadku. Przechowajcie go w tajemnicy, dopóki bracia nie zdołają rozwiązać złej zagadki!

Rycerze mnie proszą, czas płynie, aż do zawrotu głowy. Są tutaj, ci źli, ci czarni, którzy z pozoru mogą przypominać tamtych pięciu.

Tych jest jednak więcej, a ich zatraczone dusze głębiej zabarwiły się czernią. Dwunastu ich widzę i wiem, że mój czas już minął.

Przybądźcie mi na pomoc, ktokolwiek, jeśli może! Oszczędźcie mi tego lęku! Najświętsza Matko, ratuj!”

Atle westchnął.

- Wolanie brata Jorge o pomoc. Ach, moi drodzy, tyle jest tragedii w historii waszego rodu! Tak bardzo chciałoby się pomóc.

Ale jest już za późno.

- Nie na wszystko - przypomniał Antonio. - Przecież jeszcze możemy rozwikłać zagadkę. Lecz rzeczywiście los Jorge był chyba jednym z najokrutniejszych.

- Tak - powiedziała zamyślona Gudrun. - Sądzę jednak, że Jordi miał rację, mówiąc, że czegoś tu nam brakuje. I wydaje mi się, że owa brakująca część mogła się znajdować właśnie w posiadaniu młodego mnicha Jorge.

Vesla nastawiła uszu.

- Ten spadek, o którym on mówił. Estella też to powtarzała.

Wspominała o jakimś spadku. O jedynej rzeczy, jaką miała dostać po stryju Jorge.

- No tak, ale co to było? - odezwał się pogardliwie Morten. - Mnisia opończa?

Wszyscy milczeli. Starali się skoncentrować. Od czasu do czasu komuś dyskretnie burknęło w brzuchu, bo od dawna już nic nie jedli, tak bardzo zajęły ich zapiski Estelli. Vesla zaczęła się kręcić, bolał ją krzyż. Antonio natychmiast to zauważył i umieścił jej poduszkę za plecami. Podziękowała mu przelotnym uśmiechem.

- Pomyślcie tylko, a jeżeli coś było ukryte w tej opończy? - podsunęła Inger.

- Mnie również przyszło to do głowy - kiwnął głową Pedro. - Ta opończa musi zawierać w sobie odpowiedź.

- Chyba jeśli o nas chodzi, to trochę za późno o niej myślimy - zauważyła Vesla. - Raczej niewiele z niej już zostało.

- No tak, to prawda - zmartwił się Antonio. - Zapewne nie uda nam się nawet odnaleźć grobu Jorge, a poza tym możliwe, że mnichów nie grzebie się wcale w ich zakonnych szatach.

- Musimy pojechać do klasztoru San Salvador de Leyre - upierał się Jordi. - Teraz to jeszcze ważniejsze niż dotychczas.

- Może mógłbym tam zadzwonić? - zaproponował Pedro.

- I co? O co byś spytał? - powiedział Jordi, który bardzo chciał zobaczyć ów słynny klasztor. - „Przepraszam, ale czy przypadkiem nie macie opończy mnicha zmarłego przed czterystoma laty”?

Pedro uśmiechnął się.

- Nie, myślałem jedynie o tym, żeby spytać, w jaki sposób oni grzebią swoich zmarłych.

- To niezły pomysł - stwierdził Antonio, sabotując plany podróży Jordiego. - Wieczorem popracujemy nad nim starannie. Teraz, wydaje mi się, dobrze zrobi nam chwila przerwy. Jakiś obiad też by chyba nie zaszkodził. A potem zaraz znów się weźmiemy za eskapady Estelli.

Na samą myśl o tym westchnęli z rezygnacją.



**Wspinam się po drabinie sukcesu, której stopniami są kolejne błędy.**

**M. W.**

*Bayonne, czerwiec 1631*

Stałam przed baronem wyprostowana, a serce waliło mi jak szalone. On podniósł się i zaczął rozsznurowywać mi wstążki przy dekolcie, przesuwając się przy tym cały czas coraz niżej. Pozwoliłam mu na to, bo pachniał czystością, przyjemnie, zwłaszcza w porównaniu ze wszystkimi niemiłymi zapachami unoszącymi się w tamtej górskiej wiosce i podczas podróży. Baron był dobrym człowiekiem, światowcem, i wiedział, co jest właściwe i przyzwoite, w przeciwieństwie do tamtych prostaków, z którymi zmuszona byłam przebywać w ostatnich miesiącach.

El Fuego mógł iść do diabła!

Baron spytał, dlaczego w oczach błysnęła mi łezka.

„Lękam się, mój panie - skłamałam. - Co ze mną robisz?”

Te słowa, jak się wydawało, sprawiły mu przyjemność. Zsunął mi suknię na podłogę, rozwiązał podwiązki i wolno zaczął zdejmować ze mnie bieliznę, pozostawiając jedynie cieniutką halkę, którą nosiłam już na gołe ciało.

Widziałam, że jest zachwycony.

„Doskonała” - mruknął.

Zauważyłam też u niego wypukłość w miejscu, gdzie mężczyźni skrywają swoją tajemnicę.

Nagle jednak powiedział coś nieoczekiwanego:

„Idź do swojej sypialni. Moi służący już ją przygotowali. Zdejmij halkę i ubierz się w to, co zostało tam wyłożone. Zechcesz to zrobić?” - spytał.

Ogarnęło mnie już teraz drżące podniecenie i z rozpalonymi policzkami kiwnęłam tylko głową. Pilnowałam się jednak, żeby spoglądać na niego wielkimi, po dziecinnemu wystraszonymi oczyma. To prawda, że byłam dziewczycą, lecz być może bardziej dojrzałą, niż on by sobie tego życzył.

„Jesteś dla mnie taki dobry, panie, a ja tak się boję, bo nie bardzo to wszystko pojmuję. Bądź dla mnie wyrozumiały” - szepnęłam błagalnie.

On uśmiechnął się krótko, uspokajająco, a ja wyszłam z pokoju.

Stałam w drzwiach oszołomiona. Wielkie nieba! Jak też wyglądała moja sypialnia!

Zniknęła gdzieś krwistoczerwona narzuta, zamiast niej wszędzie rozłożono biały jedwab. Prześcieradła, poduszki, kołdry, wszystko obleczone zostało w najdelikatniejszy atlas, a wszędzie w pokoju stały białe lilie. Najwięcej było ich wokół łóżka.

Na łóżku leżała nocna koszula, cieniusieńka niczym pajęczyna, lśniąco biała, z pasującą do niej matką, lecz jej chyba nie miałam zakładać, a przynajmniej nie teraz, bo wisiała na ścianie nieco z boku.

Czym prędzej ściągnęłam swoją halkę i ukryłam ją pod łóżkiem, bo bardzo tu nie pasowała. Ubierając się w wyszukaną nocną koszulę, mocniej zacisnęłam uda i poczułam, jak bardzo już płonę.

Musiałam zdusić westchnienie, bo przecież miałam odgrywać kompletnie nieświadomą niczego niewinność. Przelotną myślą wróciłam do górskiej wioski, gdzie kiedyś dość grubiańsko obszedł się ze mną pewien mężczyzna. Pojawił się wtedy El Fuego i tylko stanął, a grzesznik z podkulonym ogonem się wycofał. Ten mężczyzna po prostu odniósł się do mnie, nie okazując mi należnej czci i zdradzając nieprzystojne życzenia, ale teraz zrozumiałam, jaką miałam ochronę. Wówczas tego nie pojmowałam, bo odczuwałam jedynie głębokie rozczarowanie faktem, że El Fuego nigdy nie ma ochoty na rozmowę ze mną.

Trzeba zapomnieć o El Fuego! Przecież i tak nigdy więcej go nie zobaczę.

Jedwab cudownie spowijał moje ciało. Cała byłam jak iskra, moje nerwy, skóra wibrowały.

Nie bardzo wiedziałam, czego się ode mnie oczekuje, lecz akurat w tej chwili do pokoju wszedł baron. I on się przebrał, włożył granatowy szlafrok. Pokój oświetlała jedynie samotna łojowa świeca, ustawiona na półce.

Przez krótką chwilę staliśmy nieruchomo. Przyjęłam postawę wyczekującą, przez cały czas starałam się wyglądać na wystraszoną i niewinną.

Baron głęboko odetchnął i nagle zrobił krok w przód, a potem jednym ruchem obu rąk rozerwał moją piękną koszulę od góry aż do samego dołu.

Oczywiście uderzyłam w krzyk, koszula bowiem była prześliczna i miałam wielką ochotę ją zatrzymać. On jednak zerwał ją ze mnie, pchnął mnie na łóżko i padł na mnie, jednocześnie ściągając szlafrok.

Wydałam z siebie ściszony jęk, ale udało mi się sprawić, że zabrzmiało w nim przerażenie. Baron był jak odmieniony, syczał przez zęby niczym dzikie zwierzę. Z oczu sypały mu się błyskawice, wyglądał niemal groźnie, lecz tylko niemal. W jego zachowaniu bowiem była niejaka przesada. Szarpnął mnie za włosy, zanurzył w nich ręce i gładził je w

dziwny sposób. Drżał też na całym ciele i szeptem powtarzał jakieś słowa, których nie udało mi się zrozumieć.

Miałam wrażenie, że usiłuje sam się rozpalic, co uznałam za nieco obraźliwe.

Czułam teraz jego sztywniejący członek na ciele i miałam wielkie kłopoty z powstrzymaniem się przed wyjściem mu na spotkanie.

Zamiast tego usiłowałam się odsuwać, co było dokładnym przeciwieństwem moich pragnień. Czułam się jak rozpalony piec, jęknęłam leciutko, cicho, on jednak zareagował z wielką gwałtownością.

„Jesteś chętna?” - niemal ryknął, a ja poczułam, jak jego męskość więdnie.

„Chętna do czego, panie? - jęknęłam nieszczęśliwa. - Wszystko to ogromnie mnie przeraża, nie chciałabym dłużej tak leżeć, czuję się obnażona, zdana na twoją łaskę, panie, i poniżona”.

„Nie bój się, dziecko, jesteś cudownie piękna i czysta, gdy tak leżysz - oznajmił z wysiłkiem. - Przypominasz pokrytą śniegiem równinę, którą można zdeptać ciężkimi trzewikami, zostawić na niej swój ślad, zniszczyć”.

To ostatnie wypowiedział szeptem do siebie, tak cicho, żebym tego nie słyszała, ale ja mam przecież doskonały słuch.

„Jesteś taka piękna, taka czysta, taka nietknięta” - mówił do mnie jakby w roztargnieniu.

Spontanicznie objęłam go za ramiona, lecz takie postępowanie najwyraźniej go zirytowało. Twarz mu się ściągnęła i chwycił za wielkie nożyce, które służący pozostawili na nocnym stoliku.

Ogarnięty dziką wściekłością, rzucił się na lilie i jął ścinać białe kwiaty.

Nie mogłam powstrzymać się od okrzyku „Nie!”, bo przecież były takie piękne.

„Trzeba je zniszczyć! - syknął. - Doprawdy, zaczynam się zastanawiać, czy ty jesteś dziewczicą, czy nie?”

„Ach, oczywiście, że jestem - zapewniłam. - Żaden mężczyzna nawet nie musnął mego ramienia. Jestem dokładnie taka, jak mówisz, mój panie. Biała jak śnieg, nietknięta”.

„Tylko bez namiętności, bo tego u kobiet nie znoszę” - oświadczył z oburzeniem.

„Namiętność? A co to takiego?” - spytałam naiwnie, chociaż ciało miałam gorące jak lawa. Doprawdy, on miałby mówić o namiętności?

„Rzeczywiście jesteś nieświadoma, młodziuteńka i niezbrukana, o, tak!”

Znów zaczął odyskiwać męskie siły, a ja, dostawszy już wcześniej nauczkę, rozumiałam, o co mu chodzi, i kiedy usiłował rozsunąć mi nogi, zacisnęłam je najmocniej jak umiałam.

„Nie - szepnęłam. - Proszę mi nic nie robić, boję się, to nieprzyzwoite!”

To go zadowoliło. Męskość natychmiast mu się uniosła, przestał też już być delikatny.

„O, tak, niszczyć, szarpać na kawałki!” - powtarzał jak szaleniec.

„Oszczędź moją niewinność, panie!” - poprosiłam.

Znów próbował rozchylić mi nogi, a ja udałam, że nie mam już dłużej sił się sprzeciwiać. Czułam, że jestem już gotowa, i bałam się, że on nieodwołalnie musi się zorientować, co się ze mną dzieje.

Wreszcie udało mu się osiągnąć punkt, którego pragnął, a mnie, nieszczęsnej, zabrakło siły, by się opierać, i odpowiedziałam mu z rozedrganym zapałem.

Wyczuł to natychmiast. I wycofał się. W rozczarowaniu zerwał kwiaty kolejnych lilii.

Czy nam nigdy nie uda się tego dokończyć? pomyślałam zniecierpliwiona i obróciłam się na bok.

„Ach, nie, panie! Nie chcę tego, nie mogę. Pozwól mi zachować dziewictwo!”

Jego członek, który znów zaczął już zwisać, natychmiast się podniósł i znów dumnie wskazywał w górę, diabelsko kusicielski.

Baron zmusił mnie do powtórnego ułożenia się na plecach.

I teraz wreszcie zdołał zrealizować swoje zamiary.

Ach, jakże bolało! Zaniosłam się krzykiem, wcale nie udawanym.

Z powodu bólu zdołałam na kilka chwil oprzytomnieć, przynajmniej na tyle, żeby on mógł osiągnąć to, po co przyszedł. Sapiąc i warcząc jak dzikie zwierzę, osiągnął szczyt zaledwie po kilku krótkich pchnięciach.

Teraz jednak ja byłam już tak rozpalona, że na pół z płaczem kazałam mu odejść, i to natychmiast. Byłam urażona i wzburzona, tak mu powiedziałam, lecz rozpaczliwie zaciskałam ręce na brzegu materaca, usiłując powstrzymać osiągnięcie rozkoszy.

Idźże wreszcie do diabła, powtarzałam w myślach z irytacją.

Ale on, nałożywszy szlafrok, wziął z półki świecę i uważnie przyjrzał się pięknej narzucie.

„No tak - powiedział zadowolony. - Krew! Dopełniłem aktu.

Zaliczasz się teraz do wtajemniczonych. Czekają cię podarunki i bogactwa, będziemy się nimi dzielić po równo. Nie zamierzam cię oszukiwać. A teraz żegnaj! Nigdy więcej już mnie nie zobaczysz, lecz ten dom należy do ciebie, dopóki będziesz w jak najlepszy sposób

wywiązywać się ze swoich obowiązków. Możliwość pobłogosławienia cię sprawiła mi prawdziwą radość!”

Podał mi jeszcze szkatułkę z małymi, pachnącymi aromatycznymi przyprawami pigułkami. Miałam zażyć jedną już teraz, aby nasze spotkanie nie miało żadnych następstw, i zabieg ten powtarzać za każdym razem, gdyby tylko było to konieczne. Najważniejsza z mojej strony miała być dyskrecja, mogłam liczyć na najwyśmienitsze towarzystwo, żadnych mieszkańców miasta, jedynie przyjezdni, wysoko urodzeni światowcy. Baron miał wiele cennych znajomości na całym świecie.

Odszedł, ja zaś leżałam, słuchając, jak się ubiera, a potem zamyka wyjściowe drzwi. Doszedł mnie odgłos odjeżdżającego powozu.

Moje dłonie sięgnęły do spragnionego łona. I wreszcie zdołałam się doprowadzić do szczytu namiętności. Rozkosz ogarnęła mnie niczym lawina.

Później długo leżałam, rozmyślając o tym, co się stało, i o tym, co nastąpi później.

Czy powinnam stąd uciec?

Ale dokąd? Przecież nikogo tu nie znałam. Nie posiadałam żadnych środków i na samą myśl o tym pojawiło się przede mną upiorne widmo biedy.

Tu zaś czekało mnie życie pełne luksusów.

Postanowiłam poczekać i zobaczyć, co przyniesie czas.

## Okolice Drammen, współcześnie

- Mam już dość tej okropnej kobiety! - wybuchnęła Gudrun.

- Musimy przez to przejść - przypomniał jej Antonio. - Ale przyznam, że to w istocie nic przyjemnego.

Ponieważ w tym rozdziale nie było żadnych informacji wymagających omówienia, zaś o tym, co przeczytali, nie mieli ochoty dyskutować, tego wieczoru już się wszyscy wspólnie nie spotkali.

Inger i Atle mogli teraz jechać spokojnie do siebie, nikt z mieszkańców willi nie zamierzał im towarzyszyć, aby nie ściągnąć na ich dom zbędnej uwagi.

W samochodzie siedzieli w milczeniu, lecz ich myśli z pewnością się krzyżowały.

W końcu Inger powiedziała:

- Jaka szkoda!

- O, tak! - natychmiast zgodził się z nią Atle. - On jest przecież naprawdę bardzo miły.

To absolutnie właściwy człowiek dla Unni.

- Tak, a tymczasem może już długo nie pożyć.

- Chcesz chyba powiedzieć: „ożyć na nowo”? - spytał Atle cierpko. - Ktoś, kto nie miałby okazji go zobaczyć, nigdy nie uwierzyłby w tę historię.

- Cóż - powiedziała Inger. - Te jego oczy. Kiedy się w nie spogląda, człowiek czuje się tak, jakby tonął w morzu śmierci.

Nie ona pierwsza odniosła takie wrażenie.

- Wszystko byłoby o wiele łatwiejsze, gdyby Unni chciała związać się z jego bratem, Antoniem.

- Ale to nie byłoby najlepsze rozwiązanie. Ona i Jordi sprawiają wrażenie nierozzerwalnie ze sobą połączonych - stwierdził Atle.

- A tymczasem nie mogą być razem, nie mogą się nawet dotykać!

- Ach, gdybyśmy tylko byli w stanie coś dla nich zrobić!

- Możemy wesprzeć tę ich grupę finansowo. To chyba jedyna pomoc, jaką możemy im służyć.

- Miałabym wielką ochotę pojechać razem z nimi do Hiszpanii.

Uf, Atle, w jakież to niezwykły zaklęty wir wpadliśmy, my, tacy zupełnie zwyczajni ludzie! Uważałam się za rozsądną myślącą realistkę, ale przecież im wierzę!

- Najgorsze, że ja również. A jeszcze gorsze, że nie chcemy wcale zabrać Unni stamtąd i ukryć jej w bezpiecznym miejscu.

- No tak, bo to również jej sprawa, w takim samym stopniu jak pozostałych.

- Co z tego wyniknie, Inger, co z tego wyniknie?

Pedro urzeczywistnił swoje plany i zatelefonował do klasztoru San Salvador de Leyre. Jordi był sfrustrowany, bo przecież chciał pojechać tam razem z Unni, lecz rozumiał, że dzięki takiemu działaniu mogą zaoszczędzić zarówno czas, jak i środki.

Nazwisko i tytuł Pedra jak zwykle w Hiszpanii otworzyły przed nim wszystkie drzwi.

Udało mu się nawiązać rozmowę z mężczyzną, zapewne mnichem, który miał nadzór nad wszystkimi starymi kronikami klasztoru benedyktynów i wiele wiedział na temat jego historii.

- Tysiąc sześćset szósty? - powtórzył w zamyśleniu ów życzliwy człowiek. - To doprawdy dawno temu! Jak on się nazywał? Brat Jorge?

- Był ledwie nowicjuszem, a jego pełne nazwisko brzmiało: don Jorge de Navarra y Rioja y Euskadi. Zmarł w wieku dwudziestu pięciu lat.

- I pan chciałby się dowiedzieć, czy on został pochowany na terenie klasztoru?

- O, tak, właśnie.

- A czy ma pan ku temu jakiś szczególny powód, jeśli wolno mi spytać?

- Potomkowie jego brata, Sevastina de Navarra, zajmują się opracowaniem rodowej kroniki. Brakuje im sporo informacji właśnie na temat młodego Jorge.

- Rozumiem. Owszem, lecz jeśli chodzi o tak dawną sprawę, to będę musiał przeszukać naszą bogatą bibliotekę, zajrzeć do wszystkich tych starych zakurzonych ksiąg. Czy mogę oddzwonić mniej więcej za godzinę?

Pedro spojrział na zegarek. Wieczór był jeszcze młody.

- Byłoby to ze strony brata bardzo łaskawe - odparł.

- To dla mnie wielka przyjemność - odpowiedział życzliwie mnich.

Nie kładli się spać, czekali. Nikt chwilowo nie miał ochoty czytać dalszego ciągu księgi Estelli, stwierdzili, że przyjęli już dostateczną dawkę.

W końcu telefon zadzwonił. Wszyscy drgnęli przestraszeni, Pedro popatrzył na przyjaciół, nim odebrał.

Jordi przycisnął guzik głośnika, tak aby wszyscy mogli wysłuchać tej rozmowy. Odbывała się wprawdzie po hiszpańsku, lecz większość z nich potrafiła się przynajmniej zorientować, o co chodzi.

Jedynie Morten i ucząca się hiszpańskiego od niedawna Vesla musieli się raczej domyślać sensu, usiłując wychwycić tych kilka słów, które już znali.

Pozostali radzili sobie całkiem nieźle.

Mnich ów, czy kto też to był, stwierdził, że sprawa wygląda dosyć dziwnie. Przejrzał stare kroniki i w istocie odnalazł nowicjusza Jorge de Navarra, który wstąpił do klasztoru na dwa lata przed śmiercią i przebywał w nim od roku tysiąc sześćset cztery do tysiąc sześćset sześć. Niewiele o nim zapisano, lecz jakaś drobna uwaga na marginesie odsyłała do innej książki, autorstwa kronikarza, brata Isidro, który najwyraźniej był w klasztorze razem z Jorge. Nieco czasu zabrało odszukanie tej książki, lecz w końcu jakoś się udało ją odnaleźć. I doprawdy, okazało się, że warto ją przestudiować, zawierała bowiem cały, choć niewielki rozdział o Jorge.

- Czy mógłbym to odczytać? - spytał Hiszpan.

- O, tak, to byłoby dla nas bardzo pomocne - stwierdził Pedro. - Oczywiście opłacę rachunek telefoniczny i nie zapomnę również o datku na klasztor.

- Tego rodzaju dary zawsze są mile widziane i w istocie bardzo potrzebne. Dziękuję zatem. Zaczynam więc czytać, oczywiście w „tłumaczeniu” na współczesny język.

Morten, słuchając w skupieniu, skubał obicie należącej do Vesli kanapy. Gudrun posłała mu ostrzegawcze spojrzenie, natychmiast przestał w poczuciu winy i już tylko słuchał.

- „Młody szlachcic Jorge de Navarra przybył do nas przed wieloma laty. Właśnie zostałem wyświęcony na mnicha i szkoda mi było wielce owego młodego chłopca, który sprawiał wrażenie dręczonego przez wewnętrzne demony. Spytałem go kiedyś o to, lecz on zmieszany odparł, że nie chodzi wcale o wewnętrzne demony, gdyż te, które go dręczą, przybywają z zewnątrz. Im dłuższy czas upływał, tym bardziej stawał się nerwowy i bardziej przerażony. Mamrotał coś o rycerzach, którzy prosili go o pomoc, a także o jakichś straszliwych czarnych sługach inkwizycji. Nie chciał też spać samotnie w celi, lecz to przecież było konieczne, stanowiło część jego przygotowań i nauki.

Jedyną rzeczą, jaką pragnął się zajmować, było tkanie mnisiej opończy, nad którą w istocie gorączkowo pracował. Przesiadywał nad robotą w warsztacie do późna w nocy. Gdy wreszcie ją skończył, nieco się odprężył, ale nie było drugiego równie oddanego modlitwie jak młody Jorge de Navarra.

Rozmawiałem o nim z opatem i wspomniałem mu, że, moim zdaniem, klasztor nie jest właściwym miejscem dla tego chłopca.

Opat jednak odparł, że nie może się sprzeciwić woli nowicjusza.



Tymczasem ja odnosiłem wrażenie, że ów młody chłopiec szuka w klasztorze schronienia, pragnie być blisko Boga, Najświętszej Matki i Zbawiciela.

Nie potrafiłem go zrozumieć. On jednak widać miał do mnie zaufanie, raz bowiem, niedługo przed swą nieoczekiwaną śmiercią, spytał, czy zechcę dopilnować, aby jedyna rzecz będąca na tym świecie jego własnością, a mianowicie opończa, mogła zostać przekazana w spadku ewentualnym dzieciom jego brata.

Odpowiedziałem wstrząśnięty, że nie można przecież nikomu ofiarować mnisej opończy, a wówczas ów nieszczęsny chłopiec wybuchnął płaczem, ja zaś musiałem go pocieszać, że uczynię ze swej strony wszystko, co w mojej mocy, aby tak się stało. Lecz tak naprawdę nie mieściło się to w głowie.

Jego śmierć była zaskakująca i niepojęta. Znaleźliśmy go rano, na twarzy i w szeroko otwartych oczach malowało się przerażenie, zaś w kącikach ust i na języku miał jakąś czarną, mazistą substancję.

Oczywiście starliśmy ją, przekonani, że nieszczęsny sam sobie odebrał życie.

Przybył brat zmarłego i kazał zabalsamować ciało Jorge. Była to rzecz niezwykła, lecz spełniliśmy jego życzenie, ponieważ ród de Navarra należał do najpotężniejszych. Osobiście nie brałem udziału w pogrzebie, gdyż wyruszyłem akurat wypełniać obowiązek miłosierdzia, nic więc o tym nie wiedziałem. Ciało młodego Jorge zostało złożone w krypcie, owinięte w jego opończę. Oczywiście, gdy mi o tym powiedziano, nieco się przeraziłem i musiałem walczyć z wyrzutami sumienia, zapomniałem bowiem, iż mam wspomnieć bratu młodego mnicha, don Sevastinowi, o tej opończy, za jego bytności. Lecz przecież nie można przekazać w spadku rzeczy takiej jak mnisia szata, a w dodatku osobie, która nie istnieje.

Nie istnieje przynajmniej na razie. Ale historia Jorge wcale się jeszcze nie kończy.

Upłynęło wiele lat i wczoraj znów przypomniałem sobie młodego nieszczęśliwego Jorge. Zjawił się bowiem jego brat, Sevastino, teraz już człowiek dojrzały, twardego usposobienia, któremu nie bez powodu nadano przydomek „Krwawy”. Oznajmił, że odnalazł stary list napisany przez Jorge, w którym nowicjusz wyraził życzenie, aby pochowano go na terenie rodzowego zamku Castillo de Ramiro.

Po krótkiej, lecz dość gwałtownej wymianie zdań, nasz nowy opat zgodził się wreszcie - widać nie należy się opierać don Sevastinowi de Navarra - i trumnę z zabalsamowanymi szczątkami Jorgego zabrano, po oddaniu należnej czei zmarłemu”.

- I to już wszystko na temat młodego Jorge - zakończył rozmówca z San Salvador de Leyre.

- Jeszcze tylko chwileczkę - poprosił Pedro. - Czy nie ma tam żadnej wzmianki o roku, w którym poczyniono ten zapisek?

- Zaraz sprawdzę... Owszem, jest. Dwunasty maja Anno Domini tysiąc sześćset dwadzieścia osiem.

- Dziękuję.

Po dopełnieniu wszystkich uprzejmości Pedro zakończył rozmowę.

Popatrzył na przyjaciół.

Wszyscy, łącznie z samym Pedrem, sprawiali wrażenie wycieńczonych.

- Strzał w dziesiątkę! - odetchnęła wreszcie Gudrun.

- Owszem - zawtórował Antonio. - Teraz nie musimy już szukać niczego w San Salvador de Leyre. Należy raczej odnaleźć Castillo de Ramiro.

- Właśnie - zgodziła się Unni. - Bo nareszcie wiemy, co Estella mogła zobaczyć tamtej nocy.

- Trzej mężczyźni w tajemnicy nieśli jakiś podłużny przedmiot, owinięty w kościelny dywan. Jednym z nich z pewnością był don Sevastino.

- Nieśli mumię Jorge.

Na twarzach wszystkich pań z grupy odmalowało się współczucie.

Jakież to przykre!

- Ale co oni z nią zrobili? - spytał Morten. - Dlaczego nic więcej się o tym nie dowiadujemy? I na co im była ta mumia?

Pedro odparł:

- Sevastino bez wątpienia musiał słyszeć o spadku, pozostawionym przez Jorge, o którym przecież Estella wspomina tyle razy.

- No tak, o opończy - zgodziła się zamyślona Vesla. - A to znaczy, że nie mamy żadnych szans.

Jordi podniósł głowę i wyjrzał przez okno, nim odpowiedział:

- Owszem, mamy, musimy mieć. Nie wolno nam popadać w zniechęcenie. Nie możemy tracić otuchy, naprawdę nie możemy sobie na to pozwolić. Morten dobrze mówi: Dlaczego nie dowiadujemy się niczego więcej na temat tej opończy? Albo spadku? Musimy jechać do Castillo de Ramiro.

- Które najprawdopodobniej już nie istnieje - mruknął Antonio. - Albo zmieniło nazwę.

Zapadła cisza. Czyżby wpadli na jakiś nowy ślad? Czy też raczej zabrnęli w ślepią uliczkę?

Morten przerwał ciszę głębokim westchnieniem.

- Ku własnemu wstydnemu muszę przyznać, że ja aż tyle nie rozumiałem. A wy na pewno zapomnieliście już, co mówił ten dobry człowiek.

- Jordi nagrał całą rozmowę - uspokoił go Antonio.

- Och, prawdziwy z ciebie geniusz! - wykrzyknął Morten. - Ale teraz już naprawdę muszę się nauczyć hiszpańskiego. Vesla, gdzie ty chodzisz na kurs?

- Nigdzie nie chodzę, Antonio mnie uczy.

- Antonio, czy przyjmiesz jeszcze jednego ucznia?

- Bardzo chętnie, Mortenie, ale cóż, myślę teraz, że powinniśmy już zakończyć ten dzień. Jutro od nowa zajmiemy się Estellą, jeśli starczy nam siły.

- A czy ona w ogóle ma nam jeszcze coś do powiedzenia? - z powątpiewaniem spytał Morten. - Czy też cała reszta to tylko jakieś erotyczne wygłupy?

- Zostało jeszcze kilka prawdziwych złotych ziarenek. A jeżeli jesteś taki wrażliwy, to przecież te najgorętsze erotyczne sceny możesz najzwyczajniej ominąć - uśmiechnął się Jordi.

- Wrażliwy? Jestem tym najnormalniej w świecie znudzony.

- Powiedział doświadczony Don Juan. Chodź, Unni, idziemy do naszego pokoju, w którym samotność aż huczy między nami.

Po raz pierwszy Jordi publicznie poskarżył się, że nie mogą być razem. W oczach Unni, gdy usłyszała gorzkość w jego głosie, zakręciły się łzy.

Vesla i Antonio poszli do siebie. Gudrun dawno już przeniosła się do sypialni Pedra, a Morten zniknął w swoim małym pokoiku, z surowym zakazem nastawiania jakiegokolwiek głośniejszej muzyki.

Jordi i Unni poszli na górę do swego dużego, przestronnego pokoju na poddaszu, jedyne pomieszczenia, jakie mogli dzielić, zaledwie nie zbliżając się do siebie.

Rycerze pokiwali głowami.

„Już niedługo powinni dostać swoje pół godziny” - stwierdził don Ramiro.

„Owszem - przyznał don Federico. - Ale zaczekajmy jeszcze trochę, w tej chwili mają wiele rzeczy do przemyślenia. Ale bardzo interesujące było to, czego dowiedzieli się o dwóch braciach. To znaczy, że muszą teraz czekać, aż młody Antonio wyzdrowieje”.

„My nie jesteśmy teraz w stanie nic dla niego zrobić. Ostatnio utraciliśmy zbyt wiele sił i nie możemy ryzykować, bo jeszcze zupełnie znikniemy albo zamienimy się w postacie z mgły” - dodał don Sebastian.

Don Garcia uśmiechnął się z zadowoleniem.

„Masz rację, ale trzeba przyznać, że posunęli się bardzo daleko”.

**Za dużo tego dobrego może być cudowne.**

**M. W.**

***Bayonne, w czerwcu 1631***

Baron dotrzymał obietnicy. W istocie cudownie spędzałam czas.

Gdy do portu przypląwał statek z daleka, mogłam spodziewać się wizyty. Baron miał szeroki krąg znajomych, lecz do mnie przysyłał samą śmietankę, prawdziwych panów, którzy zamierzali spędzić w mieście kilka dni i którzy odwiedzali mnie w te wieczory, gdy najlepiej to odpowiadało obu stronom.

Oczywiście z początku bardzo się denerwowałam, panowie jednak najwyraźniej uważali to za wzruszające. Prędko się też uczyłam. Przecież w domu wychowywano mnie na damę, potrafiłam prowadzić konwersację i uprzyjemniać czas. Z czasem wręcz uczyniłam z tego prawdziwą sztukę.

Miałam też możliwość poznania najlepszych stron miłości z panami naprawdę znającymi się na rzeczy, doskonale obeznanymi z wszelkimi tajnikami erotyki.

Mogłabym napisać wiele pikantnych historii, złożyłam jednak baronowi obietnicę milczenia, więc tego nie zrobię. Finansowa strona całego przedsięwzięcia załatwiana była z wielką dyskrecją.

Żaden z panów, niezależnie od wieku, nigdy nie mówił o pieniądzach. Po prostu płacili baronowi, a dzień lub dwa później któryś ze służących kładł na moim nocnym stoliku sakiewkę. Nigdy nie wątpiłam w uczciwość barona i wiedziałam, że dzieli się ze mną po równo.

W ten sposób stosunkowo szybko udało mi się zgromadzić pokaźny majątek. Bardzo mi to odpowiadało, napępniało poczuciem mocy.

Słudzy byli małowówni i uprzejmi, nigdy nawet słowem nie dali mi do zrozumienia, że wiedzą, co się tu dzieje. Od czasu do czasu wybierałam się na przechadzkę do miasta, przy czym starałam się, żeby się odbywała raczej przed południem, a wówczas to zawsze towarzyszył mi któryś ze służących w roli eskorty.

Właśnie podczas jednej z takich przechadzek zajrzałam do niewielkiej gospody i tam przypadkiem się dowiedziałam, że nie jestem wcale jedyną protegowaną barona. Podobno miał wiele młodych dam ulokowanych w różnych częściach miasta.

W pierwszej chwili wpadłam w gniew i poczułam się niezwykle urażona. Potem jednak usłyszałam, że któraś z nich zrobiła się już za stara i wyrzucono ją z mieszkania.

Uśmiechnęłam się wówczas do siebie drwiąco i śmiałam się, dopóki nie uświadomiłam sobie, że mnie również może w przyszłości spotkać podobny los.

Należało temu zapobiec! Wiodło mi się teraz tak dobrze, opływałam w luksusy, niemało zarabiałam, a wieczory i noce spędzałam na bardzo przyjemnych zajęciach i wcale nie miałam zamiaru z tego rezygnować. Zaczęłam więc starać się jeszcze bardziej, by postrzegano mnie jako miłą, piękną, pachnącą i sprzyjającą wszystkim tym wspaniałym panom, którzy mnie odwiedzali.

Zdarzyła się jednak bardzo nieprzyjemna historia.

Do portu przybił jakiś statek z północy i w moim pięknym saloniku zjawił się przystojny, około trzydziestoletni mężczyzna. Z początku wszystko układało się jak najlepiej, wypiliśmy kawę, napój importowany z kolonii, i z przyjemnością konwersowaliśmy, choć muszę przyznać, że rozmowa nie toczyła się gładko, on bowiem nie najlepiej władał hiszpańskim i francuskim, który to język ja opanowałam naprawdę dobrze.

Cóż, prawdziwe kłopoty zaczęły się jednak dopiero w łóżku.

Baron tym razem popełnił straszliwy błąd.

Dobre maniery, przyjemna powierzchowność i pomyślna sytuacja materialna nie zawsze idą w parze ze szlachetnością. W tym mężczyźnie, pochodzącym z... chyba z Norwegii, a może z Danii lub ze Szwecji, cóż, dla mnie wszystkie te kraje są synonimami chłodu, mieszkał wilk.

Ów gość chciał mnie związać i chłostać, a czegoś takiego dama ze znamienitego rodu z Nawarry nie powinna tolerować. Odpowiednie zachowanie jest warunkiem najistotniejszym tego życia, jakie zgodziłam się prowadzić w Bayonne. Gdybym odstąpiła od tej zasady, prędko stoczyłabym się bardzo nisko. Nie chciałam brać w coś takim udziału.

Postanowiłam stawić mu opór. Ten człowiek zdążył już umocować do wezglowia łóżka rzemień i trzymał moje ramię w żelaznym uścisku.

Przeliczył się jednak co do mnie. Odrobina sprzeciwu zapewne jeszcze by go tylko podnieciła, lecz wcale nie z odrobiną się zetknął.

Wprawdzie upłynęło już dwa i pół roku, odkąd opuściłam tamtą górską wioskę, lecz mięśnie, jakie sobie tam wyrobiłam i których tak bardzo wówczas nienawidziłam, wciąż zachowałam, podobnie jak umiejętność samoobrony. Tam, w górach, sporo było awantur, ponieważ wielu ludzi mnie nie lubiło, i nauczyłam się walczyć, zarówno z kobietami, jak i z mężczyznami, a mój gość prędko się o tym przekonał.

Prawą rękę wciąż miałam swobodną i uderzyłam go prosto w oko.

Zaskoczony puścił moją drugą rękę, a ja w tym samym momencie walnęłam go w szczękę, kolano zaś wbiłam w miejsce najbardziej ku temu odpowiednie i wcale się nie starałam zrobić tego lekko.

Mężczyzna upadł na podłogę i tam wił się z bólu. Kiedy wciąż był sparaliżowany ciosem i zaskoczeniem, pozbierałam jego ubrania i rzeczy i zaciągnęłam go do wyjściowych drzwi. Nie miał siły nawet stawiać oporu, i dobrze, bo jeszcze gotów mnie zabić za taką obrazę. Wypchnęłam go z domu, ubranie rzuciłam za nim i zamknęłam drzwi na podwójne zamki.

Słyszałam, jak toczy się po schodach i wypada na ulicę, a ponieważ był nagusieńki, to doszłam do wniosku, że postara się zniknąć stąd jak najprędzej.

Następnego dnia napisałam list, który kazałam służącemu odnieść baronowi. Oświadczyłam w nim, że nie mam zamiaru brać udziału w takim wyuzdaniu, i poprosiłam, by następnym razem dobierał mi gości z większą starannością. Oznajmiłam jednak, że w tym wypadku zachowam dyskrecję.

W odpowiedzi dostałam od barona wielki bukiet róż, do których przypięty był mały bilecik z podziękowaniem za tak zręczne wybrnięcie z tej kłopotliwej sytuacji. Baron prosił o wybaczenie, nie miał bowiem w ogóle pojęcia o skłonnościach tego człowieka, który poza tym był podobno wielce poważaną osobą.

Mój chlebodawca jeszcze raz podziękował mi, że załatwiłam tę sprawę tak subtelnie i dyskretnie (cha, cha, szkoda, że tego nie widział), nie ściągając na niego uwagi publicznej i władz.

Nie trudziłam się odpowiadaniem baronowi, że ludzie i tak wiedzą o jego stadku „pracownic” w mieście. Jak tyle razy wcześniej zadawałam sobie pytanie, co zacni obywatele sądzą o mnie. Zawsze jednak przy wyjściu do miasta towarzyszył mi jeden ze służących, którego przedstawiałam jako ojca, nigdy też nie słyszałam, żeby ktoś o mnie poszeptywał. Nie wiedziałam więc, jak jest naprawdę.

Kilka miesięcy później, a przebywałam wtedy w Bayonne od trzech lat, baron wezwał mnie do siebie. Nigdy wcześniej nic podobnego się nie zdarzyło. Muszę przyznać, że ogarnął mnie lęk.

Czyżby teraz przyszła kolej na wyrzucenie na ulicę mnie? Doprawdy, trudno mi było w to uwierzyć, ostatnie bowiem pół roku przebiegło nadzwyczaj spokojnie, wszystko toczyło się jak zwykle i żaden z odwiedzających mnie panów się nie skarżył. Przeciwnie, miałam już wielu stałych gości. Niektórzy używają słowa „klient”, które ja uważam za wulgarne i wcale nie oddające owego wyszukanego traktowania, jakie oferowałam każdemu z nich.

Nie mogłam więc pojąć, czego baron może ode mnie chcieć.

Szczerze mówiąc, wpadłam w lekką panikę.

Przyjechał pomnie powóz i po raz pierwszy znalazłam się w domu barona, wyglądającym jak prawdziwy pałac.

W holu było ciemno, lecz widziałam, że ściany pokrywały najszlachetniejsze gatunki drewna. Przestrzeń wokół drzwi i balustrad zdobiły rzeźbienia. Stały tu naczynia z Orientu, na ścianach wisiała broń i obrazy. Służący wprowadził mnie do pokoju mego pana, przestronnej i wygodnej komnaty, świadczącej o wielkim bogactwie.

Kiedy weszłam, baron podniósł się z krzesła, a ponieważ pora była bardzo wczesna, południe, od razu się zorientowałam, że jest wzburzony. W pewnym sensie trochę mnie to uspokoiło. Byłoby znacznie gorzej, gdyby okazał złość.

„Proszę usiąść, dona Estrella. Bardzo chciałbym z panią porozmawiać”.

Usiadłam natychmiast, z gracją ułożyłam wokół siebie spódnicę.

Czekałam na to, co ma mi do przekazania.

„Najpierw muszę powiedzieć pani komplement, pochwalić za sposób, w jaki pani postępuje. Nigdy nie słyszałem żadnych skarg, przeciwnie, wielu panów pragnie ponownie się z panią spotkać. Czy żaden z gości nigdy nie wzbudził w pani głębszych uczuć? „

Zastanowiłam się. Oczywiście poznałam kilku niezwykle atrakcyjnych młodych ludzi, lecz łączyły mnie z nimi więzy bliższe raczej przyjaźni. Kilku z nich się we mnie zakochało, zapewne podobnie jak wielu starszych, lecz o czymś takim nigdy nie wspomiano. Z niektórymi spędzanie nocy było o wiele miłsze niż z innymi...

„Nie, mogę spokojnie odpowiedzieć, żaden szczególnie mnie nie zainteresował” - odparłam.

Wydawało się, że ta odpowiedź go zadowoliła, miał jednak kłopoty z dalszym prowadzeniem rozmowy. Teraz dopiero spostrzegłam, że w ciągu tych trzech minionych lat bardzo się postarzał. Nie wyglądał na zdrowego.

Nie o tym jednak wcale chciał ze mną mówić.

„Dona Estrella... Wydarzyło się wielkie nieszczęście... Wczoraj wieczorem miałem wtajemniczyć nową młodą dziewczynę, lecz ona okazała się inna, niż myślałem, była... doświadczona i bardzo namiętna. Musiałem ją ukarać. Wściekłość mnie jednak zaślepiła i nie byłem w stanie zapanować nad sobą. Nim zdążyłem się zorientować, leżała już bez życia”.

„Ach!” - to było jedyne słowo, jakie zdołałam z siebie wydusić.

„To oczywiście nader tragiczne zajście, a ludzie prawa będą mnie przesłuchiwać. Moi służący słyszeli, jak o tym mówiono. Pod żadnym względem nie wolno mnie łączyć z tym nieszczęsnym zdarzeniem. Potrzebuję więc pani pomocy”.

Nie byłam w stanie odpowiedzieć, kiwnęłam jedynie głową.

„Czy zechce mnie pani poślubić, dona Estrella?”

Z piersi wyrwał mi się szloch. Była to ostatnia rzecz, jakiej mogłam się spodziewać.

Tymczasem barona ogarnął zapał. Miało to oczywiście być małżeństwo tylko z nazwy, lecz zażyczył sobie, bym wprowadziła się do jego domu. Jego dobry przyjaciel, ksiądz, obiecał udzielić nam ślubu jeszcze tego samego dnia, zgodził się też za odpowiednim wynagrodzeniem sporządzić dokument zaświadczający, że jesteśmy małżeństwem już od dawna.

Dyskretnie rozejrzałam się dokoła. Dostrzegałam niezmierne bogactwo, jakie musiało mieścić się w tym domu, do którego zgromadzenia musiały się z pewnością przyczynić te nieco szczególne dochody barona. Spytałam potem, co się stanie z moim „zajęciem” w przyszłości.

Oczywiście miałam przestać pracować.

Westchnęłam w duchu. W tym domu z pewnością nie będę mogła liczyć na szczególne przyjemności w pościeli, a byłam przecież przyzwyczajona do tych rozkosznych zajęć. Nie byłam wcale podobna do prostytutki, która z obojętnością znosi obecność klientów, mając na myśli jedynie zarabianie pieniędzy. Mnie to wszystko cieszyło, dochody natomiast traktowałam jako korzyść uboczną.

Jednak miła była mi myśl o tym, że mogłabym zostać panią domu takiego jak ten, wprawdzie nie tak wielkiego jak mój dom rodzinny, lecz tam przecież i tak nie miałam czego szukać po śmierci ojca.

Moja obecność była tam ze wszech miar niepożądana. Mówiąc wprost, traktowano by mnie tam niczym uprzykrzony włos w zupie, niczym oset wśród róż. O, tak, zostać panią tego domu...

Zastanawiałam się, jaka przyszłość mnie czeka, jeśli bym nie przyjęła propozycji barona i pozwoliła mu odpokutować za swoje grzechy. Pieniądzy mi nie brakowało, lecz gdybym nagle została pozbawiona dobroczyńcy i opiekuna, nie miałabym się dokąd udać.

Żeby przedłużyć czas namysłu, spytałam, dlaczego wybrał akurat mnie.

Jego odpowiedź mnie zaskoczyła.

„Ponieważ również pani sława jest zagrożona, dona Estrella. Po tamtej nieszczęsnej wizycie owego pana z północy zaczął on rozsiewać o pani nieprzyjemne plotki. Ten ślub



uratuje nas oboje, a ponadto... Muszę to pani powiedzieć... Stanowi pani odrębną klasę wśród moich... hm... Mam na myśli to, iż jest pani w posiadaniu wszelkich niezbędnych cnót, jakich wymaga sytuacja. Po prostu nie mogłem wybrać innej”.

Podziękowałam mu, nisko chyląc głowę. A potem powiedziałam, że się zgadzam. Wprowadziłam się jeszcze tego samego dnia.

Ksiądz, który ani razu nie spojrzął mi w oczy, pospiesznie udzielił nam ślubu.

Stało się to miesiąc temu i muszę przyznać, że odnalazłam się w swoim nowym domu. Oczywiście władze strzegące porządku i bezpieczeństwa w mieście zawitały do nas po paru dniach w związku z nieprzyjemną sprawą, która miała miejsce, lecz zapewniłam tych ludzi, że mój mąż cały tamten wieczór i noc, gdy się to stało, spędził ze mną w łóżku.

Nie wiem, czy mi uwierzyli, długo bowiem mi się przyglądali, lecz i ja odwzajemniłam się spojrzeniem tak naiwnym, jakie może mieć najzacniejsza małżonka na świecie.

Czy dzieliliśmy łóżko? Dobrze, że nie wiedzieli, jak jest naprawdę!

Każde z nas trzymało się swojej przeciwległej części domu i prawie się nie widywaliśmy, jedynie w sytuacjach, gdy było to naprawdę niezbędne, lub gdy przychodzili goście, którym należało się pokazać.

Wiodłam przyjemne życie, lecz brakowało w nim napięcia.

Prawdę powiedziawszy, chwilowo nie mam o czym pisać, tak mało się tu dzieje.

## Lierbakkene, wspólnie

- No i cóż - westchnął Antonio, gdy zebrali się na lunch. - Kolejny rozdział nie zawierający nic, co mogłoby nas zainteresować.

- Ale już w następnym coś zacznie się dziać - obiecała Unni.

Pedro podrapał się w kark.

- Zastanawiałem się nad tymi „baśniami”. Pamiętacie chyba ten fragment o dwóch braciach i trzech potomkach, którzy mogli pomóc?

- Oczywiście - zapewnił Jordi.

Pedro siedział ze swoimi papierami w rękach.

- Jak wiecie, oryginalne kartki zostały skradzione z samochodu i złodziej albo złodziejce mogli zyskać dzięki nim sporą przewagę. Lecz również oni musieli przeczytać o braciach i potomkach.

- I zrozumieć, że nie poradzą sobie bez naszej pomocy - kiwnęła głową Gudrun.

- Daleko więc zajść nie mogli - uzupełniła Vesla.

- W ogóle nie mogli zajść donikąd, mając tak niepełne informacje jak te, które podają baśnie - stwierdził Antonio nie bez złośliwej radości w głosie.

Jordi milczał. Wczesnym rankiem złożono mu wizytę.

Opowiedział o niej tylko Unni.

Przodkowie jego i jej, don Ramiro i don Sebastian, zjawili się, gdy wyszedł rano do lśniącego od rosy po nocnym deszczu ogrodu.

Powiedzieli mu, że z zainteresowaniem obserwują ich postępy.

Sprawiali wrażenie dość zadowolonych z tego, co się dzieje.

Don Ramiro z ożywieniem oświadczył myślą, że mają im do przekazania miłą wiadomość.

Don Sebastian posłał mu surowe spojrzenie. Don Ramiro, który zmarł w wieku trzydziestu sześciu lat, zawsze był przez rycerzy uważany za młodzieniaszka, któremu należy troszkę ściągać cugle.

On najprędzej zdradziłby Unni i Jordiemu wszystkie tajemnice.

„Dobrze, poczekamy jeszcze - poprawił się don Ramiro. - Na razie nie nadeszła odpowiednia chwila. Należy bowiem skoncentrować się na cierpieniach Estelli i Jorge”.

Jordi musiał zadowolić się tą odpowiedzią.

Razem z Unni długo zastanawiali się, co też chciał przekazać im rycerz. Jak zwykle starali się trzymać w pewnej odległości od siebie, tak by lodowaty chłód Jordiego nie podziałał na Unni.

Żadne z nich nie potrafiło podzielić przekonań rycerzy o cierpieniach Estelli. Jorge, owszem, ten cierpiał, lecz nie ona.

Po lunchu niechętnie znów zabrali się do jej jakże egoistycznych wynurzeń.

Jednego tylko nie dało się Estelli zarzucić, a mianowicie braku konsekwencji. Ta dziewczyna wyrabiała normę egoizmu w dwustu procentach.

**- Wiesz, jaki los spotyka niegrzeczne dziewczynki?**

**- Wiem, są szczęśliwe i bogate.**

**M. W.**

*Bayonne, w lutym A. D. 1633*

Upłynęło półtora roku, odkąd ostatnim razem zapisałam coś w pamiętniku, a teraz mój pan i mąż jest umierający.

Rozmawiałam z nim wczoraj wieczorem, a rozmowa ta przynosiła kolejne wstrząsy.

Najpierw jednak muszę opowiedzieć o czymś innym, co się wydarzyło, a co wystraszyło mnie doprawdy nie na żarty.

Niedawno miały miejsce aż dwa wydarzenia. Najpierw przyśnił mi się istny koszmar, ta druga sytuacja natomiast była jak najbardziej rzeczywista.

W koszmarze sennym znalazłam się w ciemnej piwnicy, otoczyły mnie jakieś wstrętne, ubrane na czarno postacie. Obrzucały mnie wyzwiskami, których nawet zapisanie mnie brzydzi, i przez cały czas krzyczały: „Dziwka!”, „Ladacznica!”. Było to w najwyższym stopniu obraźliwe, a przede wszystkim nieprawdziwe!

Gdzieś z tyłu dostrzegłam narzędzia tortur i zrozumiałam, że te zjawy najpewniej wywodzą się z czasów inkwizycji. Zrozumiałam jednak również coś innego.

Zawołałam do nich:

„Udajecie, że jesteście mnichami, lecz tak wcale nie jest!

Jesteście najzwyczajszymi łajdakami, którzy wyrządzają ogromną krzywdę zakonowi dominikanów. Owszem, ich reguła jest bardzo surowa, lecz to, co wy robicie, czerpiąc radość z zadawania cierpień w imię niebios, to prawdziwa perwersja”.

Wpadli w istną wściekłość, lecz zarazem tak się przerażili, że wydawszy jeszcze jeden przenikliwy krzyk, zniknęli.

W tej samej chwili obudziłam się, złana ze strachu potem, lecz mogę przysiąc, że dostrzegłam czarny cień, podlatujący do góry i przenikający przez sufit. W uszach wciąż rozbrzmiewał mi ów ostry krzyk, jak gdyby rozlegał się właśnie tam i wcale nie pochodził ze snu.

Potem nastąpiła inna niezwykła rzecz. Mój stryj Jorge wspominał o rycerzach. Ja zaś, wiedzona jakimś niezrozumiałym uporem, starannie odnotowywałam sobie dni moich urodzin. I w zeszłym tygodniu dobrze wiedziałam, że kończę dwadzieścia jeden lat.

Zdarzyło się wówczas coś bardzo dziwnego.

Siedziałam akurat na swoim małym patio, niedużym wewnętrznym dziedzińcu, zamkniętym z czterech stron ścianami, pełnym ozdobnych roślin, z którego drzwi prowadziły do pokoi mieszkalnych. Zajęta byłam haftem, robótką, która wpędza mnie w prawdziwą rozpacz, tak straszliwie jest nudna. Wygląda się jednak przy niej niezwykle dostojnie i elegancko, a ja przecież muszę podtrzymywać pozory.

Nieoczekiwanie pojawił się przede mną rycerz na koniu. Stanął wśród kwiatów. Przeniknął nawet przez krzesło, a jego wierzchowiec nawet nie zwrócił na to uwagi. Poderwałam się z bijącym sercem i już miałam wezwać sługi, lecz w porę zrozumiałam, że o tym właśnie wspominał czasami ojciec i o tym pisał stryj Jorge: o przekleństwie ciążyącym nad rodem.

Spróbowałam się więc uspokoić, choć zrobiło mi się słabo tak, że bliska byłam omdlenia.

Rycerz był stosunkowo młody i dość przystojny, spoglądał jednak surowo. Nic nie powiedział, podał mi jedynie zwinięty pergamin, który przyjąłam z jego rąk bardzo niechętnie.

A potem poczułam, że jego myśli przenikają w moją głowę!

Odniosłam wrażenie, jakby mówił do mnie na głos.

„Moja mała gwiazdeczko (przecież moje imię oznacza gwiazdę), niepokoi się tobą i stylem życia, jaki obrałaś. Jesteś już niemal ostatnia z mego rodu, wydaj na świat dziecko, inaczej ród zakończy się na tobie”.

Przeraziłam się tak, że byłam w stanie wydobyć z siebie tylko kilka idiotycznych dźwięków.

On zaś w myślach mówił dalej:

„Będąc słabą kobietą, nie jesteś w stanie niczego zdziałać sama, ale potrzebujemy twojej pomocy. Uczyni co tylko możesz, masz przed sobą jedynie cztery lata, jeśli nie zdołasz ocalić nas i samej siebie”.

Zniknął, a ja przerażona rozwinęłam pergamin. Przedstawiony na nim został wspianały herb, pośrodku którego umieszczono - zupełnie nie na miejscu - srokę. Dookoła niej widniały jakieś słowa, których dokładnie nie zapamiętałam. Wiem jedynie, że było to coś o miłości. Następnego dnia rano pergamin zniknął i dobrze, że tak się stało, gdyż nic z tego nie mogłam pojąć.

Miałabym wydać dziecko na świat? Nie ma mowy! To tylko kłopot. Przecież wolno chyba myśleć odrobinę o sobie, prawda?

Ani trochę nie spodobało mi się jednak, że rycerz powiedział, iż zostały mi zaledwie cztery lata. Czyżby mimo wszystko prawdą było to, co twierdził stryj Jorge i wszyscy inni, którzy mówili o przekleństwie ciążyącym nad rodem?

Bzdury!

Tymczasem wczoraj znów miało miejsce nadzwyczajne wydarzenie. Baron oznajmił, że pragnie ze mną mówić.

Rozmawialiśmy o wielu rzeczach, lecz przedstawię je tutaj pokrótce.

„Jak wiesz, pani, nie mam żadnych spadkobierców, w ogóle żadnych krewnych. Zapiisałem już wiernym służącym odpowiednie sumy w testamencie, lecz większość mego majątku tak czy owak odziedziczysz ty, dona Estrella”.

Dech zaparło mi w piersiach i musiałam wyglądać na nieźle przerażoną. Absolutnie się tego nie spodziewałam i niezwłocznie też mu o tym powiedziałam. Uwierzył mi, bo wyglądałam, jakbym zaraz miała spaść z krzesła.

Muszę jednak przyznać, że ta wizja wprowadziła mnie również w zachwyt. Rozmawialiśmy trochę o domu i innych posiadłościach, których był właścicielem, a także o pieniądzech, baron zdradził mi, gdzie je trzyma. Musiałam z całej siły nad sobą panować, żeby natychmiast nie pobiec i nie zobaczyć ich na własne oczy. Mówiliśmy też o wszystkich dziełach sztuki, znajdujących się w domu, i prędko się zorientowałam, że chodzi o naprawdę wielkie skarby.

„Co zamierzasz zrobić w przyszłości?” - spytał.

„Zostanę tutaj - odparłam zdecydowanie. - Po śmierci ojca nie mam dokąd wracać”.

Moje słowa zdumiały go.

„Don Sevastino de Navarra nie żyje? Kiedy się to stało?”

Zaczęłam liczyć.

„Ach, od tamtej pory musiało upłynąć... już pięć lat”.

„Ależ nie! - odparł zdumiony. - To się z niczym nie zgadza.

Przecież słyszałem, że zaledwie rok temu jeszcze żył”.

„Co takiego?”

Oniemiałam ze zdumienia.

„Spotkaliśmy się raz, nim popadł w tarapaty. To bardzo dzielny człowiek, chociaż brutalny. Rzeczywiście kilka lat temu wzięto go do niewoli, zrobili to Francuzi, i siedział w więzieniu w Pau, ale przed rokiem został wydany Hiszpanii”.

„To znaczy, że jest wolny? Przebywa w domu?”

„Nie. O ile dobrze wiem, Francja wydała go z uwagi na jakieś wcześniejsze przestępstwo, którego dopuścił się w północnej Hiszpanii. Wdał się w spór z biskupem i zniszczył wnętrze jakiegoś klasztoru, niemal zabijając przy tym wysokiego dostojnika kościelnego, który, rzecz jasna, nie chciał puścić tego płazem. Od tamtej pory nic więcej o nim nie słyszałem, nie wiem nawet, czy żyje, czy też nie”.

„Ale dlaczego wcześniej nic mi o tym nie powiedziałeś?”

„Przecież żyjemy każde w swoim świecie i prawie nigdy ze sobą nie rozmawiamy. Zakładałem, że wszystko wiesz”.

Zapomniałam o gniewie i zamyśliłam się.

Co takiego powiedział rycerz? Że jestem niemal ostatnia z rodu?

„On żyje - oświadczyłam. - Żyje. Lecz nie miewa się dobrze. Albo tkwi gdzieś w jakimś więzieniu, albo też jest ciężko chory. Ty jednak mówiłeś, że się spotkaliście. Kiedy?”

„Podczas mojej podróży w interesach do Hiszpanii. Wtedy, gdy w powrotnej drodze do domu usłyszałem o tobie od El Punala i postanowiłem cię obejrzeć. Don Sevastina spotkałem kilka tygodni wcześniej, spędziliśmy cały wieczór na rozmowie”.

„Co mówił? Tęsknił za mną?”

„Wspomniał o tobie, pani, tylko raz, w związku z jakimś przekleństwem ciążyącym na waszym rodzie. Sporo wówczas wypił i wpadł w zły humor. Musiałem więc być bardzo ostrożny. Wieczorem natomiast rozwiązał mu się język i zaczął opowiadać o swym bracie, który nazywał się... No właśnie, jak?”

„Jorge. Był nowicjuszem w klasztorze, kiedy zmarł”.

„Tak, zgadza się. I ten Jorge miał podobno jakąś tajemnicę, której don Sevastino nie potrafił odkryć”.

„Wiem o tym, ja również słyszałam o tej tajemnicy, lecz nie mam pojęcia, co by to mogło być”.

„Wspominał coś o spadku...”

Mogłam mu w tym miejscu powiedzieć, że cały ten spadek składał się wyłącznie z jednej mnisiej opończy, lecz baron zaczął nagle straszliwie kaszleć i musieliśmy przerwać rozmowę. Wciąż czuje się bardzo źle, akurat teraz jest u niego medyk.

## Lierbakkene, współcześnie

- Ten rozdział urywa się tak nagle - zamyśliła się Vesla. - Lecz dowiedzieliśmy się sporo nowych rzeczy.

- Owszem, to było dość interesujące - przyznał Antonio. - Wcale mnie nie dziwi, że Estella dostała zwój pergaminu w swoje dwudzieste pierwsze urodziny. Ale z nieprawdopodobną wręcz obojętnością potraktowała zarówno pergamin, jak i rycerzy. Trochę tak, jakby nie chciała dostrzec niebezpieczeństwa.

- Niektórzy ludzie już tacy są - stwierdziła Gudrun. - Starają się unikać wszelkich nieprzyjemności, unoszą się jakby na powierzchni życia.

- A co się z nimi dzieje, gdy sytuacja staje się poważna? - dopytywała się Vesla.

- Tracą zdolność głębokiego odczuwania, zdolność współczucia, na którego miejsce pojawia się ssąca pustka. Albo obojętność.

- Estella nigdy nie posiadała zdolności współodczuwania - mruknął Morten.

- To prawda, widać, że tego jej brakuje - zgodził się Pedro z goryczą. - Ale najważniejsze jest to, czego dowiadujemy się tu o don Sevastinie.

- No tak - powiedziała Vesla. - Teraz już wiemy, że on nigdy nie odkrył tajemnicy spadku po Jorge. A to znaczy, że musimy jechać tam i go szukać.

- Zaczekajcie chwilę - ostrzegł Antonio. - Przecież o Sevastinie nic tak naprawdę nie wiemy. Nie wiemy, czy przypadkiem nie znalazł czegoś później. A poza wszystkim ty na pewno nigdzie nie pojedziesz.

- Owszem, jeśli wyjedziemy teraz, to mogę.

- Teraz za to ja nie mogę. I zbyt daleko się nie posunęliśmy.

- Na razie o tym nie rozmawiajmy - poprosił Jordi. - Uporajmy się przynajmniej z tymi eskapadami Estelli. Dopiero potem będziemy mogli przystąpić do dalszych działań.

Gudrun zastanawiało coś innego.

- Nie mogę pojąć, dlaczego ona nigdy nie zadała sobie pytania, z jakiego powodu baron stał się tym, kim był? Dlaczego wiódł tak dziwaczne życie i miał taki wypaczony pogląd na kobiety?

- Chyba w owym czasie nie wynaleziono jeszcze psychologii seksualnej - uśmiechnął się Antonio.



- W ogóle trudno mówić o jakiegokolwiek psychologii w tamtych czasach. Współczesny seksuolog niejednego by się pewnie dopatrzył. No, ale zabierajcie papiery. Idziemy czytać dalej!

Szczęśliwie zostało już niewiele rozdziałów!

**Wszyscy mężczyźni, których spotykam, pragną mnie chronić. Nie mam pojęcia, przed czym.**

**M. W.**

*Donostia/San Sebastian, sierpień, A. D. 1633*

Ach, takie długie skoki w tych moich zapiskach!

Baron zmarł jakiś czas później, a ja nie miałam już więcej okazji z nim porozmawiać.

Sytuacja bardzo się zmieniła od chwili, gdy oświadczyłam, że pragnę tam zamieszkać.

Teraz już tego nie chciałam. Pragnęłam zobaczyć się z ojcem.

Jeśli znalazł się w kłopotach, to musiałam coś dla niego zrobić, gdyż tylko on mógł pomóc mi odzyskać rodzinny dom, Castillo de Ramiro.

Ciekawa jestem, kim był ten Ramiro. Jakiś rycerz, który popełnił mnóstwo głupstw, za które ród musi teraz płacić.

Czy możliwe, że właśnie on odwiedził mnie wtedy na patio?

Tak, tak właśnie być musiało. Że też wcześniej o tym nie pomyślałam! Mogłam go przecież poprosić, żeby oczyścił mój zamek z tych na wpół opętanych bab, żebym znów mogła tam zamieszkać. Zamek wszak nosi jego imię, tak więc byłoby to również w jego interesie.

Podziału spadku dokonał szybko i sprawnie jeden z przyjaciół barona. Poinformowałam go, że pragnę wyjechać, i poprosiłam o to, aby czterej wierni służący mego męża mogli zamieszkać w tym domu, dopóki nie podejmę decyzji, czy będę chciała tu wrócić, czy też raczej przejąć zamek mego ojca w Nawarrze, a wtedy zdecyduję ewentualnie, co zrobić z tym domem.

Chciałam zatrzymać go w zanadrzu, na wypadek gdyby starego haremu ojca nie udało się tak łatwo usunąć.

Moja propozycja została zaakceptowana, słudzy ciepło mi dziękowali. Nie bardzo rozumiem dlaczego, przecież po prostu chciałam, żeby ktoś przypilnował domu.

Baron wcześniej prosił, abym zajęła się jego „pracownikami”, mieszkającymi w mieście, i zatroszczyła się o ich przyszły los.

Postanowiłam jednak, że tego nie zrobię. Jeśli zarabiałby tyle co ja, to byłyby teraz bogate i same mogły się sobą zająć. Coś jednak mi podpowiadało, że to mnie przypadali najbogatsi i najlepsi goście. W każdym razie nie miałam ochoty poznawać tych anonimowych kobiet,

mogły wszak się tu zjawić i oskarżyć mnie Bóg wie o co albo jeszcze zażądać, żebym podzieliła się z nimi wszelkimi dobrami.

Doprawdy, to by było już za wiele!

Przyjaciół barona doradził mi wyruszyć do Hiszpanii drogą morską. Za kilka dni miał wypłynąć statek do San Sebastian, położonego w kraju Basków, a on znał miejsce, gdzie mogłabym się zatrzymać, dopóki nie nadarzy się okazja bezpiecznej podróży do mego domu w Nawarrze. Człowiek ten znał również kapitana, który obiecał, że zapewni mi ochronę podczas podróży.

Byłam mu za to wdzięczna, zamierzałam wszak zabrać ze sobą wcale niemały majątek, a moje suknie i inne wyposażenie składały się na bagaż liczący kilka wielkich kufrów.

Wykonawca testamentu sam chętnie towarzyszyłby mi w tej drodze, by mnie chronić, lecz nie pozwalały mu na to obowiązki.

Jeden z dawnych służących również zaoferował się, że będzie mnie eskortował, ponieważ jednak z powrotem do Bayonne jeszcze długo miał nie odpłynąć żaden statek, a ja sama byłam w stanie się sobą zająć, uprzejmie odmówiłam.

Podróż morską była naprawdę cudowna. Jakież to poczucie wolności, gdy twarz owiewają wiatry hulające po Zatoce Biskajskiej i można rozmawiać z innymi pasażerami. Przez długi czas wszak cierpiałam na brak męskiego towarzystwa, teraz więc, gdy siedziałam przy stoliku kapitana, lekko ocierałam się o poduszkę krzesła, zajęta rozmową z przystojnym majorem - w Europie toczyła się wielka wojna, a on został ranny i wracał do domu - oraz z pewnym młodym chłopcem, który z pewnością nigdy nie spoczął między udami kobiety, sądząc po tym, jak się czerwienił i jak spuszczał wzrok. No i oczywiście był jeszcze kapitan, surowy wilk morski o ogorzałej cerze, pełen godności, która ogromnie mnie pociągała.

Podróż nie trwała wcale długo, lecz ja mimo to wiele zdołałam skorzystać. Młody chłopak musiał czekać najdłużej, no bo mógł przecież okazać się niedyskretny i donieść komu nie potrzeba.

Siedzieliśmy z majorem w tak zwanym saloniku na statku, zajęci rozmową, wszyscy inni już sobie poszli, a teraz wstałam i ja, on zaś natychmiast się zaoferował, że odprowadzi mnie do mojej kajuty.

Wiedziałam, że musi to nastąpić, i łaskawie się zgodziłam. Pod moimi drzwiami staliśmy jeszcze, beztrąsko gawędząc, aż w końcu uznałam, że mogę zaprosić go do środka na kieliszek wina.

Oczywiście w końcu znaleźliśmy się w łóżku, bardzo dyskretnie zatroszczyłam się, żeby do tego doszło. Znam się przecież na sztuce konwersacji i sekretnych manewrów.

Major został ranny w nogę i jedno kolano miał sztywne.

Stanowiło to pewne utrudnienie, lecz spędziliśmy razem miłe chwile. Naprawdę cudowne, po blisko dwu latach życia jak mniszka w domu barona. Przygoda jednak prędko się skończyła, gdyż major po latach spędzonych na wojnie wykazywał zbyt duży zapal.

Potem prosił o wybaczenie za zbytnią natarczywość wobec młodej wdowy.

Posiadanie tytułu wdowy nie było wcale takie głupie. Miałam zaledwie dwadzieścia jeden lat i właściwie powinnam być dziewicą, trudno jednak wymagać tego od wdowy. Tytuł więc pozwalał mi krążyć po rozmaitych łóżkach bez obaw narażania się na nieprzyjemne zarzuty.

Po wyjściu majora miałam kłopoty z odzyskaniem spokoju. Wciąż odczuwałam niedosyt. Poczucie nowej swobody poprawiło mi humor, ubrałam się i wyszłam na pokład. Zatoka Biskajska była tej nocy spokojna, świecił księżyc i nastrój panował romantyczny.

Upewniwszy się, że major zamknął się w swojej kajucie i poszedł spać, postanowiłam pójść na mostek. Wiedziałam, że tej nocy wachtę pełni sam kapitan. Sternik był nudnym starcem, z którym nie chciałam mieć nic do czynienia.

Stałam, udając zamyśloną, przy relingu, ze świadomością, że doskonale się prezentuję, niby to marząc w blasku księżyca. Kapitan unieruchomił ster i podszedł ze mną porozmawiać.

Kochaliśmy się oparci o ścianę, a nasze uściski były gorące, mocne i namiętne. Dawno już nie zaznałam takiej miłości, bo większość moich gości to wydelikaceni i bardzo uważający kochankowie.

Później kapitan oczywiście nie posiadał się z żalu i nie mógł się uporać z wyrzutami sumienia, ponieważ to on miał się przecież opiekować mną podczas tej podróży, a tymczasem tak mnie zhańbił. Ja tylko pogłaskałam go po policzku, szepcząc do ucha, że życie wdowy upływa niekiedy w wielkiej samotności. Dzięki temu odzyskał spokój.

Następnego - ostatniego już - wieczoru na pokładzie oświadczyłam przy stole w trakcie obiadu, że pragnę położyć się wcześniej, gdyż nazajutrz mieliśmy zejść na ląd o zupełnie niechrześcijańskiej porze. Zawczasu jednak umówiłam się z owym młodzieńcem, by po obiedzie przyszedł do mojej kajuty nauczyć mnie grać w karty. Prosiłam, żeby zrobił to w największej tajemnicy, nie chciałam bowiem szargać swojej opinii, byłam wszak dostojną i bardzo szacowną damą.

Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby ktoś tak pocił się przy stole jak on.

Chłopiec przyszedł, a właściwie wemknął się do środka, a oczy z podniecenia omal nie wychodziły mu z głowy.

Przebrałam się w cieniutki przezroczysty negliż i usiadłam na kanapce, gotowa zgłębiać tajniki karcianych gier. Białą rączką przesuwałam tam i z powrotem po czerwonym aksamicie sofki, powoli i jakby w roztargnieniu.

Wielkie nieba, jaki on był rozpalony! Jąkał się i zacinał, zerkając na mój głęboko wycięty dekolt, aż w końcu zabrałam mu karty, ujęłam go za rękę i położyłam ją na swojej piersi. Zrobiłam to bez słowa, śląc jedynie zachęcające spojrzenie. „Spójrz, jaka jestem rozpalona. Czyżbym miała gorączkę?”

Do diabła, niczego więcej nie było mu już potrzeba! Nie umiał się powstrzymać i mało nie umarł przy tym ze wstydu.

O, nie, pomyślałam, aż tak mnie nie oszukasz!

„Nic nie szkodzi” - powiedziałam matczynym tonem i przyniosłam chusteczkę, żeby go wytrzeć. Gdy to robiłam, lekko masowałam go przez spodnie, pozwalając jego rękom wsunąć się pod mój negliż.

Udałam, że w ogóle tego nie zauważyłam.

Był młodym człowiekiem i wkrótce odzyskał pełnię formy, lecz wielu rzeczy musiałam go jeszcze nauczyć, był bowiem niesłuchanie niezręczny.

Niewiele mi z tego przyszło, wyłączwszy przyjemność wprowadzania prawdziwego nowicjusza w tajniki rozkoszy. Gdy jednak po wszystkim, bliski utraty przytomności, chciał zostać w moim łóżku, życzliwie, lecz zdecydowanie się temu sprzeciwiłam.

Powtarzając przyrzeczenie, że nikomu nic nie zdradzi, odszedł, a ja mogłam wreszcie zakończyć sama to, co on tak niezgrabnie rozpoczął.

Dobrze spałam tej nocy. Naprawdę świetnie wykorzystałam tę morską podróż.

Nikt w grupie nie miał żadnych komentarzy, od razu więc przystąpiono do lektury kolejnego rozdziału. Wszyscy czuli już obrzydzenie na myśl o wstrętnej Estelli i chcieli jak najprędzej mieć za sobą wszystkie jej zapiski.

**Mówi się, że wiosna to czas miłości. A co złego jest w innych porach roku?**

**M. W.**

***Zatoka Biskajska, sierpień, A. D. 1633***

Miały miejsce naprawdę wielkie wydarzenia!

W San Sebastian znalazłam rzeczywiście wygodny pokój, pomiędzy kościołem San Vicente a Monte Urgull, ową tajemniczą górą, która wyrasta niemal wprost z morza. Moje bogactwa wniesiono do środka, a pod drzwiami stanął strażnik.

Zastanawiałam się, czy go nie uwieść, doszłam jednak do wniosku, że nie warto się trudzić. To nieciekawyy typ.

Rozpytując o wygodny i bezpieczny transport do domu, do Castillo de Ramiro, krążyłam po tym rybackim raj. Łodzie długim szeregiem leżały wyciągnięte wzdłuż brzegu rzeki, całe miasto czuć było rybami.

Usłyszałam ciężkie bicie kościelnych dzwonów, które przyciągnęło mnie do siebie. Wkrótce doszłam do jakiegoś placu i tam, w podcieniach domu, znieruchomiałam, przerażona i jednocześnie zaciekawiona.

Plac podzielono na zagrody. Przed kościołem wznosiło się podium, na którym ustawiono wspaniałe krzesło. Mnóstwo tu też było ubranych w czerń i biel mnichów z zakonu dominikanów i żołnierzy. Dostrzegłam także wiele krucyfiksów. Wnoszono wielkie obrazy, a pośrodku kłębiła się gromada zrozpaczonych ludzi, pozamykanych w tych zagrodach. Pilnowali ich żołnierze na koniach.

Trybunał inkwizycji.

Pewna życzliwa dama poinformowała mnie, że w największej zagrodzie umieszczono heretyków, którzy się nawrócili, i dlatego mogą liczyć na łaskę Kościoła. Wnoszone obrazy przedstawiały skazanych na śmierć poprzez spalenie na stosie, lecz umierających lub już zmarłych w więzieniu; wyrok miał zostać wykonany na ich wizerunku, in effigie. W najmniejszej zagrodzie niewielu było ludzi.

Tkwili tam bluźniercy, którzy nie zgodzili się nawrócić, i teraz mieli spłonąć żywcem.

Byłam zafascynowana tym widokiem. Nigdy wcześniej nie widziałam czegoś podobnego. Cały przepych, a także myśl o stosie, który miał wkrótce zapłonąć, niezwykle mnie ekscytował.

Dominikanie i żołnierze na koniach byli niezwykle przystojni. Ach, jakież to emocjonujące!

Mój wzrok przyciągali, rzecz jasna, głównie ci zatwardziali grzesznicy, którzy nie chcieli stać się wyznawcami prawdziwej wiary. Ich postawa była mi całkowicie obca. Postanowiłam, że muszę zobaczyć stos, który miał zapłonąć już wkrótce.

Nagle rumieniec wystąpił mi na twarz, a serce zabiło tak mocno, że aż poczułam ból.

Wśród skazanych rozpoznałam jedną twarz.

El Fuego!

Ach, nie, to się nie może stać! Wszak to jedyny mężczyzna, w którym kiedykolwiek byłam zakochana. Poczułam teraz, że uczucia, jakie żywiłam do niego, nigdy nie wygasły. Przeciwnie, zapłonęły jeszcze mocniej. W ogniu stanęło zarówno moje ciało, jak i dusza.

Jęknęłam cicho.

On oczywiście bardzo się zmienił, zarówno z powodu upływu tych pięciu lat, jak i pod wpływem cierpienia, którego teraz doświadczał.

Włosy i broda mu urosły, ubranie miał w strzępach i niemal czarne od brudu, a stopy bose. Wciąż jednak wyglądał cudownie.

Musiałam go ocalić!

Ale w jaki sposób? Jak mogłam powstrzymać bieg wydarzeń, nieubłagane toczących się naprzód? Jak przeciwstawić się temu zgromadzeniu? Do kogo mogłam się zwrócić? Co powiedzieć?

Serce waliło mi jak oszalałe.

Nagle spostrzegłam, iż na znak dany przez Wielkiego Inkwizytora, na placu nastąpiło poruszenie. Nie miałam czasu do namysłu, musiałam działać natychmiast.

Oczywiście nie mogłam ocalić go osobiście, przynajmniej na to stwierdzenie starczyło mi rozumu. Do Wielkiego Inkwizytora nie miałam śmiałości się zbliżyć, wyglądał bardzo groźnie, jak gdyby wyznaczył samego siebie do roli sędziego w dniu Sądu Ostatecznego. Ten człowiek nie znał słowa „litość”, a jego żołnierze byli z pewnością zahartowani.

Może więc ten, który przewodził dominikanom?

O, tak, to właściwa osoba!

A oto i on. Wiedziałam o tych mnichach, że są to ludzie, którzy posiadają wielką wiedzę i ogromnie cenią sobie mądrość zawartą w księgach, i że to nie oni torturują i uśmiercają heretyków, lecz zajmują się tym ich kaci. Po stroju poznałam, kto im przewodzi.

Widać było, że to władczy, lecz również obdarzony silną wiarą mężczyzna. Podbiegłam do niego, a muszę dodać, że byłam ubrana w ładny, ale bardzo przyzwoity i kosztowny letni strój.

Popatrzył na mnie ze zdumieniem. Przyglądali mi się teraz wszyscy dominkanie.

Skłoniłam się głęboko.

„Wasza dostojność - zaczęłam. Był to stanowczo zbyt szacowny tytuł, lecz on mnie nie poprawił, nawet się nie skrzywił. - Jestem baronowa de Vinni y Navarra. Wśród skazańców dostrzegłam swego brata, który wstąpił na złą drogę. Tak dawno go nie widzieliśmy, popadł w niewłaściwe towarzystwo. Czy wolno mi będzie z nim pomówić? Ufam, że potrafię go nawrócić na prawdziwą wiarę!”

Zachowywałam się niezwykle dostojnie, jak przystoi arystokratce, miałam bowiem świadomość, że samotna kobieta nie może liczyć na zbyt wiele szacunku. Sądzę, że ów dominikanin nie bardzo wiedział, jak ma mnie traktować. Nazwisko „Navarra” brzmiało jednak naprawdę imponująco. Mnich popatrzył na zagrodę skazanych.

„Jak on się nazywa?”

Święta Madonno, jak on się nazywa? Myśli gnały mi przez głowę.

Słyszałam raz, jak ktoś wymienił jego prawdziwe imię, lecz jakie?

Mózg jednak posiada, doprawdy, niezwykle właściwości.

„Luis - powiedziałam tak prędko, że pauza była prawie niezauważalna. - Słyszałam jednak, że nazywają go El Fuego”.

Po cóż o tym wspomniałam? Wszak to było zupełnie niepotrzebne.

„On? - spytał dominikanin, krzywiąc się z niesmakiem. - Przecież to pogański dzikus z gór!”

„Mówiłam już, że wpadł w złe towarzystwo jeszcze jako dwunastoletni chłopiec. Można go jednak ocalić w prawdziwej wierze, jeśli tylko będę miała możliwość przez chwilę z nim porozmawiać. Jeśli mój brat się nawróci i ocali życie, przekażę dar waszemu zakonowi”.

Wymieniłam ogromną sumę.

Mnich wciąż się wahał.

Czym prędzej więc zapytałam, czy nie szlachetniej jest uratować zbłąkaną duszę dla niebios, aniżeli skazywać ją na zatracenie.

Z pewnością moje słowa nie spodobałyby się wykonawcom rozkazów mnichów, lecz tych na szczęście w pobliżu nie było widać.

Wreszcie moje błagania odniosły skutek. Dominikanin skinieniem ręki wezwał do siebie kilku pieszych żołnierzy wraz z jakimś zakonnikiem i wyjaśnił im całą sprawę. Podprowadzili mnie do zagrody.

Gdy już się do niej zbliżyliśmy, El Fuego dostrzegł mnie i oczy szeroko mu się otwały ze zdumienia.

„Luis! - zawołałam. - Ach, ukochany bracie, tyle upłynęło lat!”



Jeden z żołnierzy mnie przytrzymał. Posłałam mu jednak mrożące spojrzenie i czym prędzej puścił moją rękę.

El Fuego podszedł do zamknięcia. Był tak zdumiony moim widokiem, że nie potrafił wydobyć z siebie ani słowa.

Zaczęłam mówić szybko i cicho, tak żeby nikt inny nie mógł nas usłyszeć.

„Powiedz, że odstępujesz od swej wiary. Nawróć się!”

El Fuego dumnie potrząsnął głową.

„Nikt nie będzie mi mówił, w co powinienem wierzyć!”

„Zrób, co mówię, szkoda czasu na zabawy! Szybko!”

„A to dlaczego? I tak nie mam po co żyć!”

„Teraz będziesz miał... Jeśli tylko zechcesz”.

Nie odpowiedział. Jedyne patrzył na mnie płonącymi, śmiertelnie zmęczonymi oczyma.

„Uwierz albo giń - szepnęłam. - Czy to takie trudne? Przecież później będziesz mógł wierzyć, w co tylko zechcesz. Jesteś moim bratem, nazywasz się don Luis de Navarra y Rioja y Euskadi, i musisz pomóc mi odnaleźć naszego ojca. To ostatnie zresztą jest prawdą, ojciec mój zniknął, prawdopodobnie został uwięziony”.

„Wiem o tym” - odparł ku memu bezbrzeżnemu zdumieniu.

Towarzyszący mi strażnicy zaczęli okazywać zniecierpliwienie.

Podeszli tuż do nas.

A wtedy El Fuego kiwnął głową i wyciągnął ręce do zakonnika.

Padł na kolana.

„Moja siostra mnie przekonała. Korzę się przed Bogiem, tak jak czyniłem, będąc dzieckiem. Zbłądziłem”.

Nie do końca było wiadomo, co miał na myśli, wypowiadając ostatnie słowa, lecz mnich na szczęście odczytał je na swój sposób.

Wśród pozostałych skazanych na śmierć rozległ się pomruk złości i rozczarowania, lecz El Fuego wypuszczono na zewnątrz. Znów ukląkł, ucałował skraj szaty mnicha i wręcz się rozplakał.

Bardzo mnie to zdziwiło. Czyżby rzeczywiście mówił prawdę?

Na przeciwległym krańcu placu trwała jakaś niepokojąca ceremonia. Luis podniósł się, a ja ujęłam go za rękę, dziękując mnichowi i sławiąc Pana i Najświętszą Dziewicę. Tłum odprowadzał nas wzrokiem, ludzie gapili się, gdy znikaliśmy w chłodnych cieniach bocznej ulicy.

„Musimy natychmiast opuścić miasto - oświadczył El Fuego, który ledwie szedł. - Jest tutaj El Punal. To on mnie wydał”.

Szybko postarałam się wytłumaczyć mu, gdzie mieszkam, i czym prędzej tam ruszyliśmy. Strażnik pilnujący drzwi wpuścił nas, lecz najpierw musiałam mu wyjaśnić, że oto odnalazłam zaginionego brata, którego szukałam od wielu lat. Gdy tylko zdoła się nieco uporządzić, strażnik na pewno dostrzeże istniejące między nami podobieństwo.

Bo ono rzeczywiście istniało, jeżeli ktoś przyjrzał nam się, wykazując odrobinę dobrej woli.

El Fuego zapatrzył się na wszystkie duże i małe kufry w pokoju.

„To twój bagaż? - spytał bez tchu. - Wszystko to twoje?”

„Oczywiście!”

W czasie gdy zajmowałam się wyszukiwaniem dla niego najlepszych koszul barona, które postanowiłam zabrać ze sobą, gdyż były niezwykle kosztowne, pokrótce opowiedziałam mu o swoim życiu w Bayonne. Nie wspomniałam, rzecz jasna, o prywatnym eleganckim mieszkanku, to uznałam za najzupełniej zbędne.

„On się z tobą ożenił?”

„Owszem, gdy tylko dotarliśmy do Bayonne. Byłam jego żoną przez pięć lat, aż do dnia, w którym umarł i pozostawił mi cały majątek. Jestem teraz bardzo bogatą kobietą, Luis”.

„Ale... El Punal zadręczał mnie, mówiąc, że baron pragnie tylko dziewic, które później trafiają do rynsztoka?”

„Doprawdy? Rzeczywiście, baron przyszedł do mego łóżka tylko jeden jedyny raz, pierwszej nocy. Potrzebował jednak żony dla kamuflażu i zostałam nią właśnie ja”.

Wielkie nieba, z jaką łatwością przychodziły mi kłamstwa!

Poinformowałam służbę, że mój brat ma się umyć, ostrzyć i ogolić, a w czasie, gdy czekaliśmy na ciepłą wodę, spytałam:

„Pojedziesz razem ze mną do Castillo de Ramiro? Muszę się dowiedzieć, gdzie przebywa mój ojciec”.

„Z całą pewnością tam go nie ma. Siedzi w więzieniu w Kantabrii.

W Santillana del Mar”.

Obróciłam się ku niemu przerażona.

„Czyż nie to właśnie miasto upatrzyła sobie wielka inkwizycja?”

„Owszem, i dlatego trzeba się spieszyć. Królewscy ulubieńcy pragną się pozbyć kłopotliwego rywala. Don Sevastino może w każdej chwili trafić na tortury i nic nie pomoże mu fakt, że jest dobrym katolikiem. Ci okrutnicy cieszą się, gdy mogą złamać szlachcica”.

„Wobec tego pojedę najpierw tam. Santillana del Mar musi leżeć gdzieś nad morzem, wskazuje na to nazwa. Popłyniemy statkiem”.

Nie zaprotestował przeciwko temu, że powiedziałam „my”.

„To dobrze, źle jechać gościńcem, jest kręty i niebezpieczny.

Potem jednak musimy pospieszyć do Castillo de Ramiro. El Punal zszedł na niziny dlatego, że słyszał, iż tam, przy zamku, znajduje się klucz do prastarego skarbu. Oczywiście nie chodzi o prawdziwy klucz, lecz o wskazówkę. Zamierza stąd wyruszyć prosto do zamku twego ojca”.

„Wobec tego należy się spieszyć. To nie będzie łatwe. Nie wiesz, czy moja macocha, Mama, została sama na zamku?”

„O tym nic mi nie wiadomo. Podobno są tam teraz wyłącznie kobiety”.

Zabrano El Fuego na mycie i przebranie, ja w tym czasie rozpoczęłam szykowanie wszystkiego do podróży. Gospodarz obiecał, że przechowa moje dobra i złoto w zamkniętej na klucz piwnicy, nie musiałam więc wlec ze sobą całego bagażu do Santillana del Mar. Postanowiłam, że zajedziemy tu w powrotnej drodze i zabierzemy rzeczy. Oczywiście sownie wynagrodziłam mu kłopot.

Posłano człowieka do portu. Wkrótce przyniósł wiadomość, że jeszcze tego samego wieczoru odpływa statek, kierujący się wzdłuż wybrzeża na zachód. Doskonale!

Ręce mi się trzęsły, gdy pakowałam wszystko to, co, jak przypuszczałam, może się nam przydać w podróży. Jeszcze nigdy nie byłam tak spięta, tak po dziewczęcemu niepewna, bo przecież wtedy, w górskiej wiosce, El Fuego nie okazywał mi żadnego zainteresowania. Przeciwnie, gdy w ogóle z rzadka mnie zauważał, odnosił się do mnie z pogardą.

Wiedziałałam jednak, że chronił mnie przed innymi mężczyznami.

Podobnie zresztą jak Consuelę i Rositę, ponieważ wszystkie byłyśmy takie młode.

Zastygłam. Consuela i Rosita... W sercu zakłuło mnie od nieznanego smutku. Zresztą nie umiałam nazwać tego uczucia.

Z wielkim zdecydowaniem wróciłam do pakowania. Wkrótce też przyszedł El Fuego.

Na jego widok dech zaparło mi w piersiach.

„Wyglądasz tak wspaniale, jak wówczas, gdy zobaczyłam cię pierwszy raz”.

Nie miał na sobie kamizelki ani kurtki, a jedynie białą koszulę z szerokim, wykończonym koronką kołnierzem. Wąskie spodnie barona były odrobinę zbyt obcisłe dla

jego muskularnych nóg, lecz wsunął nogawki w wysokie buty, a fakt, iż w innych miejscach podkreślały wypukłości ciała, cóż, widok ten nie sprawiał mi przykrości. Przeciwnie!

Długo mi się przyglądał.

„A ty jesteś jeszcze piękniejsza niż ostatnio”.

„Dziękuję” - dygnęłam i, prawdę mówiąc, odczulałam lekkie zakłopotanie. Ja!

„Oszukali mnie - rzekł z goryczą. - Wywabili mnie z wioski, kiedy El Punal przyprowadził barona. Widziałem, jak odjeżdżacie, lecz całą prawdę poznałem później. Dowiedziałem się, że cię zabrali”.

„Mnie także okłamano - odparłam. - Powiedziano mi, że mam się zająć dziećmi barona, a tymczasem...”

Dosyć, żadnych niedyskrecji!

„Ale ty przecież nigdy się do mnie nie odzywałeś”.

„Usiłowałem cię oszczędzać. Chciałem cię mieć tylko dla siebie, nie zrozumiałaś tego?”

„A w tym czasie chodziłeś na siano ze wszystkimi innymi”.

Spokojnie, Estello, pouczałam się w duchu. Przecież sama nie jesteś ani na jotę lepsza!

Już byłam w jego ramionach. Poczułam, że kogoś kocham, po raz pierwszy w swoim grzesznym życiu. Odpowiadałam na jego pocałunki z całym żarem, jaki tylko mogłam mu ofiarować.

Ach, jakież to było cudowne!

W końcu El Fuego mi się wyrwał.

„Musimy pospieszyć do portu!”

Pomyślałam o strażniku pod drzwiami i stwierdziłam, że w istocie lepiej będzie rozejrzeć się za bardziej odosobnionym miejscem.

Wszak Luis i ja mieliśmy uchodzić za rodzeństwo!

Uradowani i szczęśliwi zdołaliśmy wymknąć się niezauważenie.

Mogła się rozpocząć kolejna morska podróż. Teraz jednak miała ona wyglądać zupełnie inaczej.

Byłam przecież na zabój zakochana.

## Lierbakkene, wspólnie

- No, to uzyskaliśmy pewną informację - stwierdził Pedro.

- Gdzie? Ja niczego nie zauważyłem - poskarżył się Morten.

- Informacja jest drobna, lecz może okazać się bardzo istotna.

- Zdradźcie nam ją wreszcie! - poprosiła zgnębiona Unni.

- El Fuego mówi o swoim stryju, El Punalu, który słyszał, że klucz do skarbu, bezustannie pojawiający się w tej historii, więc że ten klucz czy też wskazówka, znajduje się „przy zamku”.

- No i co z tego?

- Nie „w” zamku, nie „na” zamku, tylko „przy”. Czy nie jest to dość dziwne sformułowanie?

- Owszem - przyznał Jordi. - A ponieważ zaczynamy już rozumieć, że nasza zagadka i ten przeklęty skarb jakoś się łączą, to znaczy, że powinniśmy wyprawić się do Castillo de Ramiro. I należy zrobić to już teraz.

- Daj spokój, Jordi! - poprosił Pedro. - Przecież wiesz, że Antonio powinien jechać z nami. Musicie być razem, dwaj bracia.

- Owszem, wiem. Ale poszukiwanie spadku, pozostawionego przez nowicjusza Jorge, można załatwić wcześniej. Pozwólcie mnie i Unni pojechać, na pewno poradzimy sobie z tym szczegółem. Potem wrócimy do domu i wyjedziemy znów wszyscy razem. - Ugryzł się w język. - To znaczy, prawie... wszyscy.

Zapadła pełna niepewności cisza.

- Czy Hiszpania to kraj trzeciego świata? - przerwał ją w końcu Morten. - Taki, że koniecznie trzeba zabierać ze sobą pastę do zębów?

- Hiszpania? - wykrzyknęli jedno przez drugie. - Równie dobrze możesz krajem trzeciego świata nazwać Norwegię! - odparła Vesla.

- Byłam kiedyś w prawdziwych krajach trzeciego świata - powiedziała zamyślona Gudrun. - I widziałam, z jakim szacunkiem w niektórych miejscach traktuje się starszych. W innych natomiast klepią straszną biedę, uważani są za kompletnie bezwartościowych.

- Czy Norwegia wobec tego nie może czegoś zrobić dla starszych ludzi w takich krajach? - zaproponował Morten. - Załatwić im jakieś emerytury? Przecież w niektórych krajach nie wiedzą nawet, co to znaczy.

- A jak ci się wydaje, jaki los wtedy spotka tych starców? - cierpko spytała Gudrun. - Obrabują ich członkowie rodziny albo inni młodzi ludzie. Pozabijają dla tych pieniędzy. Nie, nie, władze tych krajów same muszą się uporać z tym problemem. Nasza pomoc na siłę mogłaby tylko pogorszyć sytuację, jak dzieje się na przykład wtedy, gdy ofiarujemy im wielkie wspaniałe trawlerzy, które niszczą podstawy utrzymania drobnych przybrzeżnych rybaków.

- Czy nie za bardzo oddaliliśmy się teraz od tematu? - spytał łagodnie Pedro. - Przekonajmy się wreszcie, czy Estella odnajdzie swego ojca.

Vesla, romantyczka, zauważyła jeszcze:

- Mnie w każdym razie podoba się, że dane jej było przeżyć choć trochę miłości.

**Rozum to szczęście dla zakochanej dziewczyny, dostatecznie mądrej, by go ukryć.**  
**M. W.**

*Zatoka Biskajska, sierpień, A. D. 1633*

Również tutaj, na tym ze wszech miar prostym i brudnym statku, nie możemy być razem. Załoga uważa nas za rodzeństwo, musimy więc zachowywać się tak, jak byśmy rzeczywiście byli bratem i siostrą, chociaż naprawdę nie możemy się już siebie doczekać.

Wiele jednak ze sobą rozmawiamy. Luis opowiada mi o chłodnych zimach w górskiej wiosce, o chorobach, śmierci i nieustającej walce z El Punalem. Consuela wyszła już za mąż, Rosita ma narzeczonego.

Cieszę się w ich imieniu. Luis nie wspomniał, czy z nimi spał, a ja nie chciałam o to pytać. Sama opowiadam mu o życiu w Bayonne.

Oczywiście maluję je nudniejszym, niż było w rzeczywistości.

Układamy również plany na przyszłość, ale Luis wszędzie wtyka politykę, która mnie z kolei nic a nic nie obchodzi. Patrzę tylko na niego z podziwem, gdy mówi o wojnie trwającej już od piętnastu lat gdzieś w jakimś miejscu w Europie, o królach, usuniętych z tronu, o roli, jaką odegrała w tym wszystkim Hiszpania, i o innych sprawach, które nie mają z nami absolutnie żadnego związku. Trzeba oddać mężczyznom honor, że posiadają większą wiedzę. Tę prawdę muszę przyjąć, choć to ja powinnam więcej niż on wiedzieć na temat owej wojny. Przecież mieszkałam we Francji, która jest w nią o wiele bardziej zaangażowana. Mnie jednak takie sprawy najzwyczajniej nudzą.

Ogromnie trudno jest wstrzymać się z okazywaniem swojej miłości i ukrywać ją. Bardzo uważamy, żeby nikt nie spostrzegł namiętności bijącej nam z oczu.

Na szczęście statek w drodze na zachód zawinął do portu rybackiego, którego nazwy nie zapamiętałam, i miał tam cumować do wieczora, daliśmy więc znać, że chcemy się trochę rozejrzeć po miasteczku.

Niestety, rybacki port okazał się zbyt mały, abyśmy mogli się w nim ukryć, opanowani gorączką poszliśmy więc dalej, wspięliśmy się wysoko na pokryte lasem wzgórze, aż wreszcie znaleźliśmy najzupełniej bezpieczną dolinę pośród skał i porośniętych drzewami zboczy.

Tam się kochaliśmy, jeszcze zanim zrzuciliśmy z siebie najkonieczniejsze części ubrania, resztę wprost nawzajem z siebie zdarliśmy, a w naszym akcie miłosnym, na który czekaliśmy aż tyle lat, była dzikość.

Później leżeliśmy blisko siebie, szepcząc miłosne słowa, którym towarzyszyły miękkie pieszczoty i czułe pocałunki.

Myślę, że to były najszcześniejsze chwile mego życia.

Przynajmniej tego dotychczasowego.

Teraz znów jesteśmy na statku i zbliżamy się do Santander. Po jego drugiej stronie leży Santillana del Mar.

### ***Santillana del Mar, sierpień, A. D. 1633***

Zeszliśmy na ląd w Santander. Zastanawiałam się, w jaki sposób wyruszymy w dalszą drogę, tymczasem Luis spytał, czy umiem jeździć konno.

„Oczywiście - odpowiedziałam. - Lecz gdzie zdobędziemy damskie siodło?”

„Damskie siodło? - prychnął Luis. - Będziesz musiała siedzieć na zwyczajnym. Tak zresztą dotrzemy na miejsce o wiele szybciej”.

Już miałam powiedzieć, że to nie przystoi, doszłam jednak do wniosku, że lepiej będzie to przemilczeć. El Fuego nigdy nie lubił tych moich wielkopańskich zachcianek, jak je nazywał.

Kupił gdzieś dwa konie (za moje pieniądze) i poczułam, że naprawdę przyjemnie jest siedzieć okrakiem na końskim grzbiecie.

To bardzo inspirujące i muszę przyznać, że przywodzi na myśl właściwe skojarzenia.

Gdy jednak wreszcie dotarliśmy do Santillana del Mar, te części ciała, o których na ogół się nie wspomina, porządnie mnie bolały.

To naprawdę prześliczne miasto, wyraźnie znać jednak było jego upadek. Panowała też niezwykła cisza, jak gdyby ludzie chowali się za oknami, nigdzie nie wystawiano na zewnątrz nawet donic z kwiatami. Taki spokój, taki niezwykły spokój. Wielkie majestatyczne budowle, jak na przykład romański kościół, klasztor z dwunastego wieku oraz kilka szlacheckich dworów, wprost przytłaczały swą wielkością małe domki, w których mieszkali zwyczajni ludzie. Ci, którzy nie mieli odwagi z nich wyjść.

Zatrzymaliśmy się w zajeździe, teraz już jako małżonkowie. El Fuego stał się nagle szlachcicem. Mieliśmy możliwość umycia się i oczyszczenia z zapachu ryb i koni. Następnie wyruszyliśmy do miasta, by się dowiedzieć, czy mój ojciec wciąż się tam znajduje.

Nie zaszłam daleko uliczkami pokrytymi kocimi łbami, nie bardzo odpowiadały one moim trzewiczkom. Poza tym całe ciało bolało mnie po długiej jeździe na końskim grzbiecie. Wróciłam więc do gospody, Luis natomiast sam kontynuował poszukiwania.



Zjawił się pod wieczór, przynosząc dobre wieści. Odnalazł klasztor dominikanów, w którego pobliżu mieli swoją siedzibę kaci inkwizycji. Po drugiej stronie klasztoru znajdowało się więzienie, gdzie przetrzymywano czekających na fałszowane procesy, połączone z torturami.

Luis zaprzyjaźnił się z dwiema kobietami pracującymi w kuchni - z pewnością nie kosztowało go to wiele trudu, gdyż większość kobiet natychmiast ulegała jego urokowi - a one zdradziły mu, że w więzieniu przetrzymywany jest pewien stary szlachcic wysokiego rodu. Oczekuje, aż Sąd skarże go na śmierć.

Stary? Ojciec miałby być stary? No tak, liczy już sobie ponad pięćdziesiąt lat!

Luis dowiedział się, jak odbywa się zmiana straży w więzieniu, i oświadczył mi, że wielka chwila musi nastąpić już jutro, z samego rana. Ojciec musi opuścić więzienie przed objęciem przez nowego strażnika dziennej warty.

Postaram się opisać krótko to, co tak naprawdę było niezwykle emocjonujące, lecz sprawiało wrażenie, że trwa bardzo długo, gdyż tak bardzo należało się spieszyć.

O szarym świcie, nim miasto się przebudziło, Luis zaszedł do kuchni, gdzie zaspane kobiety szykowały akurat śniadanie dla więźniów i strażników. Przyniósł ze sobą butelkę wina, którym je poczęstował. Napiły się z ochotą i bardzo prędko zapadły w głęboki sen.

Teraz przyszła kolej na mnie, bo i ja byłam w pobliżu, schowana na zewnątrz. Po drodze minęłam plac, na którym odbywały się tortury, i miałam okazję obejrzeć niektóre z budzących grozę urządzeń. Była wśród nich na przykład klatka zawieszona wysoko nad ziemią, w której wieszano zmarłych lub bliskich śmierci. Zdażyłam też zobaczyć osławionego, pustego w środku, miedzianego byka. Heretyka wkładano do niego przez specjalny otwór, który następnie zamykano, a pod bykiem rozpalano ognisko.

Kaci inkwizycji przestali już mi się wydawać tak zabawni.

Ale dość o tym. Udało mi się zdjąć z jednej z kobiet fartuch i czepek. Dopełniająca reszty stroju peleryna wisiała na gwoździu w ścianie. Luis przygotował dzbanek z napitkiem dla strażników, a ja przebiegłam prędko przez plac i zastukałam do nich.

Otworzył mi czujny nocny strażnik.

„Nowa, co?” - spytał.

Ukloniłam mu się, a on wpuścił mnie do środka. Trzej mężczyźni przywitali mnie z entuzjazmem, podszczypując tu i ówdzie, lecz ja przyjełam to z kamienną twarzą, pilnując jedynie, by wszyscy napili się tego, co im przyniosłam. Dałam znak, że pójde po śniadanie, bałam się mówić o tym głośno, bo nie mówiłam ich dialektem, ale słowo „śniadanie” odważyłam się wypowiedzieć.

Luis i ja musieliśmy czekać zaledwie przez krótką chwilę. W końcu weszliśmy do środka. Strażnik nie zdołał nawet zamknąć za mną drzwi na klucz, a już spał. Nie chciałam wiedzieć, czego Luis dosypał do napoju i do wina.

Bez najmniejszego trudu otworzyliśmy wewnętrzne drzwi.

Wypuszczenie na wolność wszystkich więźniów wzbudziłoby stanowczo zbyt wielką sensację, na to nie mogliśmy sobie pozwolić.

Okazało się jednak, że jest ich zaledwie czterech, i Luis uwolnił wszystkich. Ja uważałam to za niepotrzebne, wszak los tamtych ani trochę nas nie obchodził, lecz mój Luis taki już jest. I rzeczywiście, nie da się zaprzeczyć, że poczułam się szlachetnie, widząc wielką wdzięczność uwolnionych.

W lochu, gdzie siedzieli, było tak ciemno, że nic nie dało się zobaczyć. Dopiero gdy wyszliśmy na zewnątrz, przekonałam się, że jednym z więźniów był rzeczywiście mój ojciec. Nie mieliśmy jednak czasu na ceremonie powitalne. Tamci trzej prędko zniknęli, rozplynęli się w ciemności. Przedostaliśmy się do koni, które Luis uwiązał pod pozbawioną okien ścianą domu na skraju miasta, i teraz pomógł dosiąść wierzchowca staremu, niemiłosiernie cuchnącemu człowiekowi, będącemu moim ojcem. Mnie Luis wsadził na swego konia, sam zaś usiadł za mną. Tak oto opuściliśmy Santillana del Mar. Słońce akurat rzuciło na świat pierwszy blask. Za pobyt w gospodzie zapłaciliśmy poprzedniego wieczoru, wyjeżdżaliśmy więc z czystym sumieniem.

Piszę teraz, siedząc na porośniętym trawą zboczku w lesie. W oddali wśród bujnej zieleni widać miasto, a jeszcze dalej lśni morze.

Wiemy, że z Santander na wschód, w stronę San Sebastian, chwilowo nie wypływa żaden statek, będziemy więc jechać konno.

Musimy tylko postarać się o trzeciego konia. Dałby Bóg, aby stało się to jak najprędzej, bo wspólna jazda na jednym koniu, tak jak ostatnio, jest ogromnie niewygodna. Teraz, prawdę powiedziawszy, póллеżę, bo nie jestem w stanie przyjąć innej pozycji.

Ojciec, który zszedł nad strumień, żeby trochę się obmyć, zrobił naprawdę wielkie oczy, gdy ujrzał, kto wyciągnął go z więzienia.

„To dopiero dziewczucha!” - rzekł z dumą.

Szybko zaprzyjaźnił się z Luisem, a my pokrótce opowiedzieliśmy mu o naszych przygodach.

Wypytywałam go o to, co się dzieje w domu, w Castillo de Ramiro.

„Nie pamiętam - odparł krótko. - To było już tak dawno temu”.

„Ojciec, a czy kiedykolwiek odnalazłeś spadek, pozostawiony mi przez stryja Jorge?”

„Co takiego? Jaki spadek? Przecież on nic po sobie nie zostawił!

Zresztą mnich powinien być biedny jak mysz kościelna”.

„Zostawił swoją mniszą szatę”.

„O, tak, tę oponczę dobrze pamiętam. Nie miała w sobie nic ciekawego. On po prostu z nas zadrwił”.

„Czy nie mogłabym jej zobaczyć?”

„Nie mam pojęcia, gdzie teraz może być. Gdzieś ją cisnąłem, naprawdę możesz o niej zapomnieć”.

„To nic, wszystko mi jedno. A czy Mama wciąż ma przy sobie swoje damy dworu?”

„Mama? O kim ty mówisz? Ach, tyle lat już upłynęło, mam teraz nową żonę. Niezwykle porządną, utrzymuje ład we wszystkim.

Wysłała mnie nawet do spowiedzi, gdy tylko uzna, że postąpiłem choć odrobinę grzesznie. A Mama...? Tak strasznie marudziła pewnego dnia przy śniadaniu nazajutrz po tym, jak wieczorem trochę się zabawiłem, że uciszyłem ją sztyletem. O, tak, przez stół.

Naprawdę doskonale pchnięcie, bez śladu krwi! Cios prosto w jej skarłale serce. Doprawdy, idealny!”

Zaśmiał się ochryple.

O tak, to z całą pewnością był mój ojciec!

## Lierbakkene, współcześnie

Gdy doczytali do końca, rozległy się głośnie westchnienia.

- Niedaleko pada jabłko od jabłoni - powiedziała Vesla lakonicznie.

- Strasznie łatwo poszło im to oswobodzenie ojca - stwierdziła Gudrun.

- Nie zapominajcie, że w owych czasach służby inkwizycji cieszyli się powszechnym poważaniem i wzbudzali strach - podkreślił Jordi. - Nikt się nie spodziewał, że ktokolwiek ośmieli się im sprzeciwić. Strażnicy pilnujący więźniów z całą pewnością nie przewidywali żadnej napaści.

- No tak, pewnie dlatego tak łatwo się wywinęli. Pedro zbierał siły na krótki wykład.

- Santillana del Mar to niezwykle piękne miasto, prawdziwa perełka Jean Paul Sartre nazwał je najpiękniejszym miastem Hiszpanii. Byłem tam, to niezapomniane przeżycie. Estella jednak ma rację, twierdząc, że to miasto w stanie rozpadu. W istocie za jej czasów tak właśnie było. Później jednak francuski pisarz Lesage umieścił akcję swej powieści „Przypadki Idziego Blasa” właśnie w tym mieście i nagle Santillana del Mar stała się modna. W drugiej połowie siedemnastego wieku, a zwłaszcza w wieku osiemnastym zaczęły tam powstawać jeden po drugim piękne dwory i domy.

Naprawdę cudownie się tam przespacerować. To jak przechadzka wśród minionego czasu, w świecie ze snu.

- Czy grotty Altamiry nie są położone gdzieś w pobliżu? - dopytywał się Morten.

- Owszem, bardzo blisko, o rzut kamieniem, no, może o dwa.

- Dziwne, że się tam nie ukryli. Ale Estella ani słowem nie wspomina o grotach.

- Nie ma się czemu dziwić. Odkryto je dopiero w roku tysiąc osiemset sześćdziesiątym dziewiątym, kiedy to pewien myśliwy szukał swego psa. O odkryciu opowiedział nauczycielowi, który wybrał się do grot dopiero dziesięć lat później. Towarzyszyła mu wtedy córka. Nauczyciel szukał śladów bytności ludzi w dole, na ziemi, dziewczynka natomiast, znudzona, poświeciła na sklepienie i wtedy właśnie zobaczyła malowidła, liczące sobie dwadzieścia tysięcy lat, a przedstawiające przede wszystkim bizona, lecz również jelenie i dziki. Była pierwszą osobą, która ujrzała je po dwudziestu tysiącach lat! Grotty są dobrze strzeżone przed turystami. Żeby się do nich dostać, trzeba czekać dwa lata i przedstawić naprawdę istotny powód. Poza tym wpuszczają do środka zaledwie siedmiu odwiedzających naraz i to tylko do kilku grot. Do niektórych nikt nie może wejść. No i oczywiście grotty Altamiry znajdują się na liście światowego dziedzictwa kultury.

- A cóż to jest to światowe dziedzictwo kultury? - zainteresowała się Unni.

- To coś, co jest tak wyjątkowe, że należy do całego świata i cały świat ma obowiązek o to dbać. Szwecja posiada sporo zabytków wpisanych na tę listę, lecz co do Norwegii nie mam pewności. Może są na niej naskalne rysunki z Alta, może miasto i kopalnia w Roros, może palowy kościół w Urnes, ale to tylko moje domysły. W każdym razie na tej liście umieszcza się naprawdę unikatowe zabytki.

- A co wyjątkowego może mieć Szwecja? - spytał z kwaśną miną Morten.

- Wiem jedynie o skalnych rysunkach w Tanum.

- Racja! - wykrzyknęła Unni. - Przecież widzieliśmy je, kiedy jechaliśmy z południa w stronę Svinesund. Rzeczywiście było tam napisane „Zabytek dziedzictwa światowego”. Wielki szyld, mnóstwo języków. Fajnie!

Antonio szczerze podziwiał wiedzę Pedra, uznał jednak, że teraz powinni wrócić do rzeczy.

- W ostatnim rozdziale również uzyskaliśmy drobną informację - przypomniał. - Don Sevastino wypowiada się na temat opończy.

Mówi, że nie wie, co z nią zrobił.

- A Estella zbyła go, mówiąc, że jest jej wszystko jedno - uzupełniła Gudrun.

- Tak, lecz to tylko potwierdza naszą teorię, że wówczas, tamtej nocy, nieśli zwłoki nieszczęsnego Jorge, owinięte w dywan. Ale, jak widzę, zostały już tylko dwa rozdziały. Zabieramy się do nich?

**- Przepraszam, dziesięciu panów czeka tu na panią.**

**- Jestem dziś trochę zmęczona, proszę jednego odesłać do domu!**

**M. W.**

*Castillo de Ramiro, wrzesień, A, D. 1633*

To była załóżnie długa i pełna niewygód podróż. Ojciec, półżywy, ledwie trzymał się na koniu i cały czas istniało niebezpieczeństwo, że spadnie. Był naprawdę w marnej formie, Luis i ja często musieliśmy jechać po obu jego stronach, by jakoś go podpierać.

W San Sebastian jednak sytuacja się poprawiła. Zmuszeni byliśmy wynająć powóz z uzbrojonym woźnicą do przetransportowania wszystkich moich kufrów, a w jednym rogu mogliśmy uplasować ojca, by choć trochę wypoczął. Zajmowaliśmy się nim, karmiliśmy go i poiiliśmy...

„Co wy mi, u diabła, dajecie? Wodę? I mleko? Nie jestem przecież jagnięciem!” - wrzeszczał od czasu do czasu.

I rzeczywiście, do jagnięcia mu było daleko. Wielkie nieba, jakże on wyglądał! Za dobrych czasów bardzo się zaokrąglił, ale teraz, po miesiącach spędzonych o głodzie i chłodzie w więzieniu, na całym ciele zwisały mu luźne fałdy skóry. Na twarzy królował sinoczerwony pijacki nos i aż trudno było dopatrzeć się innych rysów.

Od czasu do czasu, gdy skarżył się już bardzo głośno, dostawał kilka łyków wina albo czegoś mocniejszego. Ożywiał się wtedy i wygłaszał długie mowy. Lecz kiedy zaczynał czepiać się Luisa, wyzywając go od prostaków i włóczęgów z gór, na ogół odpowiadałam mu ja.

„Jeszcze jedno słowo na temat twojego wybawiciela, a mego ukochanego, i wysadzimy cię tu, na tym pustkowiu. W ciągu najbliższych pięciu lat zapewne nikt tędy nie będzie przejeżdżał”.

Ojciec milki wtedy i tylko burczał coś pod nosem, powóz zaś bez ustanku podskakiwał na drogach, których tak naprawdę prawie nie było.

Przyjazd do Castillo de Ramiro okazał się zupełnie inny, niż oczekiwaliśmy. Byliśmy zakurzeni, zmęczeni, a ostatnią niewielką rację dzienną pożywienia zjedliśmy już poprzedniego dnia.

Wyobrażaliśmy sobie bowiem wspaniały odświętny posiłek, skoro pan zamku wracał do domu.

Tymczasem powitanie wyglądało zupełnie inaczej.

Nowa żona ojca, która wniosła w posagu wspaniały tytuł, mnóstwo dóbr i złota, okazała się władczą damą obfitych kształtów, ani młodą, ani starą.

Natychmiast kazała nam iść do kościoła, by podziękować Bogu za ocalenie don Sevastina.

„Ale to przecież nie Bóg go ocalił! - zaprotestowałam. - W ogóle niewiele uczynił dla ojca przez długi czas. To my...”

„Zesłał was Pan” - padła odpowiedź ostra niczym cięcie miecza.

„Ale ojciec potrzebuje teraz pożywienia i wypoczynku, to znacznie ważniejsze!”

Popatrzyła na mnie oczami brązowymi i zimnymi jak metal.

„Tu, na zamku, ja decyduję o tym, co jest najważniejsze”.

I stało się tak, jak sobie tego zażyczyła, pomimo nieśmiałych błagań ojca o choćby mały kieliszek.

Siedzieliśmy więc w kaplicy, jednym uchem wysłuchując ciągnących się w nieskończoność modłów po łacinie, zagłuszanych niemal przez nieustanne burczenie naszych brzuchów.

Gdy ksiądz wreszcie skończył, ojciec poprosił, by udzielił ślubu Luisowi i mnie, bo już wcześniej obiecał memu ukochanemu szlachecki tytuł, a teraz jeszcze gorąco zapewniał, że podczas podróży zachowywaliśmy się niezwykle przyzwoicie (szkoda, że nie wiedział, co się działo, kiedy on i woźnica zasnęli).

Żona ojca jednak kategorycznie zaprotestowała.

„Ten zamek będzie miał tylko jedną panią. Dopóki twoja córka nie znajdzie sobie odpowiedniego miejsca do zamieszkania, nie będzie też i ślubu”.

„Ale, do dia...”

„Ośmielasz się przeklinać w obecności sługi Bożego?”

Ojciec ustąpił, a chwilę później ze zmęczenia i głodu zemdłał.

### ***Castillo de Ramiro, styczeń, A. D. 1635***

Upłynęło półtora roku, odkąd pisałam ostatnio. Nie miałam sił.

Nic nie ułożyło się tak, jak to sobie wyobrażałam. Nic! Co ja uczyniłam, żeby sobie zasłużyć na taki los?

Ojciec nie wstawał z łóżka. Lekarz twierdził, że potrzeba mu jedynie wypoczynku i troskliwej opieki, a na pewno dojdzie do siebie, gdyż nic poważniejszego mu nie grozi. Tak

też się rzeczywiście stało, lecz gdy wreszcie stanął na nogi, jego dawna siła i witalność gdzieś przepadły, a zarządzanie dworem oddał w pełni w ręce żony.

Ona chętnie z tego skorzystała.

A ja przecież wyobrażałam sobie, że wrócę do domu i wymiotę z zamku Mamę i cały ten jej fraucymer. Z tym babskim jednak, doprawdy, nie dało się nic zrobić!

Nie darzyła sympatią Luisa, a mnie nie lubiła jeszcze bardziej.

Staraliśmy się trzymać od niej z daleka. Oddano nam do dyspozycji jedno skrzydło zamku, w którym zamieszkaliśmy, a do głównej części przychodziliśmy jedynie na posiłki. Luis pomagał w męskich pracach na dworze, ale ta jęcza przez cały czas dbała o to, by przydzielano mu najbardziej upokarzające obowiązki. Nie pozwalała nikomu odebrać sobie pozyskanej raz władzy.

Coraz bardziej łamała dumę Luisa.

Do ślubu nie doszło. Wszystkim, z wyjątkiem tej kobiety, było powszechnie wiadomo, że będziemy żyć w grzechu, dopóki ona nie wyznaczy daty udzielenia nam sakramentu. Nie sądziliśmy, że może to trwać długo, doszliśmy do wniosku, że będzie chciała się nas pozbyć. Mówiłam przecież o powrocie do Bayonne, nie zważając już nawet na zamek.

Luis i ja często się kłóciliśmy. Przecież nikt nie będzie mi mówił, co mam robić, zresztą to ja miałam majątek, prawda?

I ten właśnie fakt stanowił niewyczerpane źródło niezgody między nami. Luis wykazywał naprawdę głupią dumę.

Niekiedy miałam go naprawdę dosyć. To doprawdy irytujące, żyć z drugim człowiekiem tak blisko w dzień i w nocy, chyba każdego taka sytuacja doprowadziłaby do szaleństwa.

Ale też się kochaliśmy. I tę sztukę on doskonale opanował.

Potrafiłam robić się okropnie zazdrosna na samą myśl o tym, gdzie mógł się jej nauczyć. On jednak również czasami mi wypominał:

„Wykazujesz się takim doświadczeniem i zaawansowaniem w miłości, jakbyś była starą kokotą”.

I znów zaczynała się kłótnia. Zapewniałam go o swojej niewinności, a on bagatelizował dawniejsze romanse.

Zdarzały się poranki, kiedy aż prychałam ze złości.

A potem stała się ta straszna rzecz, która nigdy, przenigdy nie powinna była się stać.

El Punal wraz z wielką bandą swoich rozbójników najechał zamek. Pragnął chyba odzyskać spadek po Jorge, który miał pomóc w odnalezieniu legendarnego skarbu.



Załoga zamku broniła się naprawdę bohatersko. Ojciec zdjął ze ściany wielki miecz, a kobiety krzyczały jak oszalałe.

Do walki włączył się też Luis, który chciał bronić mego ojca, atakowanego ze wszystkich stron.

Tego nie powinien był robić.

Gdy bowiem El Punal spostrzegł znenawidzonego wroga, natychmiast wydał rozkaz:

„Bierzcie go! Bierzcie El Fuego!”

Wszyscy napastnicy rzucili się na Luisa, który nie miał szans odparcia tak zmasowanego ataku.

Łzy kapią mi na papier, gdy to piszę.

Gdy jednak zobaczyłam, co się stało z Luisem, wyrwałam ojcu miecz z ręki i, wprost wyjąc z gniewu i rozpacz, rzuciłam się na El Punała. Żaden mężczyzna nie zdołałby zadać mocniejszego ciosu niż ja, tak straszna wściekłość mnie ogarnęła.

Ojciec na ten widok aż usta otworzył ze zdumienia.

Rozbójników, na widok, że ich herszt umiera, nagle jakby ogarnął paraliż i załoga zamku prędko się z nimi rozprawiła.

Nie ma już Luisa. Spoczął w prostym grobie na naszym cmentarzu. Poprosiłam, by kiedyś pochowano mnie przy nim.

Moja macocha nie odzywa się do mnie od czasu, gdy była świadkiem mojego strasznego ataku. Boi się zwrócić mi uwagę.

Byłam niepokieszona.

Przez jakiś czas.

Mieszkanie w oddzielnym skrzydle pałacu, w zupełnej samotności, stało się straszliwie nudne. Nie miałam nawet do kogo ust otworzyć. Poza tym te trupio blade, spowite w czerń upiory z czasów don Ramira, ci najędźniejsi słudzy inkwizycji, zaczęli stawać się coraz bardziej natrętni. Rycerze najwyraźniej ze mnie zrezygnowali, z nimi jakoś łatwiej było dojść do porozumienia. Ci natomiast bez przerwy szepczą mi do ucha, że chcą mnie zabrać.

Niekiedy nocą głośno krzyczę.

Nie ma w tym nic przyjemnego. Zaczęłam więc zapraszać do siebie młodszych i starszych mężczyzn, goszczących u ojca. Z początku robiłam to dyskretnie, później zupełnie już przestałam dbać o to, co powiedzą ludzie. Znowu znakomicie się bawiłam, czułam się piękna i pożądana. Z całą pewnością nie jestem kobietą jednego mężczyzny, dlatego więc miałabym marnować wszystkie talenty, którymi Bóg mnie obdarzył, tylko dla jednego? Nie wolno być takim skąpym.

W końcu jednak do mojej macochy doszły słuchy, że przez moją sypialnię przepływa wartki strumień szlachciców, a także mniej szlachetnie urodzonych panów.

Ależ była awantura!

**Nie jestem aniołem, lecz wiele trzepotałam skrzydłami.**

**M. W.**

*Klasztor Santa Clara de las Montanas, A D. 1637*

Ta przeklęta wiedźma mnie oszukała. Nigdy, przenigdy jej tego nie wybaczę!

Atmosfera w Castillo de Ramiro stawała się do tego stopnia napięta, że zdecydowałam się już na powrót do mego domu w Bayonne. Tam byłam bogata, tam mogłam być sobą, tam nie musiałam patrzeć na jej kwadratową brodę i obfity biust. Ojciec wyglądał jak swój własny cień, lecz ja, która znałam go przez całe swoje życie, zorientowałam się, że już planuje się jej pozbyć. Na razie jednak brakowało mu na to siły, a ja nie miałam ochoty dłużej czekać.

Wiadomość o mojej decyzji macocha przyjęła bardzo dobrze i wprost wzruszająco się przejęła, czy aby bezpiecznie dotrę do Bayonne. Załatwiła mi powóz i woźnicę, pozostawiało mi jedynie wsiąść, wcześniej uściskawszy ojca na pożegnanie.

Wyruszyliśmy.

Woźnica twierdził, że zna drogę na skróty przez pewną górską przełęcz.

Musiałam być jakoś niesłychanie zmęczona, bo właściwie przez całą drogę spałam. Jedynie momentami przed oczyma migotały mi górskie krajobrazy. Woźnica poczęstował mnie jakimś smacznym napojem, mocnym, o niezwykłym, korzennym, nieco gorzkim smaku. Napój trochę mnie oszołomił i zapewne to on właśnie był główną przyczyną mej senności.

Jakąż idiotką się okazałam! Wszak zastosowano tę samą metodę, do której uciekliśmy się, żeby się pozbyć strażników!

Kiedy się obudziłam, zdumiona rozejrzałam się dokoła.

Znajdowałam się w jakiejś ciasnej celi. Na ścianie wisiał krucyfiks, a w suficie widać było brązowe belki. Ubrano mnie w jakiś szorstki, drapiący, gruby worek, a leżałam na twardej zimnej ławie.

Później dowiedziałam się, że znalazłam się w górskim klasztorze, Santa Clara de las Montanas, położonym w Pirenejach w pobliżu granicy francuskiej. To miejsce nie znajdowało się jednak w pobliżu owej górskiej wioski, w której kiedyś mieszkałam. To była dolina, przełęcz; trafiłam w poblizsze Cuevas de Brujas, „grot czarownic”.

Doprawdy, bardzo wesołe! Jakbym nie dość miała tych natarczywych upiorów i bez tego nie dających mi spokoju.

O ucieczce nie mogłam nawet marzyć. Klucz do klasztornej furty trzymała przeorysza. Większość czasu spędzałam zamknięta w celi; powiadano, że to ma mnie nauczyć pokory.

Tłumaczyłam jej, że może zachować wszystkie moje kosztowności, byle tylko mnie stąd wypuściła, gdyż zdecydowanie nie jest to dla mnie odpowiednie miejsce.

Odpowiedź, której się doczekałam, naprawdę mną wstrząsnęła.

Okazało się, że wszystkie moje bogactwa przepadły. Woźnica zabrał cały bagaż z powrotem na zamek, gdzie ponoć było jego miejsce.

Nie posiadałam się ze złości. Ale cóż, zawsze przecież pozostawał mi dom w Bayonne. Może uda mi się przemycić jakiś list do tamtejszych służących, wezwać ich, by po mnie przybyli...?

Ale nie, to też mi się nie powiodło. Próbowałam, lecz już następnego dnia oddano mi mój własny list i za karę wyznaczono surową pokutę. Byłam tu, by się poprawić, żałować za grzechy, poświęcić się służbie Panu. I jeszcze szorować podłogi!

Szorowałam więc zapuszczone posadzki, niszcząc przy tym ręce i kolana. Wiedziałam dobrze, że klasztor ten jest już bardzo stary, że popada w ruinę i niewiele lat mu pozostało.

Wszystkie mniszki zostaną wkrótce przeniesione do głównego klasztoru na równinie.

Dlaczego więc miałam tracić zdrowie na szorowaniu czegoś, co i tak miało zostać zburzone?

Dni upływały mi na pracy, modlitwach i czytaniu tekstów o Bogu i świętych. Myślałam jednak tylko o tym, jak się stąd wydostać.

Pewnego wieczoru, o zmierzchu - w miejscu takim jak to dni prędko się kończą - stałam przy małym okienku mojej celi i wyglądałam na zewnątrz. Oczywiście przede mną widniała grota czarownicy, cóż by innego. Wejścia do niej nie mogłam zobaczyć, lecz wiedziałam, iż miejsce to cieszy się złą sławą. Podobno dzieją się tam straszne rzeczy.

I gdy tak stałam, poczułam, że sztywnieję ze strachu.

Wprawdzie widziałam już tych tak zwanych mnichów w snach tuziny razy, pojawiali się coraz częściej, teraz jednak przecież nie spałam, a oni wylaniali się z groty. Podchodzili coraz bliżej, kierując się wprost na klasztor.

Odkoczyłam od okna i położyłam się na swojej pryczy na brzuchu, zasłoniwszy uszy rękami i mocno zacisnąwszy oczy.

Słyszałam przecież o Jorge. O tym, że przyszli do niego do klasztoru, a ojciec mówił kiedyś, że ojciec jego i Jorge, don Manuel de Navarra, widział ich tuż przed śmiercią, która nastąpiła, gdy skończył dwadzieścia pięć lat.

Dobry Boże, ile lat mam teraz? Dni zlewają mi się w jedno, aż trudno je od siebie odróżnić.

Ale czyż przed trzema dniami nie obchodziliśmy dnia jakiegoś świętego? Co to był za święty?

Już pamiętam. A więc wciąż jeszcze zostało mi trochę czasu.

Muszę uciekać, muszę się stąd wydostać. Żaden klasztor nie zapewni mi bezpieczeństwa.

Awantura. Uderzyłam przeoryszkę, bo nie chciała mi oddać kluczy.

Mniszki rzuciły się na mnie, walczyłam z nimi jak lwica, kopałam je, posiniaczyłam, lecz moich przeciwniczek było za wiele. Teraz zamknęły mnie na podwójne zamki.

Prosiłam je o nawiązanie kontaktu z ojcem, on jednak został wezwany do króla, wybierają się bowiem na kolejną wojenną wyprawę. Ale to znaczy, że jest przynajmniej trochę zdrowszy.

Wydaje mi się, iż ojciec nie wie, że tu tkwię. Z pewnością sądzi, że jestem w Bayonne. Ale też i za bardzo nie obchodzi go mój los, bo przecież ciągle czeka na syna. Cóż, niech sobie ma nadzieję.

Czyhają teraz pod oknem. Blisko, bardzo blisko. Tylko ja ich widzę. Mniszki twierdzą, że postradałam zmysły.

Leżę skulona na pryczy i piszę. Myślę o Luisie, o El Fuego. Nasz związek i tak nie przetrwałby dłużej, mój ukochany był zbyt uparty, zbyt dumny. Nie potrafił znieść mojej siły.

Tak strasznie się boję. Jestem taka samotna. Nikt nie ochroni mnie przed tym złem. Jestem sama.

Powinnam była wysłuchać rycerzy, pomóc im, a wtedy pomogłabym również sobie. Nigdy jednak nie sądziłam, że...

Powinnam była iść za radą dziada mego ojca, którą otrzymał od rycerza Bartolome. „Trzeba zacząć od równin Gaety, by móc podążać śladem i dotrzeć do celu”. Nie rozumiałam jednak, co to znaczy.

Consuelo, Rosito, tak za wami tęsknię! Za jedynymi przyjaciółkami, jakie kiedykolwiek miałam.

Taka jestem samotna. Nikt się o mnie nie troszczy.

Mój czas wkrótce minie. Ale nie, to są tylko stare okropne bajki!

Moje urodziny. Kończę dwadzieścia pięć lat.

Oni są tu, w korytarzach, słyszałam ich. Słyszałam, jak ich długie, kościste palce suną, obmacując ściany. Paznokcie długie niczym szpony skrobią o kamień.

Szukają mnie. Nikt nie usłyszy moich krzyków, nikt nie przybędzie mi na ratunek! Pomocy! Czy nie ma nikogo?

## TAJEMNICA

### *Współcześnie*

Nikt nic nie powiedział, gdy czytanie dobiegło końca.

Zaczęli rozmawiać o lekturze dopiero następnego dnia. Przywieźli wtedy rodziców Unni, którzy oczywiście otrzymali swoją kopię tłumaczenia.

Postanowili natychmiast wyprawić się w krótką podróż, podjąć próbę odnalezienia Castillo de Ramiro. Innych miejsc nie warto było szukać.

Wydawało się ze wszelkich miar zrozumiałe, że Vesla i Antonio tym razem zostaną w domu. Nie zamierzali przecież na razie organizować wielkiej ekspedycji, na nią czas przyjdzie później.

Morten również postanowił oszczędzać siły. Chciał także najpierw nauczyć się choć trochę hiszpańskiego, a poza tym powinien pielęgnować swe uczucie do Moniki, bardzo jeszcze świeże i kruche.

Pedro musiał wracać do ministerstwa w Madrycie, a ponieważ on nie mógł towarzyszyć młodym, nie chciała jechać również Gudrun.

Pedro obiecał tylko, że nawet przebywając w stolicy, będzie utrzymywał z nimi stały kontakt na wypadek, gdyby czegoś pilnie potrzebowali.

Rodzice Unni natomiast skłonni byli opłacić całą podróż dla wszystkich chętnych pod warunkiem, że sami będą mogli wyjechać.

Hiszpański znali, a bardzo chcieli uczestniczyć w tej wyprawie z uwagi na córkę. Pragnęli dopilnować, żeby nie wdała się w żadne zbyt szalone przygody. Owszem, Jordi miał być wraz z nią, lecz on przecież sam przyciągał rozmaite makabryczne wprost historie.

Zamówiono więc cztery bilety do Bilbao w kraju Basków. Taka droga była najprostszą.

Mieli wyjeżdżać już następnego dnia rano. Wieczorem w dniu poprzedzającym wyjazd wszyscy dziesięcioro siedzieli razem i rozmawiali.

- Nie rozumiem tego, co Estella napisała pod sam koniec - powiedział Antonio. - „Zacznijcie od równin Ga - ety, by móc podążać śladem i dotrzeć do celu”. Do diaska, przecież Gaeta znajduje się we Włoszech!

- Rzeczywiście - odparła Gudrun. - Jesteście pewni, że dobrze to przetłumaczyliście?

- Las Vegas junto a Gaeta - powiedział Jordi. - Ale muszę przyznać, że pismo było dość zatarte akurat w tym miejscu.

Prawdopodobnie Estella płakała.

- Wcale mnie to nie dziwi - rzekła Vesla ze smutkiem. - Ale ten dziad ojca, o którym wspomina... Jeśli popatrzyście na drzewo genealogiczne, to jest tam don Cristobal de Navarra, tysiąc pięćset trzydzieści trzy - tysiąc pięćset pięćdziesiąt osiem. Ponoć rozmawiał z jakimś rycerzem o imieniu Bartolome. Tymczasem nikogo takiego w tym drzewie nie ma.

Pedro podniósł głowę.

- Jest za to w moim. Jak wiecie, nie interesowałem się historią moich przodków i nie zamierzam się nią zainteresować, bo wasza jest znacznie ciekawsza. Moja i tak nic nie wnosi. Ale jest w niej pewien Bartolome de Galicia, żył w szesnastym wieku, to się zgadza. Jego tytuł rycerski nie miał w owym czasie żadnego znaczenia, bo epoka rycerstwa już wówczas przeminęła, ale to naprawdę ciekawe stwierdzić, że potomkowie naszych pięciu rycerzy jeszcze przez jakiś czas trzymali się razem. Wszak dzielące ich odległości były w owych czasach bardzo znaczne!

Jordi delikatnie zamknął stary pamiętnik Estelli.

- Prawdę powiedziawszy, niewiele uzyskaliśmy z tych zapisków, lecz Unni i ja uznaliśmy, że wszyscy powinni go przeczytać.

- Oczywiście - zgodził się Pedro. - No i znaleźliśmy w nim kilka wskazówek. Czy mogę przyjrzeć się oryginałowi? Może uda mi się znaleźć coś więcej na temat Gaety, która wydaje się tu zupełnie nie na miejscu.

- Oczywiście, bardzo proszę!

Pożegnali się wcześniej. Część z nich nazajutrz czekała długa podróż.

Pedro w końcu zmienił decyzję. Stwierdził, że musi dowiedzieć się czegoś więcej na temat Castillo de Ramiro, i poprosił Gudrun, by również z nimi pojechała. W domu zostawała więc tylko trójka: rekonwalescent Antonio, ciężarna Vesla i zakochany Morten. Oni obiecali sobie jednak, że później odbiją sobie za wszystko.

Pozostali cieszyli się bardzo, że Pedro i Gudrun będą im mimo wszystko towarzyszyć. Dzięki ich obecności całe przedsięwzięcie nabierało w pewnym sensie większej wagi.

W Bilbao Atle Karlsrud wynajął duży, wygodny samochód i ruszyli na wschód, przez San Sebastian i dalej, kierując się w stronę Roncesvalles.

Zdaniem Jordiego, cudownie było nie musieć myśleć o tym, na jak długo starczy im pieniędzy. Tego rodzaju przyziemne troski bardzo często podkopują nawet najszlachetniejsze zamiary.

## *Jednocześnie*

Zarówno rycerzy, jak i mnichów ogarnęło wzburzenie.

„Medyk z nimi nie jedzie” - stwierdził don Garcia z z troskaniem.

„Wyprawiają się też w niewłaściwym kierunku” - dodał don Galindo.

„Wydaje mi się, że nie - uznał don Federico. - Nie wiem, czego szukają, lecz i tak pojedziemy za nimi!”

Mnisi, wyprowadzeni z równowagi, krążyli w powietrzu.

„Rozdzielają się. Nienawidzę, kiedy tak robią. Jedni tu, drudzy tam, zupełnie nie wiadomo, czym się zajmują!”

„Wobec tego i my musimy się rozdzielić. Jedni będą tu, drudzy w tym wstrętnym, zimnym kraju na północy”.

„Jest nas za mało. Ta bezbożna dziewczyna wyrządziła wiele szkód swymi strasznymi znakami”.

„Strzeżmy się jej! Trzeba ją zabić!”

„Zabić wszystkich!”

Krzyczeli tak już od wielu miesięcy. Bez większych rezultatów.

Przez całe dwa dni poszukiwali Castillo de Ramiro, a przynajmniej jego szczątków. Odwiedzili Roncesvalles i obejrzeni groby Sancha Mocnego z Nawarry i margrabiego Rolanda, dzielnego wodza Karola Wielkiego (który tak naprawdę został napadnięty i zabity przez grupę baskijskich rozbójników, o czym później napisano wielki epos, czyniąc z Rolanda bohatera nad bohaterem, który pokonał całą mauretańską armię w roku 778. Oczywiście tak nie było, lecz miło jest mieć sagi o bohaterach).

Inger Karlsrud, która nigdy wcześniej nie widziała tych łagodnych górskich krajobrazów, nie posiadała się ze szczęścia, że może je teraz zobaczyć. Również inni nie kryli zauroczenia Pirenejami Nawarry, przyjemnie pofałdowanymi, bardziej miękkimi niż wschodnie rejony górskiego masywu.

Oglądali cudownie piękne doliny, kościoły wznoszące się na tle pionowych skalnych ścian, było pasące się na zielonych łąkach, wodospady opadające dziko wśród liściastych zielonych lasów.

Nie była to jednak zwykła turystyczna podróż.

Przeczesywali okolice, mierząc odległości, zastanawiając się, jaką drogę konny powóz może pokonać w ciągu jednego popołudnia.



Rozpytywali się w pięknych, małych wioskach.

Zamek? Twierdza? Ruiny? Nie, nie tutaj.

- Wszystko tu jest baśniowo piękne - skarżyła się Inger. - Ale to nam w niczym nie pomaga.

- Strasznie chciałabym zobaczyć grootę czarownic - powiedziała Unni z szatańskim błyskiem w oku.

- Ona jest nawet zaznaczona na mapie - uśmiechnął się Pedro.

- Zapewne ma wspaniałą historię. Ale my nie mamy tam czego szukać.

- A jeśli Estella wyraziła się nieściśle? - podsunął w końcu Atle. - Może chodziło jej o całą dobę i jedno popołudnie?

- Albo o dwa dni i kawałek - uzupełniła Gudrun. Ten pomysł dodał im sił do dalszego działania.

I teraz powiodło im się lepiej. Powrócili ku nizinom i znaleźli nową dolinę. Wdali się w rozmowę z pewnym wieśniakiem, który skierował ich do nauczyciela, bo podobno tu w okolicy rzeczywiście były jakieś starocie.

Z początku nie zapowiadało się to wcale interesująco, okazało się jednak, że nauczyciel ma sporo do opowiedzenia.

- El Castillo? Owszem. Nazwy „Castillo de Ramiro” wprawdzie nie znam, musiała przepaść już dawno temu. Zamki często zmieniają nazwy w zależności od tego, jaki ród je przejmie.

Wskazał przez okno.

- Znajdował się tam, na wzgórzu, nieco bardziej w głąb doliny.

Tak, tak, na prawo od kościelnej wieży. Ale nic z niego nie zostało.

Jordi nie krył zdziwienia.

- Przecież w początkach siedemnastego wieku to był zamieszkaný zamek! Nie mógł chyba ot, tak po prostu zniknąć?

Nauczyciel wzruszył ramionami.

- Owszem, z pewnością wznosił się tu kiedyś zamek, czy może twierdza, jesteśmy wszak blisko granicy - stał w bardzo strategicznym miejscu. Zachowały się pochodzące stamtąd nieliczne przedmioty. Parę mieczy, zawias drzwiowy, ot i wszystko!

- Żadnych rzeczy osobistych, należących do ludzi, którzy tam mieszkali?

- Niestety, nic. Wiem z historii, że ten zamek czy też twierdzę już w połowie siedemnastego wieku ostrzelano z armat. Trwała przecież wojna trzydziestoletnia, a potem dalsze walki z Francją.

Później twierdza zaczęła przeszkadzać podczas hiszpańskiej wojny sukcesyjnej na początku osiemnastego wieku, znalazła się też na drodze armat Napoleona na początku wieku dziewiętnastego.

Wówczas to zamek był już tak zniszczony, że okoliczni wieśniacy zaczęli zabierać z niego kamienie do budowy nowych domów. To był dobry budulec. Później bomby podczas wojny domowej zrównały wszystko z ziemią. Domyślacie się na pewno, że takiej twierdzy nie budowano z myślą o odparciu ciężkiego ognia artyleryjskiego. Cóż, to tyle, co wiem. Nie istnieją żadne pisemne materiały na temat tej twierdzy pochodzące sprzed połowy siedemnastego wieku.

Ależ, owszem, istnieją, pomyśleli w skrytości. Nie mogli jednak przedstawić nauczycielowi zawierającego skandaliczne zapiski pamiętnika Estelli.

Zastanawiali się nad słowami „przy zamku”. To oznaczało, że trzeba powęszyć w wiosce. Najpierw jednak sam zamek.

- Skoro dotarliśmy już tak daleko, to chętnie obejrzymy sobie to „nie” - uśmiechnął się Pedro. - A przynajmniej przyjrzymy się wzgórz, na którym stał zamek.

To nauczyciel świetnie rozumiał. Na górę wprawdzie nie prowadziła już żadna jezdną drogą, lecz przy bacznej obserwacji można się było zorientować, którądy biegła dawniej.

To im wystarczyło. Pora jednak zrobiła się późna. Czy mogli gdzieś tu przenocować i wyruszyć na poszukiwania rankiem następnego dnia?

Owszem, to dało się załatwić. Nauczyciel znalazł gospodarstwo, w którym przyjmowano gości, jeśli tylko nie mieli zbyt wysokich wymagań.

A oni nie byli zbyt wymagający.

Po pysznej, obfitej kolacji, na którą składały się typowe dla górskich okolic dania, naprawdę smaczne, Jordiego nieoczekiwanie odwiedzili rycerze.

Wyszedł przyjrzeć się uważniej wzgórz, widniejącemu nieco dalej w dolinie. Stał na skraju wioski, rozmyślając o czasach, gdy rządził tu don Sevastino. Z opisów Estelli można było sądzić, iż chodzi o naprawdę imponujące włości. Tymczasem Jordi patrzył teraz na zwyczajną, niewielką górską wioskę. Estella pisała o wieży, z której miała widok jedynie na góry i nic więcej. Owszem, to się zgadzało, ale z głównego skrzydła roztaczał się widok na wielki dziedziniec.

Wszystko to przepadło, nawet wieża. Zburzyły ją kule armatnie i bomby. Czy ktoś w czasach Sevastina mógł się tego spodziewać? I tego, że później zamek zostanie całkowicie zrównany z ziemią?

Jordi odwrócił się i spostrzegł, że pojawili się rycerze. Nikt inny poza nim nie mógł ich zobaczyć.

Powitał ich, jak zawsze, z wielkim szacunkiem.

- Czego sobie życzycie?

„Niczego. Przybyliśmy coś ci ofiarować” - odparł don Federico.

Jordi patrzył wyczekująco.

„Zdecydowaliśmy, że ty i twoja dzielna przyjaciółka, potomkini don Sebastiana, dostaniecie dla siebie jeszcze pół godziny”.

Jordiemu serce podskoczyło w piersi.

- Serdecznie za to dziękuję. „Może to nastąpić już teraz”.

Jordi pomyślał o miejscu, w którym będą nocować.

- Dziękuję wam bardzo - zapewnił jeszcze raz. - Lecz Unni jest taka czysta. Wydaje mi się, że nie powinno to nastąpić akurat w tej chwili, gdy tak bardzo wczuliśmy się w brudne życie Estelli. Musimy nabrać do tego dystansu. A poza tym wolelibyśmy być sami, teraz inni są zbyt blisko.

Don Federico uśmiechnął się półgębkiem.

„Mając w pamięci nasze szczęśliwe dni, przyznajemy ci rację.

Wobec tego decyzja należy do ciebie. Dasz nam znać, gdy nastąpi właściwa chwila”.

Nie mówiąc nic więcej, zniknęli.

Jordi nie ruszał się z miejsca, czując, jak owiewa go chłodny wiatr, ciągnący od gór. Serce przenikała mu radość.

Nareszcie będzie mógł wziąć Unni w ramiona, a jego chłód nie wyrządzi jej krzywdy. Niezmiernie się cieszył, że będzie mógł jej przekazać tę nowinę. Następnego dnia rano, po śniadaniu, kiedy z wysiłkiem pokonali kolejne wzniesienia, spotkało ich naprawdę przykre rozczarowanie.

Ujrzeni zarośnięte wzgórze, nic więcej, chociaż jasne było, że to doskonałe miejsce na budowę średniowiecznej twierdzy. Zamek jednak nie potrafił się oprzeć armatnim kulom ani bombom. A kiedy okoliczni mieszkańcy rozebrali nawet fundamenty, po dawnej świetności nie pozostało już nic.

- Czy tu w ogóle może istnieć jakikolwiek ślad? - spytała Inger.

Pedro rozejrzał się dokoła.

- Gdyby obejrzyć to wzgórze z lotu ptaka... być może udałoby się dostrzec zarys murów zamku. Wiecie, tak jak w Nazca w Peru.

Tam jakiś lud jeszcze przed nastaniem królestwa Inków wytyczył na powierzchni ziemi olbrzymie wzory, linie i figury, które zobaczyć da się wyłącznie z samolotu. Nikt nie rozumie, w jaki sposób mogło to zostać zrobione, w jaki sposób mogli oglądać te wzory z góry, ani też dlaczego je wykonano.

- No właśnie, dlaczego? - powtórzył Jordi. - Czy nie ku czci bogów w niebie i po to, by wskazać im drogę?

- Możliwe, że tak właśnie było.

- Mimo wszystko jednak to niepojęte. Masz rację, Pedro, powinniśmy obejrzeć to wzgórze z lotu ptaka.

Atle przechadzał się, bacznie przyglądając się wszystkiemu.

- Znalazłem parę wyraźnie ociosanych kamiennych bloków! - zawołał nagle. - Ale to chyba wszystko.

Podeszli do niego. Wśród roślinności dostrzegli zarys dwóch kanciastych kawałków muru.

- Są uszkodzone - stwierdził Pedro. - Dlatego nikt ich nie zabrał do budowy domu.

Jeszcze przez chwilę krążyli wokół tego, co musiało niegdyś stanowić Castillo de Ramiro, nie znajdując niczego, co przedstawiałoby jakąkolwiek wartość. Doszli jedynie do wniosku, że znaleźli miejsce, w którym stała kiedyś wieża. Niewiele im to jednak pomogło.

- „Przy zamku” - zacytowała Unni. - Może powinniśmy wrócić do wioski i tam szukać?

- Zaczekajcie chwilę! - poprosił Jordi, który przeszedł na drugą stronę, bardziej odległą od wioski. - Zobaczcie, co to może być?

Natychmiast zbliżyli się do niego, patrząc na to, co im wskazał.

Nieco w dole, a właściwie bezpośrednio pod nimi, oni bowiem stali na występie skalnym, rozciągała się dość szeroka płaszczyna.

Pedro gwizdnął.

- O ile pamiętacie, to w zamku mieli na piętrze kaplicę. Ale w niej nie można było chować zmarłych.

W dole widniały dwie prostokątne kamienne płyty, wystające wśród krzewów.

- To cmentarz - szepnął Atle cicho. - Częściowo ukryty przez skałę, na której stoimy.

Znaleźli ścieżkę prowadzącą w dół. Sporym łukiem musieli okrążyć wyrosłe tu krzewy i drzewa. W jednym miejscu napotkali poważne problemy, lecz jakoś zdołali zejść.

„Przy zamku...”

- Czy to właśnie mógł mieć na myśli El Punal, mówiąc o kluczu do skarbu? - spytała Unni.

- Możliwe - odparł Pedro. - Oczywiście o kluczu w przenośnym znaczeniu.

- A kto to wie? - roześmiała się Gudrun dość niepewnie, bo na starym cmentarzu panował niezwyklej nastrój. - Może znajdziemy prawdziwy klucz?

Odszukali dwa kamienie, które widzieli z góry. Roślinność była tu bujna, prawdziwy cud, że w ogóle cokolwiek wypatrzyli.

Tego dnia słońce skryło się za chmurami.

- Oto i one - oznajmił Atle.

Ogarnęło ich wielkie rozczarowanie. Były to dwie bardzo stare płyty nagrobne, zwietrzałe już, na których cały tekst się zatarł, nie dało się odczytać ani jednej litery.

Inger rozejrzała się dokoła.

- Musiało ich być tu więcej.

- Szkoda, że nie mamy żadnych narzędzi - westchnął Jordi. - Ale kto mógłby przypuścić coś takiego?

Nie bardzo wiedzieli, czego szukają, lecz mimo wszystko coś znaleźli i to było najważniejsze.

- A jeśli to w ogóle nie jest Castillo de Ramiro? - zasiała niepokój Gudrun.

- Nauczyciel twierdził, że to jedyne ruiny zamku w tych okolicach - odpowiedział jej Pedro. - Trzeba jechać naprawdę daleko, by znaleźć następne. Tam zresztą nazwa zamku była znana.

- Chyba coś odkryłam! - zawołała Unni.

Podeszli do niej, Jordi nachylił się, odgarnął ziemię i splątane rośliny, a potem podniósł do góry ciężki krzyż.

- Czy wszyscy w tym miejscu są bezimienni? - prychnęła Unni.

- Rzeczywiście, nie ma żadnego imienia - potwierdził Pedro. - Trudno, szukajmy dalej!

Rozglądali się w pobliżu.

- Au! - zawołał nagle Atle. - Uderzyłem się o jakiś kamień!

Dotarli już do części cmentarza, położonej bezpośrednio pod występem skalnym. Była ona lepiej zachowana, lecz tutaj trawa i krzewinki czuły się najlepiej. Z trudem domacali się czterech grobów umieszczonych w jednym szeregu.

Z zapalem wyrywali zielsko i korzenie. Atle i Jordi musieli zniszczyć nieduże drzewko.

- Coś tu jest! - wykrzyknęła Gudrun, która pomagała Pedrowi oczyścić jedną z kamiennych płyt. - Jakież litery!

- Incredible! - zawołała Unni. - Niewiarygodne! Co tam widać?

- „Anno Domini 1620”. Kto to może być?

- Jakież kobiece imię. „Isabel”. Chyba tak, prawda?

- Tak, i jeszcze coś o „Navarra”.

- Jeśli sądzić po szeregu nazwisk, musiała to być jedna z wielu żon Sevastina - domyślał się Pedro. - Szukajmy dalej!

- Boże, jak przyjdzie nam odkopywać wszystkie jego żony... - mruzczała pod nosem Unni.

Zabrali się do oczyszczania sąsiedniego kamienia.

- Ten jest starszy - uznał Atle, człowiek wielkiej wiedzy. - Imię jest niemal całkiem zatarte. Czyżby mogło to być „Manuel”? A daty?

„1557 - 1582”.

- Tak! - wykrzyknął Pedro triumfalnym głosem. - To ojciec Jorge i Sevastina! Jesteśmy we właściwym miejscu.

Następny kamień wyróżniał się spośród innych znacznymi rozmiarami. Z całą pewnością stał kiedyś pionowo. A kiedy usunęli wszystko, co zdążyło go porosnąć, ukazał się w całej okazałości łatwy do odczytania napis:

„Conde Sebastian de Navarra y Rioja y Euskadi, 1582 - 1650”.

- No to go mamy! - oznajmił Jordi triumfalnie. - To przecież don Sevastino. Na chrzcie dano mu imię Sebastian. Proszę, proszę, był hrabią! Z pewnością to ostatni człowiek, którego tu pochowano. No, bierzemy się za następną płytę!

Niestety, był to nagrobek jednej z jego żon.

- Kolejne rozczarowanie - westchnęła Inger i zmęczona usiadła.

Wszyscy byli, podobnie jak ona, umazani ziemią, a pod paznokciami mieli czarne obwódki.

- Musi być więcej grobów - mruknęła z uporem Unni, rozglądając się dokoła.

- Z pewnością - przyznał Jordi cierpko. - Ale skrył je las. Unni popatrzyła mu w oczy, uśmiechnęli się do siebie.

Dziewczyna wiedziała już o decyzji rycerzy i w pełni zgadzała się z Jordim. Nie była to dla nich odpowiednia pora, woleli jeszcze poczekać, aż zostaną sami i zdołają choć trochę zapomnieć o wyczynach Estelli.

- No tak, Sevastino i jego rodzina to z pewnością ostatni mieszkańcy zamku. Potem zamczysko niszczało. Przypuszczam, że nie odnajdziemy tu grobu jego syna, Juana, on zmarł w roku tysiąc siedemsetnym. To już za późno - powiedział Pedro.

Gudrun i Atle nie ustawali w poszukiwaniach. Rozchylali zagradzające drogę krzaki, przedzierali się naprzód.

- Ktoś powinien to uporządkować - mruknęła Gudrun przygnębiona. - Wszak mimo wszystko to poświęcone miejsce i pamiątka dawnych dziejów.

- Tu jest więcej grobów! - zawołał Atle. - Ale cholernie trudno do nich dotrzeć. Zaczekajcie!

- Co jest? - spytał Pedro i wszyscy poszli do Atlego.

- Są jeszcze trzy groby - odparł. - Dwa obok siebie, a trzeci w samotnym dostojeniu pod skalną ścianą. Jest dość niezwykły.

Bacznie przyjrzeni się temu, co na razie dało się zobaczyć.

- Jeden z tych dwóch jest bardzo skromny - zdziwił się Pedro. - Ten trzeci natomiast, tak jak mówiłeś, dość szczególny.

Jordi i Unni już skupili się na najprostszym z grobów.

- Wyłania się imię - poinformował Jordi ściszym głosem, choć bardzo podniecony. - Już je prawie mamy! Duże „L”, potem czegoś brak i „S”. Anno Domini 1634.

- Luis - powiedział Pedro cicho. - Właśnie w tym czasie zakłuli go ludzie El Punala.

Unni natychmiast się ożywiła.

- To znaczy, że ten grób obok musi być... Tak, zobaczcie sami!

„ST.LLA”.

- Estella - szepnęła Gudrun.

Ogarnęło ich dziwne uczucie, nieprzyjemny smutek.

Pozostawał teraz trzeci grób, i ten rzeczywiście był niezwykły.

Wyglądał na nieduży grobowiec, zapadnięty w ziemię.

- Coś tu wyryto - powiedział Pedro. - Czy ktoś jest w stanie to odczytać?

Gudrun i Inger delikatnie zeskrobały warstwę mchu, a może porostów, bo z trudem dawała się usuwać. W końcu jednak ukazał się tekst:

„Fraile Jorge de Navarra. 1581 - 1606. R. I. P.”

- Requiescat in pace. Albo po angielsku: Rest in peace.

Odpozywaj w pokoju. Fraile znaczy tyle co „mnich, brat” - wyjaśnił Atle.

- Przykro mi, Jorge - powiedział Pedro. - Ale musimy zakłócić twój spokój.

- Ja się usuwam - oświadczyła Unni. - Nie wytrzymam tego.

- Ja również - zawtórowała jej Gudrun.

Usiadły na zwałonym drzewie pod skałą. Dzień od rana był pochmurny, a teraz zaczęła jeszcze kropić delikatna mżawka.

Gudrun zadrżała.

- Mam wrażenie, że nikomu w tej chwili nie jest wesoło.

- Na pewno. Ale dlaczego on ma najwspanialszy grób? Cały grobowiec?

- Jego zwłoki zostały przecież zabalsamowane z myślą o zabraniu ich z klasztoru do domu. Sevastino, jego brat, wiedział, że Jorge posiadał jakąś tajemnicę. Nigdy jej jednak nie odkryto.

- A jak my mamy sobie z tym poradzić czterysta lat później?

- Rzeczywiście, to się wydaje beznadziejne, lecz skoro zaszliśmy już tak daleko, musimy wytrzymać do końca.

Pozostała czwórka zmagala się z zamkiem, uniemożliwiającym dostęp do miejsca spoczynku Jorge. Grobowiec nie mógł być duży, bo w dół prowadziły zaledwie dwa stopnie.

- Ach, gdybyśmy mieli jakieś narzędzie, którym moglibyśmy to wyłamać - westchnął Pedro.

Rozejrzeli się dokoła, lecz nikt nie dostrzegł nic odpowiedniego.

W końcu odezwała się Inger:

- Przecież zabraliśmy ze sobą prowiant. Mam w plecaku otwieracz do butelek.

- Przynieś go! Jeśli wytrzyma, to może...

Zamek z trzaskiem ustąpił. W nos buchnął im dziwny, niemal chemiczny zapach. Nie czuć było przeciągu.

- Grobowiec był szczelnie zamknięty - mruknął Jor - di. - Świetnie! Kto wchodzi do środka?

- Ja w każdym razie się oddalam - oświadczyła Inger i dołączyła do pozostałych kobiet.

Pedro jeszcze zawołał za nią:

- Nie masz przypadkiem w plecaku również kieszonkowej latarki?

Niestety, Inger zaprzeczyła.

- Musi nam więc wystarczyć światło dzienne - zdecydował Pedro. - Zmieścimy się tam wszyscy?

- Najwyżej dwóch.

Do środka wsunęli się Jordi i Pedro. Stojąc przy wejściu, zasłaniali światło i musieli wypełznąć w głąb, najdalej jak tylko było to możliwe.



Znaleźli się w bardzo nisko sklepionej krypcie, w której nie dało się stanąć. Zmarły leżał w czymś w rodzaju trumny ze zmurszałych desek i widać go było zaledwie trochę. Jordi nie chciał patrzeć, miał uczucie, że profanuje grób.

Pedro ujął go za ramię i wskazał kąt grobowca. Jordi skierował tam wzrok.

- Mnisia opończa - szepnął zadziwiony. Przypomnił sobie słowa Sevastina. „Nie wiem, co z nią zrobiłem, gdzieś ją cisnąłem”. Była więc tutaj.

Z nadzwyczajną ostrożnością wynieśli ją na obrusie piknikowym na zewnątrz, świadomi, że przy najłżejszym dotyku stara szata może rozsypać się w pył.

Na szczęście opończa przez tyle lat przeleżała w pomieszczeniu bez dostępu powietrza. Prawdopodobnie nasiąkła również substancjami użytymi do balsamowania.

Nie mieli czasu czekać, aż wrócą do wioski. Możliwe było, że opończa nie wytrzyma trudów transportu w górę do ścieżki, a później w dół ze wzgórza.

Zanieśli ją pod skalny występ, gdzie nie docierał deszcz, wyszukali odpowiednie miejsce, w którym nie było grobów. Tam rozłożyli obrus i rozpostarli na nim stary strój mnicha. Opończa była większa niż obrus, poświęcili więc jeszcze rozmaite chustki do nosa i inne części garderoby, tak, by nie dotykała ziemi.

- Brakuje jednego rogu - stwierdził Atle.

- Tak, widziałem pył w kącie grobowca - odparł Pedro. - Nic się już nie da z tym zrobić. Proszę więc, nie dotykajcie tej krawędzi opończy, bo istnieje ryzyko, że stracimy jeszcze więcej!

Zadbali o to, żeby najwrażliwszy fragment znalazł się na obrusie.

Wyglądało to zresztą dość idiotycznie: wesola czerwona kratka pod czarnym materiałem opończy.

Uwagę przyciągały duże pionowe otwory kieszeni.

Mnich mógł w nie wsunąć również zmarznięte ręce. Opończa leżała rozpostarta wierzchem do góry. Jordi pytająco popatrzył na Pedra.

- Ośmielimy się zbadać te kieszenie?

- Musimy. W jaki sposób inaczej znajdziemy wskazówkę?

Możesz się zająć jedną, Atle? Ja przeszukam drugą.

Kobiety patrzyły, jak mężczyźni na kolanach z największą delikatnością wsuwają dłonie do kieszeni starej szaty.

- Materiał zachował się całkiem nieźle - zauważył Pedro. - Widocznie był bardzo dobrej jakości.

- No i został zabalsamowany - przypomniał Jordi. Niczego nie znaleźli. Najzupełniej niczego, lecz w tym akurat nie było nic dziwnego. Zapewne w siedemnastym wieku również najpierw przeszukiwano kieszenie.

- Spadek dla ewentualnych dzieci Sevastina - powiedziała zamyślona Inger. - Czyli dla Estelli. Niezbyt imponujący spadek.

Wraz z Gudrun badały załomki kaptura. Bez rezultatów.

Podniosły się zniechęcone. Nagle Unni zadarła głowę.

- Ten krzyk... Poznaję go.

Wszyscy zdrętwieli. Ani Atle, ani Inger nie słyszeli tego wcześniej, lecz natychmiast się domyślili, co to może być.

Krzyk wciąż jeszcze dobiegał z oddali, lecz nie było najmniejszych wątpliwości co do tego, kto krzyczy. Również rycerze znajdowali się w pobliżu. Siedzieli na koniach i bacznie obserwowali grupę.

„To dopiero! - rzekł don Federico z podziwem. - Znaleźli ją!”

„Tak, znaleźli brakujący kawałek - powiedział don Garcia. - Byle tylko umieli teraz z niego skorzystać”.

„Naprawdę świetnie sobie radzą” - uśmiechnął się przodek Unni.

„Są uparci i bystrzy” - pokiwał głową don Galindo.

„Jestem z nich dumny” - szepnął don Ramiro wzruszony.

„Pst! Słyszeliście? Ten krzyk w oddali!”

„Ach, a więc te diabły również tu trafiły! A my nie możemy przestrec naszych przyjaciół! Jeśli te potwory porwą opończę...”

„To nie ma już żadnej nadziei. Lecz żywi również ich usłyszeli.

Spójrzcie, biorą się do działania! Krzyki się przybliżały.

Kaci inkwizycji z wściekłością nadciągali przez powietrze.

„Mają ją, mają, znaleźli! Co teraz zrobimy?”

„Zabierzmy ją, zabierzmy!”

„Nie krzyczcie tak, bo nas usłyszą, musimy nadciągnąć bezszelestnie”.

„Mogą nas zobaczyć. Najsilniejszy jest bliski śmierci, on może nas widzieć”.

„Ale nic nie jest w stanie zrobić. Opończa należy do nas! Krzyki umilkły. Unni pobiegła jak kozica w górę stromej ścieżki, a pozostali, zdjęci przerażeniem, czekali.

Jordi, któremu zostało jeszcze tylko kilka miesięcy życia, bez trudu dostrzegł przypominające ptaki istoty. Wciąż były daleko, lecz wyraźnie nadciągały w ich stronę.

Deszcz ustał, chmury zaczynały się rozstępować, a tu i ówdzie na niebie pojawiały się plamki błękitu.

Właśnie na ich tle widać było wyraźnie wstrętnych czarnych prześladowców.

Unni wróciła z plecakiem, który porzuciła na górze. Potknęła się w najtrudniejszym miejscu, lecz Jordi natychmiast do niej przypadł i pomógł jej wstać. Pędem zbiegli na dół i dołączyli do przyjaciół.

Unni gorączkowo przeszukiwała plecak.

- Wiem, że gdzieś to mam... jest!

- Pospiesz się, zaraz tu będą! - ponaglał ją Jordi.

Unni wyciągnęła znak rycerzy wycięty z kartonu i położyła go na środku mnisiej opończy. Zajaśniał bielą na tle czarnego materiału.

- Amor ilimitado...

Nikt nie zwracał już uwagi na obrus w czerwoną kratkę, wystający spod opończy i szalenie z nią kontrastujący.

- ...solamente.

Powietrze rozdarł przenikliwy krzyk. Rozległ się tak blisko, że ci, którzy nie widzieli mnichów, instynktownie schylili się, zatykając uszy rękami. A jeden z głosów zabrzmiał bardziej histerycznie od pozostałych. Tak przeraźliwie, że przenikał do szpiku kości.

Rozległ się szum wiatru i głosy zaczęły się oddalać.

- Znów jednego pokonałaś! - zawołał Jordi. - Zostało już tylko sześciu!

- Tylko sześciu? Phi, to przecież już nic! - udawała chojraczkę dziewczyna, ale głos jej drżał.

Zaraz jednak spoważniała.

- Przecież ja wcześniej mogłam ich widzieć, dlaczego teraz nie?

- Oni potrafią stać się niewidzialni, gdy tak trzeba, lecz nie dla mnie. Ja ich zawsze widzę.

Ponieważ żyjesz w świecie zmarłych, pomyślała Unni przygnębiona.

Przez długą chwilę patrzyli sobie z Jordim w oczy, czując, jak z każdą chwilą ich miłość i tęsknota stale rośnie.

Nagle z tego cudownego transu wyrwał ich ściszony jęk - Patrzcie - szeptała Gudrun. - Spójrzcie tylko! Poszli za jej spojrzeniem. Gudrun wpatrywała się w opończę.

Unni nie mogła uwierzyć własnym oczom. Wycięty przez nią z kartonu prosty znak, zaczął się jakby żarzyć, jaśnieć i z wolna w samym materiale opończy jał się ukazywać

mniejszy identyczny znak. Wyróżniał się lekko, był mały i skromny, a umieszczono go na samej górze przy ramieniu.

- Co, na miłość boską... - zaczął Atle. Pedro już klęczał.

- W tkaninie jest jakiś wzór. Nie jestem w stanie go odróżnić.

Ten nieszczęśliwy nowicjusz w zakonie wtkął w materię cieniutkie delikatne nitki, wplótł je po to, by ewentualne przyszłe dzieci Sevastina mogły coś odczytać. Ale nikt niczego nie rozumiał. A te nitki są równie czarne jak wszystkie pozostałe. Jak zdołamy...

W tej chwili pod skalny nawis dotarły promienie słońca. Padły też na opończę.

- Ach, mój Boże - szepnęła Inger. - Atle, zrób zdjęcie, prędko, nim to zniknie!

Wydobyto kilka aparatów. Atlego, Gudrun, Pedra. Unni czym prędzej usunęła swój znak z opończy. Przez chwilę rozlegały się tylko trzaski migawek.

Słońce zaszło za chmurę i pod skalnym nawisem na powrót zagościło ponure, szare światło.

A niezwykle dzieło młodego Jorge, mnisia opończa, jakby zapadła się w sobie. Kiedy Jordi jej dotknął, w rękach rozsypała mu się w pył.

Światło i powietrze zrobiły swoje. Opończa przestała istnieć.

Stali jak sparaliżowani.

- Co się właściwie stało? - zadawała sobie pytanie Gudrun.

- Nie wiem - odparł Pedro pustym głosem. Unni powiedziała ostrożnie:

- Może powinniśmy być wdzięczni tym sługom inkwizycji?

Przecież gdybym nie musiała położyć znaku na opończy, żeby ich odstraszyć, to chyba nigdy byśmy tego nie odkryli, prawda?

- Nie potrafię ci na to odpowiedzieć, Unni - odrzekł Pedro zupełnie martwym głosem.

- Na Boga, mam tylko nadzieję, że udało nam się zrobić jakieś dobre zdjęcia.

Gudrun podniosła obrus do góry i strzepnęła z niego drobniutkie, przypominające pył cząsteczki.

- Idziemy już - powiedział Jordi.

- Zaczekajcie chwilę! - poprosiła Unni. - Chciałabym jeszcze coś zrobić.

Podbiegła do krzewu pokrytego różowymi kwiatkami, przypominającymi małe różyczki. Nie знаła ich nazwy.

Wróciła potem z naręczem ukwieconych gałązek. Przyjaciele dołączyli do niej, gdy podchodziła do grobu Jorge i kładła na nim prawie wszystkie gałązki. Gudrun pomogła ładnie je ułożyć.

Pedro uczynił przy grobie znak krzyża.

Trzy gałązki Unni położyła na płycie grobowej Luisa, El Fuego.

- On chciał tak dobrze dla wszystkich - szepnęła wzruszonym głosem.

Nie miała już więcej kwiatów, lecz z wahaniem zatrzymała się przy grobie Estelli.

- Nie wiem, co mam powiedzieć - rzekła z żalem. - Sama mówiłaś o sobie, że jesteś ostem wśród róż, ale...

Inger zdążyła już otworzyć plecak Atlego i wyciągnęła z niego sześć puszek piwa.

- Wypijmy za Estellę!

- O, tak, świetny pomysł! - powiedziała Unni z ulgą. Estella zasłużyła na ten toast.

Nikt się nie uchylił od wypicia.

W ciszy, która teraz nastąpiła, Jordi podniósł jedną gałązkę z grobu Jorge i położył ją na płycie Estelli.

- Bez jej pamiątnika nie stalibyśmy tu dzisiaj. I ty to przecież wiesz, Unni - dodał ze smutnym uśmiechem. - Osty mają przepiękne kwiaty!